



WERONIKA TOMALA

NIEBEZPIECZNA MIŁOŚĆ

POWRÓT WROGA

Love
Book

WERONIKA TOMALA

NIEBEZPIECZNA MIŁOŚĆ

POWRÓT
WROGA

Love
Book

Autorka: Weronika Tomala
Redakcja: Klaudia Opozda
Korekta: Katarzyna Ziola-Zemczak
Projekt graficzny okładki: Emilia Pryśko
eBook: Atelier Du Châteaux
Zdjęcia na okładce: Denys Demianchuk @Shutterstock,
And-One @Shutterstock, Studio Magdy M. (zdjęcie autorki)

Redaktor prowadząca: Natalia Ostapkowicz
Kierownik redakcji: Agnieszka Górecka

©2023 Copyright by Weronika Tomala
©2023 Copyright for this edition by Wydawnictwo Pascal

Ta książka jest fikcją literacką. Jakikolwiek podobieństwo do rzeczywistych osób, żywych lub zmarłych, autentycznych miejsc, wydarzeń lub zjawisk jest czysto przypadkowe. Bohaterowie i wydarzenia opisane w tej książce są tworem wyobraźni autorki, bądź zostały znacząco przetworzone pod kątem wykorzystania w powieści.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej książki nie może być powielana lub przekazywana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy, z wyjątkiem recenzentów, którzy mogą przytoczyć krótkie fragmenty tekstu.

Bielsko-Biała 2023
Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.
ul. Zapora 25
43-382 Bielsko-Biała
tel. 338282828, fax 338282829
pascal@pascal.pl, www.pascal.pl

ISBN 978-83-8317-193-7

Spis treści

Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Deykacja
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Epilog
Podziękowania

Deykacja

*Wszystkim moim Kuzynkom i Kuzynom – bez wyjątku.
Trochę by zajęło, żeby Was tutaj wszystkich wymienić.
Najważniejsze, że Wy wiecie, o kogo chodzi.*

Tylko w ciemności możesz zobaczyć gwiazdy

Martin Luther King

Rozdział 1

FRANCO

– *Salve*. Wita się z wami Alessandro Soto. Mam nadzieję, że zostaliście szczęśliwcami i udało się wam zaopatrzyć w porządny odgarniacz do śniegu. W sklepach jest to obecnie towar luksusowy, a importerzy nie nadążają go sprowadzać. Zima zaskoczyła nas wszystkich, w końcu w tych rejonach to absolutna rzadkość. W sparaliżowanych pogodą miastach, w tym także w Rzymie, nie działa komunikacja miejska. Jedyna pozytywna informacja jest taka, że synoptycy przewidują odwilż, i to w najbliższych dniach. Cóż, pozostało mi powiedzieć, wesołego po świętach – kończy głos dochodzący z radia i śmieje się, jakby było z czego.

– Szlag by to trafił – mamroczę pod nosem i wysyłam do diabła cały ten dzień.

W aucie z oponami, których bieżniki pozostawiają wiele do życzenia, jadę dosłownie dwadzieścia na godzinę. I to na całkowicie prostym odcinku, pośród sadów oliwnych. Celowo wybrałem boczną drogę prowadzącą z Peschici do Vieste. Gdybym wracał trasą obok urwiska i morza, z pewnością znajdowałbym się już na plaży. I to bynajmniej nie dlatego, że chciałbym na niej odsapnąć czy popatrzeć na widoki. Po twardym lądowaniu pewnie niewiele by ze mnie zostało.

Wpatruję się w przednią szybę auta, próbując jeszcze bardziej wyteńczyć wzrok, bo gęsto padający śnieg zdecydowanie ogranicza widoczność. Jestem w stanie dojrzeć to, co znajduje się góra cztery metry przed maską mojego porsche. Reszta to w tym momencie zagadka, choć przecież doskonale znam tę drogę.

Jestem idiotą, bo przecież mogłem przełożyć negocjacje w podziemiach na jutro albo pojutrze. Jak zawsze przerosła mnie kretyńska ambicja. Podciągam rękawy kurtki, odsłaniając mankiety czarnej koszuli. Wciąż nie przywykłem do eleganckich ciuchów, ale pozycja zobowiązuje. A *don* Fabio aż nadto kładzie nacisk na tradycję. Łapię za kierownicę oburącz, co nie zdarza mi się zbyt często. Droga jest jednak przerażająco śliska i tak zasypana śniegiem, że nie widać, gdzie kończy się asfalt. Jeśli wpadłbym w zaspę, chyba utknąłbym tutaj na dobre. Odgrzebaliby mnie może jutro wieczorem. I to przy odrobinie szczęścia, bo mam wrażenie, że mogłoby być nawet gorzej. I to ma być to wielkie ocieplenie klimatu? To raczej jakiś pieprzony armagedon.

Z radia znowu dobiega przerywany głos dziennikarza:

– A za momencik specjalnie dla państwa Michael Bublé i *White Christmas*. Może zimowa piosenka ukoi trochę temperament rozochoczonej la Befany^d, która, w mojej ocenie, maczała palce w dzisiejszej pogodzie. Wygląda na to, że oprócz węgla i cebuli może przynosić także śnieg. Chyba wszyscy byliśmy w ostatnim czasie trochę niegrzeczni.

1) La Befana to włoska odpowiedniczka naszego polskiego... św. Mikołaja. Jak głosi tradycja, ta dobroduszna staruszka o wyglądzie wiedźmy, z haczykowatym nosem i w łachmanach, w noc z 5 na 6 stycznia, czyli w święto Trzech Króli, przemierza niebo na miotle, by odwiedzić wszystkie włoskie dzieci. Te grzeczne obdarowuje słodyczami i prezentami, niegrzecznym zaś, zamiast różgi, zostawia węgiel, popiół, cebulę lub czosnek. Do domów dostaje się przez kominy, a upominki zostawia w zawieszonych na nich skarpetach (przyp. aut.).

Prawie zapomniałem, że dzisiaj noc poprzedzająca Epifanię, czyli święto Trzech Króli. Kiedy byłem mały, wyczekiwałem tego dnia ze sporą obawą. A że nie należałem do grzecznych dzieci, babcia zawsze straszyla mnie, że la Befana nie przyniesie mi słodyczy. Gdyby istniała naprawdę, teraz pewnie obrzucałaby mnie paroma tonami węgla i popiołu.

– *La Befana vien di notte, con le scarpe tutte rotte...* – nucę pod nosem początek jednej z rymowanek, których uczono nas kiedyś w szkole. Nie pamiętam już reszty słów.

– Zrobiło się klimatycznie – odzywa się znów spiker, kiedy piosenka ustaje. – A teraz na poważnie, lepiej zostańcie w domach. Jest niebezpiecznie.

– No jasne – prychnam.

Gdybym był rozsądniejszy, siedziałbym teraz w fotelu ze szklanką whisky albo Aperolu. Ale ambicje zawsze miałem wygórowane, choć startowałem od zera.

Wszystko, co udało mi się osiągnąć, wypracowałem sobie sam. W końcu stałem się prawą ręką *dona* włoskiej mafii. I *capo* zarządzającym rejonem Apulia. Mówiąc nieskromnie, całkiem nieźle sobie radzę. Od kiedy kupiłem porsche, ludzie w mieście zaczęli zwracać na mnie podwójną uwagę. I tworzyć głupie plotki. Pieprzyć ludzi i ich gadkę. Zawsze wiedzą lepiej i zawsze będą szukali czegoś, do czego mogliby się doczepić. Im bardziej nieszczęśliwi, tym więcej chrzanią. Nazywam się Franco Meli i znam swoją wartość. Nie potrzebuję uznania wśród tych, którzy nie mają dla mnie żadnego znaczenia.

Kiedy wchodzę w zakręt, a tuż przy drodze wyrastają drzewa, naciskam na hamulec. Wóz zwalnia do dziesięciu kilometrów na godzinę. Ledwo się wlecze. To jakaś kpina. Nie ma tutaj żadnego oświetlenia. Rozglądam się na boki, bo nie pierwszy raz wyszedłby mi tutaj przed maskę jakiś dzik. Żyją w tych rejonach od lat. Naprawdę jeszcze tylko tego mi brakuje, by na koniec dnia jakiś nieogarnięty zwierz porysował mi karoserię.

Podnoszę leżący na fotelu pasażera telefon i zerkam na godzinę. Dwudziesta pierwsza dwadzieścia. I zero kreszek sieci. Zero! Pogoda potrafi nieźle nas urządzać. Wystarczy jeden jej kaprys i cały cywilizowany świat trafia szlag.

A ja jestem wygodnicki i przyzwyczailem się do tych wszystkich elektronicznych gadżetów. Życie bez mikrofalówki, czajnika, lodówki, nie wspominając już o konsoli do gier, byłoby zdecydowanie trudniejsze.

Odkładam telefon na bok i wyjeżdżając z niewielkiego lasku, wyłączam „długie”. I tak niewiele pomagają. Z minuty na minutę zaczyna sypać coraz mocniej, a ludzie naprawdę wzięli sobie do serca wskazówki o pozostaniu w domach. Od dłuższego czasu nie minąłem ani jednego auta.

Rewelacja. Jestem naprawdę wkurzony i porządnie zestresowany. Jazda w takich warunkach męczy mnie bardziej niż przesłuchania urządzane w podziemiach.

Ale, przy tej pogodzie, zostało mi jakieś dziesięć minut drogi i też będę w domu. W tym momencie nie marzę o niczym innym, tylko o długim prysznicu i jakimś dobrym filmie. Dawno niczego nie oglądałem. Ta myśl determinuje mnie do dalszej jazdy.

Co jest?

Wytężam wzrok, mijając znajdujący się po lewej stronie przystanek autobusowy.

Widzę tam coś... albo raczej kogoś... Wychodzi na to, że nie jestem jedynym szaleńcem, który wyruszył w drogę w taką zawieruchę.

Ciemna postać na przystanku przyciąga moją uwagę. Podróż autem nie była mądrym pomysłem, ale wyczekiwanie teraz na autobus to już absurd. To raczej oczywiste, że w taką pogodę żaden tutaj nie dotrze. Zresztą, o ile się nie mylę, ten przystanek jest już chyba nieaktywny. Sądząc po jego wyglądzie, mam rację. Wydaje się totalnie zdezelowany i nie zauważyłem na nim rozkładówki.

Ma va'. Bez jaj. Chyba kogoś nieźle pogrzało.

Może to jakiś menel.

Ten ktoś podpira się o jedną ze ścian przystanku. Pewnie ma problemy z równowagą, co tylko potwierdza moją hipotezę. Jadę dalej, choć mam neodparte wrażenie, że postać macha w moim kierunku.

Olać to. Nie moja sprawa. Jeśli ktoś używa tylko fragmentu swojego mózgu, niech cierpi. Ja dobrodusznie go podwiozę, a on zeszcza mi się w aucie. Albo zrzyga. Już nie wiem, co byłoby gorsze. Nie ma się nad czym zastanawiać. Jadę dalej.

– Jak spędziliście sylwestra? Nie wiem, czy słyszeliście, ale w jednej z restauracji w Bari odbyła się naprawdę wybuchowa impreza... Otóż... – Głos dochodzący z radia przycina się. Potem słyhać tylko szumy, aż w końcu sygnał znika na dobre.

Czuję niepokój. Myślę o człowieku stojącym na przystanku.

Wiedziałem, że tak będzie.

– *Cazzo!* Kurwa! – Uderzam ręką w kierownicę i zjeżdżam na bok, bo pieprzone wyrzuty sumienia dręczyłyby mnie pewnie przez cały wieczór.

Zawracam na środku drogi, wykonując manewr, który mógłby mnie kosztować nie tylko solidny mandat. Przy takiej widoczności ryzykuję kolizją, i to stuprocentowo z mojej winy. Jednak mało prawdopodobne, by ktoś teraz nadjechał. Chwalę się w myślach za to, że ostatecznie zdecydowałem się na karierę z napędem na cztery koła. Auto zrywa się z miejsca, kiedy szczęśliwie udaje mi zawrócić. Opony ślizgają się po nawierzchni, ale ostatecznie dają radę. Ściągam nogę z gazu, uświadamiając sobie, że trochę mnie poniosło. Toczę się więc do przystanku. Przez moment przechodzi mi przez głowę myśl, czy to nie były tylko omamy. Wyobrażnia naprawdę zmęczonej głowy. Może to wcale nie był człowiek? W końcu warunki naprawdę nie sprzyjają widoczności.

Kiedy jednak jestem dostatecznie blisko, widzę wyraźnie, że ktoś nadal tam stoi. Teraz nie mam już żadnych wątpliwości – ani wzrok, ani umysł mnie nie zawiodły.

Zatrzymuję auto, zaciągam hamulec ręczny i nie gasząc silnika, wysiadam na zewnątrz. Powiew lodowatego powietrza uderza mnie prosto w twarz. Zapinam cienką kurtkę. Światło samochodowych reflektorów oświetla mi drogę.

Pierwszym, co dociera do moich uszu, jest jęk. Przerazający.

Jestem już blisko, a mimo to jeszcze przyspieszam kroku. Muszę uważać, żeby nie wywinąć tutaj orła i nie połamać gnatów.

Postać stojąca na przystanku to bez dwóch zdań kobieta. Pochylona, ubrana w rozpięty płaszcz i czapkę, spod której wylania się gęstwina ciemnych włosów. Nie widzę jej twarzy, bo patrzy w dół. Ale sprawia wrażenie, jakby była obłąkana.

I ten jej lament. *Santo Cielo*. Boże. Mam ciarki na rękach.

– Czy coś się stało? – pytam ostrożnie, zaznaczając swoją obecność.

Kobieta znowu jęczy, obejmując jedną ręką swój ogromny brzuch.

Zerkam w dół, na ogromną plamę pokrywającą nogawki jej spodni. Są kompletnie przemoczone. Łapię się za głowę, próbując zacząć logicznie myśleć, choć przyznaję, że przychodzi mi to z trudem.

Ona jest w ciąży.

To nie ulega żadnej wątpliwości. Nawet gdyby porządnie się przejadła, nie wyglądałaby w ten sposób. Ale to niestety nie jest jedyny problem.

Wszystko wskazuje na to, że właśnie zaczęła rodzić.

– Niech mi pan pomoże. *Ti prego* – kwili, podnosząc na mnie wzrok.

A ja nie wiem, jak się za to wszystko zabrać. Mam sucho w gardle i czuję totalną bezradność. Łapię ją pod ramię.

– Proszę iść ze mną. Zaraz zadzwonię po pogotowie. – Opieram jej ciężar na swoim ramieniu, chociaż nie bardzo chce ze mną współpracować i tylko zwisa bezwładnie. Dobrze, że poza ciężowym brzuchem jest całkiem szczupła.

Nie wiem, jak z nią postępować, żeby nie wyrządzić jej żadnej krzywdy. Łapię ją za drugi bok, starając się omijać dłonią brzuch, by nie wywierać na niego nacisku. Już dawno nie waliło mi tak serce. Dosłownie ściska mnie w klatce.

Kobieta znowu jęczy.

– Aaaa! – krzyczy niespodziewanie, zatrzymuje się i pochyla do przodu. Prawie wyslizguje mi się z rąk.

Jestem przerażony. Mogła mnie jakoś ostrzec, że zamierza tak zrobić.

– Krwawię – dyszy. – Chyba nie jest dobrze.

– Spokojnie. Nie jest źle – paplę od rzeczy. Próbuję ją jakoś wesprzeć, choć sam potrzebuję w tym momencie kogoś, kto pomógłby mi się ogarnąć. I pomyśleć, że jeszcze przed chwilą je-

chałem do swojego domu z wizją rychłego zakończenia tego paskudnego dnia. – Jesteśmy już przy samochodzie. Zaraz zadzwonię po karetkę – obwieszczę głosem, którego sam nie rozpoznaję. Już dawno nic nie doprowadziło mnie do takiego stanu.

Próbuję się skupić. Zacząć logicznie myśleć. Przecież przy tej pogodzie pogotowie dotrze tutaj w najlepszym wypadku za pół godziny. Drugie tyle pojedą z powrotem. Zerkam na wijącą się kobietę. Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić, jak bardzo cierpi. Całe jej ciało manifestuje ból. Nie pamiętam, czy przeżyłem kiedyś coś, co wywarłoby na mnie takie wrażenie. A przecież widziałem już setki pieprzonych egzekucji. *Dannazione!* Szlag by to trafił. Kombinuj, Franco, kombinuj!

– Albo panią zawiozę. – Jest szansa, że tak będzie szybciej. I tak musiałbym zaproponować jej wejście do auta. Przecież nie będziemy sterczeć na zewnątrz w taką śnieżycę. Przez chwilę zastanawiam się, jak będzie wyglądać moja tapicerka po tym, jak rodząca na niej usiądzie, ale to szybko przestaje mieć znaczenie.

Otwieram tylne drzwi, zdejmuję z siebie kurtkę i rozkładam ją na fotelach. Przytrzymuję nieznaną, pomagając jej wejść do środka. Wciąż jęczy, ściskając mnie przy tym tak, że prawie miażdży mi dłoń. Schylam się, by dźwignąć jej nogi, których sama nie jest w stanie podnieść nawet na wysokość progu. Kładzie się na siedzeniach, odchylając głowę do tyłu. Dopiero kiedy zamykam drzwi, zauważam, jak bardzo trzęsą mi się palce. I to wcale nie z zimna.

Jasna cholera. Przeczesałem ręką krótko przycięte włosy, zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo jestem bezsilny.

Wizja pokonania półgodzinnej trasy w takich warunkach i z rodzącą kobietą na tylnej kanapie, nie napawa mnie optymizmem. Wciągam powietrze i wsiadam za kierownicę. Zastanawiam się tylko nad jednym. Gdzie, do cholery, jest w tym momencie jej partner? Gdzie jest jej rodzina? Dziewczyna potrzebuje natychmiastowej pomocy, tymczasem została kompletnie sama i szukała ratunku w miejscu dalekim od jakichkolwiek zabudowań. Na co ona liczyła? Całe szczęście dla niej, że tędy przejeżdżałem. I całe nieszczęście dla mnie.

Podnoszę telefon z fotela pasażera, ale rozświetlający się ekran tylko przypomina mi o tym, że nie ma tu sieci. Mimo to wybieram 112, bo przecież połączenia alarmowe rządzą się swoimi prawami. Może uda mi się jakoś dodzwonić. W słuchawce nie słychać jednak żadnego sygnału.

Zaraz zwariuję. Zwalniam hamulec ręczny i ruszam, choć w stanie takiego ogłupienia zdecydowanie nie powinienem prowadzić. Nie mam wyjścia. Choć potrafię poważnie nagiąć granice swojego komfortu psychicznego, ta sytuacja sprawia, że zupełnie tracę kontrolę nad emocjami. Nie jestem przyzwyczajony do widoku cierpiącej kobiety. Tego w moim świecie po prostu nie ma.

Chrząkam nerwowo, mając ochotę na czymś się wyżyć. Moje samopoczucie nie ma teraz jednak większego znaczenia. Ściskam drążek z bieganiami, jakbym zaraz miał go zmiażdżyć.

– Błagam pana, tylko nie do Vieste – wydusza z siebie kobieta pomiędzy kolejnymi jękami, a jej prośba na moment zwala mnie z nóg. – Gdzieś dalej. *Ti prego*. Proszę...

Zdejmuję nogę z gazu i na parę sekund odwracam się do tyłu.

– Słucham? – pytam zdębiały. Jak to nie do Vieste? – Przecież tam znajduje się najbliższy szpital. Chyba sama pani widzi, że nie mamy czasu na takie wybrzydzenie. – Jej słowa momentalnie doprowadzają mnie do stanu, kiedy staję się nieprzyjemny.

Kobieta marszczy czoło, a w jej niebieskich oczach nie widzę nic oprócz przerażenia. Rozumiem, że dzisiaj ludzie mają prawo decydowania o tym, w którym szpitalu chcą się znaleźć. Ale tutaj chyba nie ma innego wyjścia. Jeśli nie ruszymy do Vieste, za chwilę możemy utknąć w miejscu i w ogóle nigdzie nie dojedziemy. Zresztą z tego, co zauważyłem, odwiedzając kiedyś na oddziale żonę *dona*, Sofię, opieka w tym szpitalu jest na całkiem dobrym poziomie.

Wygodnisia. Jestem poirytowany. Już mam zamiar jej wygarnąć, że powinna się cieszyć, bo przecież ratuję jej dupę, choć to zdecydowanie nie należy do moich obowiązków, ale właśnie wtedy zaczyna coś mówić.

– On... On... – powtarza. Znowu zaczyna dyszeć.

Patrzę w lusterko i widzę, że mocno zaciska oczy. Jej krzyk wypełnia wnętrze samochodu. Nieznajoma bezwładnie uderza głową o siedzenie. Jakby faktycznie była opętana. Co jest grane? *Santo Cielo*. Boże, w co ja się wpakowałem? Przyspieszam, choć w takich warunkach to niezbyt rozsądne. Mam jednak nieodparte wrażenie, że zwyczajnie możemy nie zdążyć. Nie znam się na akcjach porodowych. Cholera. Z kobietą w ciąży miałem do czynienia tylko wtedy, kiedy odwiedzałem *dona* Fabia i jego ukochaną. Nie zyskałem jednak dzięki temu jakiejś niezbędnej i praktycznej wiedzy.

Na moment nastaje cisza, o ile można to tak nazwać. Kobieta wciąż głośno dyszy.

– On nas zabije. Mnie i dziecko – kończy na jednym wydechu, jakby się bała, że za moment znowu zabraknie jej sił.

– O czym pani mówi? *Cazzo!* Czy to jakiś kiepski żart? – wybucham. Wiem, że nie powinienem tego robić, bo moja złość i tak w niczym nie pomoże. Szybko zaczynam tego żałować, bo to przecież nie czas na kłótnie. Ani ona, ani ja nie czujemy się w tej sytuacji komfortowo.

Patrzę w boczne lusterka. Nikt za nami nie jedzie.

On nas zabije. O kim ona gada?

Niech ten cyrk jak najprędzej się skończy.

– Przepraszam. – Kobieta zaczyna wyć z bólu. Wypowiedzenie tego słowa przychodzi jej z trudem i wcale nie chodzi tutaj o urażoną dumę. – Przepraszam, że pana w to wpakowałam – łka.

Przelykam ślinę.

Sam się wpakowałem. Na własne życzenie. Mogłem nie zawracać.

Daremne gadanie. Trudno, mleko się rozlało. Przecież jej tutaj nie wysadzę.

Zwalniam i odwracam się, by na nią zerknąć. Zauważam, że zdjęła czapkę. Spod długich, opadających jej na twarz włosów widać delikatne rysy. Po jej policzkach płyną łzy. Czuję kolejny ucisk w klatce piersiowej. Boli. Może to zawał? Szczerze powiedziawszy, już chyba nic nie będzie w stanie mnie zdziwić.

Nie wiem, kim jest i w co się wpakowała. Nie mój biznes, więc nie zamierzam w to wnikać. Może w bólu opowiada jakieś brednie. Cierpienie sprawia, że ma urojenia. Szlag by to trafił. A może najzwyczajniej w świecie to jakaś wariatka. Któż o zdrowych zmysłach przychodzi na nieaktywny przystanek autobusowy w takim stanie? Jeśli faktycznie nie mogła poprosić o pomoc żadnej bliskiej osoby, może powinna zadzwonić po taksówkę.

Kontynuuję jazdę, bo nie pozostało mi nic innego. Musimy jak najprędzej znaleźć się w szpitalu. W Vieste. Nie zdążymy dotrzeć nigdzie indziej. Nie, kiedy za okiem nie widać prawie nic, a drogi z minuty na minutę stają się coraz mniej przejezdne.

– Ojciec mojej córeczki to zły człowiek. Bardzo zły – mówi sama od siebie, bardzo słabym głosem, mało wyraźnie.

Po raz kolejny zerkam w lusterko. Zastanawiam się, czy coś mi się nie przesłyszało.

Dopiero teraz zrozumiała, że jest zły? Nie myślała o tym, kiedy kładła się z nim do łóżka? Próbuję ugryźć się w język, zanim powiem coś, co niekoniecznie będzie na miejscu. Zerkam na swoje ręce i dopiero teraz zauważam na nich plamy krwi. Jej krwi. Ten widok akurat nie robi na mnie wrażenia. Przez lata zdążyłem do niego przywyknąć.

Z tylnej kanapy rozlega się kolejny przerażający wrzask. Odwracam się i widzę, że nieznajoma zwija się w kłębek, jakby właśnie była w cholernej agonii.

– Nie dam rady! – krzyczy z pełnym przekonaniem. – Nie wytrzymam dłużej! Dziecko zaraz się urodzi. – Wydaje z siebie nieludzki odgłos.

Zamieram. Zjeżdżam na pobocze. Biorę do ręki telefon, zaciągam hamulec i wysiadam z auta. Trzaskam drzwiami i zmierzam prosto na tyły mojego porsche.

Rozdział 2

GIULIA

W tym momencie marzę tylko o jednym. Nie o tym, by to wszystko się skończyło. Chcę po prostu umrzeć. Tylko w tym dopatruję się swojego ratunku.

Nie boję się śmierci. Nie ma piekła, w które kiedyś wierzyłam. Już dawno temu przekonałam się, że nie wygląda ono tak, jak je sobie wyobrażałam. Piekło jest tutaj. Na Ziemi. W moim życiu.

Przeszywający ból ciągnie się od kręgosłupa w dół. Jeszcze jakiś czas temu przypominał następujące po sobie fale, pomiędzy którymi miałam szansę odetchnąć. Był jak pulsowanie, które przemijało. Teraz cierpienie ciągnie się w nieskończoność. Krzyczę, jednocześnie próbując zaciskać usta, bo nie chcę tego robić – boję się, że mężczyzna wiozący mnie do szpitala zrezygnuje. Jednak natura wydaje się silniejsza ode mnie. Nie potrafię tego opanować.

W tym momencie jestem coraz bardziej świadoma jednego. Nie wytrzymam. Nie dojeździemy do szpitala. I nieznajomy też chyba o tym wie. Stoi przed drzwiami auta i właśnie próbuje wykonać kolejny telefon. Jest zdenerwowany. A ja nie mam pojęcia, ile jeszcze będzie w stanie znieść. W tej chwili byłabym mu wdzięczna, gdyby ukrócił moje cierpienie – i nie chodzi mi o pomoc medyczną. W mojej sytuacji wyjście jest tylko jedno. Powinien mnie zabić.

Krzyczę. Ból jest tak dojmujący, że prawie mdleję. Na moment urywa mi się kontakt z rzeczywistością i nie bardzo wiem, gdzie właściwie się znalazłam. Wrażenie rozsadzanych kości szybko mi o tym przypomina i zmusza mnie do powrotu z wygodnych zaświatów. Nie jestem w stanie utrzymać nóg razem. Całe dygoczą, i to nie z zimna. Czuję się tak, jakby ktoś żywcem ciałł mnie na małe kawałki. I solił nowo powstałe rany.

Mężczyzna otwiera drzwi, ramieniem przytrzymując telefon przy uchu. Na jego ciemnych włosach pobłyskują białe śnieżynki. Kładzie na tylną półkę auta apteczkę pierwszej pomocy. A potem drżącymi rękami odpina mankiety czarnej koszuli i podwija materiał na wysokość łokci. Jakby właśnie zamierzał zająć się jakąś ciężką, fizyczną pracą.

– Chyba jestem gotowy – mówi, ale dopiero po chwili uświadamiam sobie, że nie kieruje tych słów do mnie. – Włączę tryb głośnomówiący – dodaje, a potem klika coś na telefonie i stawia urządzenie tuż przy mojej głowie.

Zerkam na rozświetlony ekran jego komórki, ale widniejące na nim litery zlewają mi się w całość.

– Słyszać mnie? – W słuchawce odzywa się męski głos. – Słyszają mnie państwo?

– Tak, słyszać – odpowiada mężczyzna.

Ja nie jestem w stanie wydobyć z gardła żadnego dźwięku poza rykiem i łkaniem.

– Pogotowie już jedzie, choć wiedzą państwo, że warunki są trudne. Trochę to potrwa. Tymczasem proszę uważnie posłuchać, damy radę – zapewnia głos ze słuchawki. – Jak ma

pani na imię?

Zapada cisza. Przed oczami robi mi się ciemno. Po chwili odzyskuję widzenie, ale wszystko, co widzę, pozostaje spowite mgłą. To dowód na to, że nie daję już rady. Mózg odcina mnie od tej sytuacji.

Czy ktoś mnie o coś pytał? Próbuję się skupić, ale wszystkie moje myśli uciekają w jednym kierunku. Męczarnia przysłania mi wszystko. To jak tortury.

– Halo, halo? Słyszysz mnie pani? – Ze słuchawki padają kolejne słowa. Chyba kierowane bezpośrednio do mnie.

– Giulia – dyszę. Mam nadzieję, że mnie słyszą i że nie będę musiała tego powtarzać. Proste czynności stają się tak bardzo skomplikowane.

Nieznajomy stojący obok mnie łapie mnie za dłoń. Patrzy na mnie. Jeszcze przed momentem spanikowany, teraz emanuje pewnością siebie. Jego niebieskie oczy skierowane są prosto na mnie.

– Giulia – wypowiada moje imię – posłuchaj mnie. Będziesz musiała mi zaufać.

Chcę mu odpowiedzieć. Skłamać, bo przecież prawda okazałaby się niezręczna zarówno dla niego, jak i dla mnie. Nie zaufam mu, chociaż o to prosi. Nikomu nie ufam. Nigdy nie będę mogła sobie na to pozwolić, bo poprzez zaufanie tracimy swoją obronną tarczę. A ludzie przypominają sępy, które rozerwą nas na kawałki, kiedy tylko znajdą ku temu dogodną okazję. Konsekwentnie jednak milczę.

Kolejny nadchodzący skurcz sprawia, że mimowolnie podnoszę się do pozycji siedzącej. Czuję pot na całej twarzy. Włosy kleją mi się do policzków.

Mężczyzna szamocze się z moim ubraniem. Podnoszę biodra, kiedy zdejmuję ze mnie spodnie i majtki. Pomaga mi rozsunąć nogi. Nie analizuję tego, co robi. Działam jak automat. A głos dochodzący ze słuchawki cały czas wydaje jakieś polecenia. Czuję każdą pojedynczą kostkę mojego ciała. Nieznajomy przesuwając telefon bliżej siebie, jakby nie chciał uronić ani słowa. Jest zdeterminowany, jak gdyby naprawdę zaczęło mu na mnie zależeć. Ale to tylko złudzenie. Nikomu na mnie nie zależy.

Teraz kuca pomiędzy moimi udami ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt. Jest błąd. W tym momencie nie myślę o wstydzie. Marzę o tym, by to piekło wreszcie się skończyło.

Do środka auta wpada zimno, mieszając się z ciepłem buchającym z kratki wentylacyjnej.

– Błagam. Zabij mnie! – krzyczę, wyginając się po raz kolejny.

– Giulia, spokojnie. Za chwilę będzie po wszystkim.

Jego głęboki głos na moment mnie ucisza, choć wiem, że kłamie. Nie będzie po wszystkim. To dopiero początek.

Tak bardzo chciałabym uwierzyć w jego słowa.

Kręcę głową. Myli się. Całe moje ciało manifestuje sprzeciw wobec jego deklaracji. A zarazem na głos nie mówię nic. Szkoda słów, bo i tak niczego nie zrozumie. Nie może przecież wiedzieć o tym, co mnie spotkało. Chyba nikt nie jest w stanie sobie tego nawet wyobrazić.

Na powrót odwraca spojrzenie od mojej twarzy. A kiedy lokuje je między moimi nogami, jego oczy robią się wielkie. Jakby właśnie zobaczył coś bardzo niezwykłego. Robi się jeszcze bladziej, jak ściana. Przeciera czoło wierzchem ręki.

– Nieeee! – wrzeszczę, bo mam wrażenie, że ból zaraz rozsądzi mnie od środka.

Mężczyzna mówi coś do telefonu. Porusza koszulą, próbując się wentylować, jakby było mu gorąco. A przecież na zewnątrz, gdzie stoi, panuje stuprocentowa zima. Łapie się za głowę, nerwowo drapie po krótkich włosach, ale szybko powraca do poprzedniej pozycji, jakby ostatecznie odzyskał nad sobą panowanie. Znowu łapie moją dłoń. Spinam się, tonąc w męczarniach.

Nieznajomy coś do mnie mówi. Skupiam wzrok na jego ustach, próbując odczytać słowa wychodzące z jego warg. Nic nie chce przebić się przez blokadę w mojej głowie, przez panującą w niej ciszę. Od niej dosłownie piszczy mi w uszach.

– Przyj! – woła, jakby z oddali. – Przyj!

Napinam się, bo w tym momencie zobojętnienie zdaje się wygrywać tę walkę. Gorzej już być nie może. Zamykam oczy i wykonuję jego polecenia. Dyktuje mi, co mam robić. Ściskam jego palce z całych sił. Wyzywam się na nich, to mi pomaga. Pomimo panującej na zewnątrz ujemnej temperatury jego dłoń jest taka ciepła. Ale po chwili wyrывa ją z mojego uścisku.

– *Gesù Cristo!* – mówi z niedowierzaniem. Zupełnie zmienia ton głosu, który teraz wyraźnie wibruje.

Na wpół tracę świadomość. Nie potrafię opisać słowami przerażenia, które mną włada.

– Dziewczynka – dodaje, choć nie jestem pewna, czy dokładnie tak brzmią jego słowa. Są ledwo słyszalne.

A potem wewnątrz auta wypełnia płacz. Głośny lament.

Zerkam w dół. Mężczyzna trzyma w rękach coś bardzo małego. Tak małego, że przez moment wątpię w to wszystko, co przed chwilą się wydarzyło. To nie może być dziecko. Przecież nie powinno być aż tak kruche. Widywałam nieraz dzieci. Choć w zasadzie nigdy zaraz po narodzinach, tylko starsze.

Mała istotka chaotycznie porusza rączkami. Ruchami przypomina mi robota. Nieznajomy ostrożnie kładzie ją na moim brzuchu. Znowu zauważam, jak bardzo drżą mu dłonie. Próbuje naciągnąć poły mojego płaszcza tak, by okryć małą. Potem cofa się i przymyka drzwi, na chwilę zostawiając mnie samą. Dziecko przestaje płakać.

Znowu zapada cisza. Wszystko wokół mnie wiruje.

Patrzę na maluszka. *Mia bambina*. Ogarnia mnie wzruszenie.

Nagle zapominam o całym bólu. Coś zaczyna mnie niepokoić. Maluch się nie rusza. Czy oddycha? Co się dzieje? Opuszką palca przesuwam po delikatnej, przybrudzonej skórze. Wierci się. A więc jest po prostu zmęczona i zasypia. Tak samo jak ja. Oddycham z ulgą.

– Dzień dobry, córeczko – szepczę. Z oczu płyną mi łzy. Jest taka krucha. I taka niewinna. Nie jestem w stanie ukryć emocji. – Witaj na tym świecie. – Milknę na chwilę. – Tak mi przy-

kro, że nie przygotowałam dla ciebie bezpiecznego miejsca – lłkam, ale malutka nadal spokojnie leży. Nie płacze, jakby naprawdę mnie słuchała. Być może uspokaja ją mój głos. Tym razem odważniej niż przed momentem głaszczę jej małe plecki, fragment ciała niezakryty przez mój płaszcz. Poprawiam materiał, naciągając go tak, by nie było jej zimno.

Nieznajomy powraca. Trzyma w dłoniach jakieś ubranie.

– To marynarka – mówi, widząc, że mu się przyglądam. Dokładnie okrywa nią maluszka i w miarę możliwości także mnie.

Jest mi lżej, choć nie powinno tak być. Utrata czujności bywa pierwszym krokiem w stronę przegranej. Nie mogę pozwolić sobie na naiwną wiarę w to, że już wszystko będzie dobrze. Choć akurat fizyczna męczarnia właśnie dobiegła kresu. Chociaż tyle. Kolejny rozdział zamknięty.

Jestem naprawdę wyczerpana. Gdyby zjawił się tu teraz ON, nie miałabym siły uciekać. Nawet na jego widok. Nie byłabym w stanie ochronić ani siebie, ani nawet mojej córeczki.

Przecieram ręką mokry od potu i łez policzek.

Nie tak powinno wyglądać przyjście dziecka na świat. Nie pośród lęku, strachu, nie z wizją konieczności ucieczki przed złem. Zamiast wygodnej kołyski mam tylko dwie ręce. Zamiast pozytywki grającej piękne melodie – mój własny głos. Ale mam miłość i to ona staje się moim motorem napędowym.

Mężczyzna wciąż stoi przede mną. Dopiero teraz dostrzegam, że uważnie mi się przygląda. Jest postawny. Ma krótkie, ciemne włosy i niezwykle, niebieskie oczy. Jestem niemalże pewna, że w blasku słońca będą przypominać ocean. Do tego władcze spojrzenie, z którego bije jednak jakieś ciepło. Na moment nasze spojrzenia się krzyżują.

Próbuję coś powiedzieć. Powinnam mu podziękować, ale nie wiem, jak zacząć. Wszystkie słowa wydają się nieadekwatne do sytuacji. Nie tak wymowne, jak być powinny.

– Dałaś radę – szepcze do mnie, uśmiechając się nieznacznie. Na jego twarzy widzę ulgę. Nie jest już tak bardzo spięty.

Zaciskam usta w kreskę i odwracam wzrok.

– *Grazie*. Dziękuję – wyrzucam z siebie. Wstyd mi, że tylko tyle mogę mu dać. Tylko w taki sposób odwdziżyć się za to, co dla mnie zrobił. Poświęcił ogrom swojego czasu. Przeżył dyskomfort, który bezprawnie mu zafundowałam. Nie pamiętam nawet, kiedy ostatnio ktoś wyciągnął do mnie pomocną dłoń zupełnie bezinteresownie. Takie rzeczy nie dzieją się w moim świecie. Nie działy się już od bardzo dawna. Aż do teraz. – Nigdy nie zapomnę tego, co pan dla mnie zrobił. – Drży mi broda, kiedy w końcu decyduję się na niego zerknąć.

Spczywająca na moim brzuchu córeczka porusza się, przypominając o tym, że przecież jest już ze mną. To ona stała się sprawcą tego zamieszania. To ona pchnęła mnie do ucieczki. Nie miałam czasu na myślenie. Głaszczę palcem jej małą główkę. Ostrożnie, by nie zrobić jej krzywdy.

– Nazywam się Franco – przedstawia się mężczyzna, reagując najwyraźniej na to, że nazywałam go panem. – I jestem przekonany, że każdy człowiek na moim miejscu zachowałby się dokładnie tak samo – kończy, jakby to wszystko było dla niego tylko błażostką.

Kręcę głową na boki. Nie ma racji. Nie każdy. Znam ludzi, którzy wykorzystaliby tę sytuację w najgorszy, najbardziej obrzydliwy sposób. Znam człowieka, który chciałby mi odebrać to, co w jednym momencie stało się sensem mojego życia.

Zaczynam panikować. Oddycham szybciej, bo w tym momencie przed oczami znowu staje mi ON. Jego twarz, skąpana w triumfalnym uśmiechu niemającym nic wspólnego z prawdziwą radością.

– Nie – przeczę. – Nie każdy. Uwierz mi.

Odwraca ode mnie spojrzenie. Dopiero teraz prostuje się do pozycji pionowej, zabierając rękę z oparcia kanapy. Jeszcze przed chwilą nade mną górował, jak parasol zapewniający mi swego rodzaju ochronę. Właśnie tak czułam, i uświadamiam sobie ów fakt dopiero w momencie, kiedy mi to zabrał. Sama nie wierzę w to, że przez tych parę minut mogłam być choć trochę bezpieczna. Ale właśnie tak się czułam, kiedy był przy mnie. To dziwne i niewłaściwe, bo poza imieniem nie wiem o nim zupełnie nic. A to oznacza tylko, że jestem słaba. Szukam deski ratunku w miejscu, gdzie tylko przez chwilę będę się unosić na powierzchni wody. Za moment znowu zacznę tonąć.

Zostanę sama. Prawie sama, bo przecież przy moim sercu spoczywa mała istotka. I zrobię wszystko, by jak najdłużej miała we mnie mamę.

– *Mi dispiace*. Przykro mi – mówi Franco – że spotkałaś na swojej drodze ludzi, którzy cię skrzywdzili.

Nie wie, jak bardzo trafne są jego słowa. Nie ma też pojęcia, że przed tymi ludźmi nie ma ucieczki. A już na pewno nie przed jednym z nich. ON powróci, prędzej czy później.

– Musisz przesunąć stopę do środka – zmienia temat, dając mi tym samym znać, że nie zamierza roztrząsać mojego prywatnego życia. – Zamknę tu, żebyście nie złapały przeziębienia. – Stawia na rozsądek. Wydaje mi polecenie, a kiedy je wykonuję, zgodnie z zapowiedzią zatrzaskuje drzwi.

W tym właśnie momencie widzę przez okno smugę niebieskiego, pulsującego światła, które próbuje przebić się przez śnieg. Opady zdecydowanie zelzały, choć jeszcze niedawno na dobre szalała zamieć.

Franco nie siada na miejscu kierowcy, by jeszcze mi potowarzyszyć. Idzie gdzieś dalej, przed maskę samochodu. Podnoszę się nieznacznie i widzę podjeżdżającą karetkę. Zatrzymuje się tuż obok nas.

Serce podchodzi mi do gardła, choć przecież doskonale wiedziałam, że tak właśnie się stanie. Teraz medycy zabiorą mnie do szpitala. Zapewne tego najbliższego. A więc w tym momencie rozpoczyna się odliczanie mojego czasu. Odliczanie życia, które jeszcze mi pozostało. Mnie i mojej córce.

Głowa bezwładnie opada mi na siedzenie. Jestem taka bezradna. Właśnie kolejny raz uświadamiam sobie, że zwyczajnie przegrałam. Znowu. Choć tak bardzo próbowałam walczyć.

Otwierają się drzwi. Staje przede mną uśmiechnięta, życzliwa kobieta i składa mi serdeczne gratulacje. Przecina pępowinę i odbiera ode mnie córkę, zawijając ją w jakiś kocyk. Mała głośno płacze. Już chcę prosić, żeby mi ją oddali, ale na szczęście szybko się uspokaja.

Paręnaście sekund później podchodzi do mnie dwóch mężczyzn, którzy pomagają mi się podnieść i kładą mnie na noszach. Wspominają coś o łożysku, którego jeszcze nie urodziłam. Nie wiem, co to znaczy. Sądziłam, że łożysko rodzi się razem z dzieckiem. Niosą mnie w kierunku otwartych drzwi skąpanej w migających światłach karetki. Rozglądam się na boki, podrywając głowę do góry.

Niedaleko czarnego auta stoi Franco. Coraz bardziej się od niego oddalam. Wyciera ręce w jakiś biały ręcznik, a jego spojrzenie utkwione jest w ziemi. Nie patrzy na mnie, choć przed chwilą właśnie go mineliśmy.

Sanitariusze coś do mnie mówią, ale puszczam to koło uszu. W umyśle dźwięczy mi teraz tylko głos Franca. Na nowo przeżywam sceny, które rozegrały się w ostatnich minutach. Jedna po drugiej przesuwają mi się przed oczami jak kadry wyjęte z jakiegoś surrealistycznego filmu. Ale to nie jest film. To moje własne życie.

Kobieta głaszcze mnie po policzku.

– Byłaś bardzo dzielna. Wydałaś na świat naprawdę piękną córeczkę – mówi, ale jej pochwały nie mają dla mnie żadnego znaczenia. Niczego przecież nie zmieniają.

Nie jestem dzielna. Wręcz przeciwnie. Zrobiłam to tylko dlatego, że musiałam. Przecież tak czy inaczej dziecko musiałoby jakoś ze mnie wyjść.

Kobieta przykrywa mnie jakimś materiałem. Potem informuje mnie o zakładanym wewnionie i wkłupa mi się w rękę. Twierdzi, że straciłam wiele krwi i potrzebuję kroplówki.

Mężczyzna z napisem „lekarz” zdobionym tył jego ocieplanej bluzy zamyka częściowo drzwi karetki. Widok ciemnego auta znika na dobre. Kiedy łapie za klamkę drugiego skrzydła, by całkowicie zamknąć tył samochodu, coś go powstrzymuje. Odwraca się za siebie. Mija parę sekund, nim zauważam, że tuż przy nim stoi Franco. Wchodzi do pojazdu, trzymając w ręku małą karteczkę, a potem wysuwa ją w moim kierunku.

Rozdział 3

FRANCO

Jeszcze kilkanaście minut temu wierzyłem w to, że za moment ktoś wyskoczy zza drzewa i obwieści mi, że biorę udział w jakimś kiepskim programie telewizyjnym. W pieprzonym show dla kretynów, którzy łatwo dają się nabrać. A ja właśnie stałbym się jednym z nich, bo to wszystko wydawało się szalenie wiarygodne. Teraz mam już absolutną pewność, że to wszystko, co miało miejsce, było prawdziwe. Nawet najbardziej utalentowany aktor nie potrafiłby tak dobrze udawać cierpienia. Wciąż mam przed oczami twarz Giulii. Ból widoczny na twarzy kobiety jest czymś, obok czego nie mogę przejść obojętnie. Może to kwestia mojego wychowania i szacunku, którego zawsze uczyła mnie *nonna*.

Jestem wyczerpany psychicznie. Powinienem już wracać do domu.

Sanitariusz podchodzi do mnie i gratuluje mi zachowania zimnej krwi. Mam nieodparte wrażenie, że mnie zna, choć nie chce dać tego po sobie poznać. Jest uprzejmy. Może to i lepiej. W tym przypadku pozory odgrywają ważną rolę. Sam udaję obojętnego i twardego. Gdyby tylko wiedzieli, co się teraz ze mną dzieje, zmieniliby o mnie zdanie. Nie jestem cholernym superbohaterem, a walka o życie dziecka i tej kobiety zwyczajnie mnie przerosła.

Ostatni raz zerkam w stronę karetki, a mojej uwadze nie umyka jeden, bardzo wyrazisty szczegół. Para niebieskich oczu, wpatrzona we mnie tak intensywnie, że nie sposób pomylić emocje, jakie mieszają się na twarzy ich właścicielki Giulii. To strach. I wyczekiwanie.

Kim ona w ogóle, do diabła, jest? Przed chwilą tak wiele przeszła, a jednak wciąż ma siłę, żeby się podnieść i na mnie zerknąć. Przeszywa mnie niespotykany dotąd dreszcz, kiedy nasze spojrzenia krzyżują się po raz kolejny. Sam nie wiem, co się ze mną dzieje. Zastanawiam się, co ją czeka. Czy człowiek, o którym mówiła – ojciec jej dziecka – faktycznie jej grozi?

Lekarz zamyka prawą część tylnych drzwi karetki. Niebieskie oczy znikają bezpowrotnie. Pojawia się we mnie jakaś dziwna pustka. To koniec. Za moment moje życie wróci do swojego rytmu, ja wrócę do siebie i pójdę spać. *Nonna* na pewno będzie już obracać się na drugi bok.

A życie tej kobiety? Mam wrażenie, że malowane jest czarną kredką. W chwili, kiedy potrzebowała wsparcia, nie było przy niej nikogo. Musiała zdać się na łaskę obcego faceta. To chore. Stary tego dziecka faktycznie musi być niezłym frajerem, skoro zostawił dziewczynę na pastwę losu. Nie zabezpieczył ani jej, ani malucha. Nie brak świrów, którzy nie potrafią ponosić konsekwencji podjętych decyzji. Sam nie jestem wzorem cnót. Cholera. La Befana skutecznie mnie dziś ukarała, każąc mi przeżywać to wszystko. Ale niektóre sprawy bywają trudne do zaakceptowania, nawet przeze mnie.

Działam pod wpływem impulsu. Sięgam do kieszeni i wydaję portfel. Wyciągam z niego niewielką karteczkę – jedną z tych, które zawsze noszę przy sobie. Na wizytówce widnieją moje imię i nazwisko oraz numer telefonu. Podbiegam do auta, sięgam do schowka umiesz-

czonego na drzwiach po długopis i niezgrabnym pismem dopisuję swój adres. W końcu nie mam nawet pojęcia, czy Giulia ma w ogóle komórkę.

Zmierzam w stronę karetki i powstrzymuję lekarza przed zamknięciem lewego skrzydła pojazdu. Mężczyzna wcale się nie spieszy, więc pozwala mi wejść do środka. Kobieta zajmująca się Giulią patrzy na mnie zdezorientowana i pyta mnie, czy potrzebuję jakiejś pomocy. A przecież jestem chyba ostatnią osobą, której należy teraz zapewnić opiekę.

Dziecko płacze, a to znak, że nie powinienem zajmować im czasu. Podaję Giulii wizytówkę z moim numerem telefonu i zapisanym odręcznie adresem. Jest zaskoczona. Nie ma pojęcia, co to jest. Kolejny raz próbuje podnieść głowę, patrząc to na mnie, to na trzymany przeze mnie kartonik.

– Proszę leżeć spokojnie. Jest pani wyczerpana – upomina ją sanitariuszka. Z pewnością zaraz mnie wyprosi.

Giulia wyciąga dłoń przed siebie i zabiera wizytówkę. Nie przygląda się jej. Zamyka ją w dłoni, ściskając tak mocno, jakby była jej ostatnią deską ratunku. Jest smutna, a w jej przekrwionych oczach, nie pierwszy już raz tego wieczoru, pojawiają się łzy. Gdybym zobaczył ją na ulicy, nie mając świadomości, przez co przeszła, pomyślałbym, że to jedna z moich klientek. Zwyczajna ćpunka. Mimo to jej twarz wydaje się inna niż jeszcze przed kilkunastoma minutami. Ostre, wykrzywione grymasem rysy teraz zanikły. Złagodniały. Zaczynam zastanawiać się nad tym, ile może mieć lat. Wydaje się młodsza ode mnie.

Ale to przecież nie jest ważne. Na mnie już czas.

– *In bocca al lupo*. Powodzenia – mówię na odchodne i odwracam się, by wyjść z karetki.

– Franco, on nas zabije... – Jej głos jest przeraźliwie przejmujący. A przekaz brzmi cholernie autentycznie, jakby właśnie stała przed katem, wyczekując egzekucji.

Zatrzymuję się w pół kroku. Zaledwie na moment. Wciąż przecież nie wiem, o kim mówi. To naprawdę nie jest już moja sprawa. Ja wykonałem swoje zadanie. Teraz i ona, i dziecko znajdują się w dobrych rękach. Powinni o nie zadbać. Nie mam pojęcia, czemu wciąż zwraca się z tym do mnie. Nie jestem pieprzoną dobrą wróżką, choć zjawiłem się w życiu tej kobiety akurat w świąteczną noc.

Wychodzę na zewnątrz, udając sam przed sobą, że tego wszystkiego nie słyszałem. Że zupełnie mnie to nie wzrusza.

Wchodzę do auta, opieram się o zagłówek fotela i nabieram powietrza w płuca. Ze zmęczenia szumi mi w głowie. Próbuję ochłonać. Jutro z samego rana powinienem oddać auto do czyszczenia. Staram się ukierunkować myśli w tę praktyczną stronę. Mam nadzieję, że w myjni mają na tyle mocne środki, by udało się doprowadzić jasną skórę do poprzedniego stanu. Teraz jest cała we krwi, jakbym przewoził tutaj kogoś z moich pokiereszowanych zakładników podziemi Peschici, a przecież zawsze starałem się tego unikać. Dbam o swoje auto jak o własne dziecko.

Właśnie, dziecko... Myśli znowu zaczynają mi uciekać nie tam, gdzie bym sobie tego życzył.

Odjeżdżam. Śnieg przestał już prawie padać. Jedynym utrudnieniem okazują się zaspasy, które utworzyły się na drodze. Sprzęt do odśnieżania z pewnością nie zjawi się tutaj zbyt szybko. Powinienem się skoncentrować, choć skupienie się na prowadzeniu auta po wszystkim, co dzisiaj widziałem, urasta do rangi wyzwania. Spotkanie negocjacyjne z żołnierzami, z którego wracałem, teraz wydaje się bardzo odległe i nieaktualne. Jakby nie wydarzyło się przed paroma godzinami, ale co najmniej kilka dni temu. Wciąż myślę o czymś innym. W kółko tylko o Giulii.

I choć nie jestem fanem kojenia emocji drinkami – w końcu po wypiciu procentów zdarzało mi się schrzanić różne akcje – tej nocy zdecydowanie będę potrzebował czegoś mocniejszego.

– Gdzie ja jestem? – Gdzie, do kurwy nędzy, trafiłem? To jakaś cela. Lochy. Ale jakies obce. Zupełnie inne od naszych. Mniejsze, ciaśniejsze i bardziej śmierdzące.

Gdzie jestem? Co to za miejsce?

Zdzieram sobie gardło jednym i tym samym pytaniem. Ale nikt mi nie odpowiada. Jestem w pułapce. Uprowadzono mnie. Przez mikroskopijne, mające około dziesięć centymetrów wysokości i szerokości okno wdziera się zbyt mało światła, bym mógł coś dojrzeć. Przedemną znajduje się tylko metalowa krata, którą zaczynam szarpać. Wraz z każdym kolejnym pociągnięciem coraz bardziej się poluzowuje. Nie jest stabilnie zamontowana.

Wciąż nie mam pojęcia, co znajduje się po jej drugiej stronie. Jestem cały mokry. To chyba pot. A może ktoś mnie czymś oblał? Z włosów kapią mi na nos kolejne krople. Przecieram twarz rękami. Są brudne. Czarne od jakiegoś pyłu. Tkwię w cholernym gównie. *Merde!*

– Otwórzcie te pierdolone wrota! – krzyczę w furii. Szarpię za metalową kratę, aż ta ostatecznie ustępuje. Przewracam się, trzymając ją w dłoniach.

Jest dziwnie lekka, jakby została zrobiona z plastiku. Jeszcze przed chwilą wyglądała na znacznie cięższą. Co to za kaszana? Odkładam ją na bok i ostrożnie wychodzę z zapleśniałej celi. Ile czasu tu spędziłem? Nie mam bladego pojęcia.

– Halo! Jest tu kto? – pytam.

Próbuję wymacać przy pasku swoją broń, ale najwyraźniej ktoś zabrał mi gnata. Kurwa. Można było się tego spodziewać.

Wokół panuje prawie całkowita ciemność. Szara koszulka klei mi się do ciała. Na stopach nie mam butów, są bosc. Przekonuję się o tym dopiero w momencie, kiedy staję na ostrym kamieniu, który kaleczy mi nogę. Syczę, ale szybko się uspokajam.

Nieopodal mnie rozlega się jakiś dźwięk. Pierwszy raz, odkąd się tutaj znalazłem. To odgłos łańcucha. Jakby ktoś uderzał nim o ścianę. Zatrzymuję się w miejscu. A więc nie jestem

tutaj sam. Dreszcz przerażenia przebiega mi po plecach. Może *don Fabio* postanowił zrobić mi jakiś test. Albo żart.

Dźwięk łańcucha dociera do mnie po raz kolejny. Towarzyszy mu jednak zlepek jakichś słów, wypowiedzianych niemal zupełnie niezrozumiale.

– Chodź... tutaj... tutaj... *qui... qui...*

Idę za tym głosem. Staje się coraz wyraźniejszy i coraz głośniejszy, a to znak, że obrałem dobry kierunek. To nie takie proste, kiedy wokół nie widać prawie nic. Uderzanie łańcuchów cichnie i teraz słychać tylko powtarzane jak mantrę słowo „tutaj”. Przytrzymuję się ściany, nieopatrznie zanurzając palce w starej pajęczynie. Wszystko wygląda tak, jakby od lat nikt tutaj nie bywał.

Widzę schodek prowadzący do wyłaniającego się przede mną pomieszczenia z elegancko pomalowanymi na biało ścianami. Dziwny kontrast w porównaniu z resztą zaniedbanego, szarego wystroju. Co to, do cholery, ma być?

Wchodzę na stopień.

– Idę – mówię, odpowiadając na tajemnicze nawoływanie. Choć tak naprawdę wcale nie wiem, do kogo kieruję te słowa.

Kiedy przekraczam próg pomieszczenia, zastygam jak pieprzona lawa.

Naprzeciwko mnie, na jednej ze ścian, wisi kobieta.

Przybita do ściany rękami i nogami tak, że jej ciało tworzy coś na kształt litery X. Krzyż świętego Andrzeja. *Crux decussata*. Od jej rąk aż po stopy przebiega duży, gruby łańcuch, którym została skuta. Dziewczyna ma zamknięte oczy i głowę nieznacznie pochyloną ku dołowi. Pierwszy raz widzę, by jakaś kobieta stała się zakładniczką. To niedopuszczalne. Co ona tutaj robi?

Stoję. Chcę iść, ale nie mogę się poruszyć. Otwieram usta i wyduszam z siebie jakiś nieprzypominający żadnego konkretnego słowa dźwięk. Bełkoczę, jak gdyby ktoś odebrał mi zdolność porozumiewania się. Zarówno krtań, jak i reszta odrętwiałego z przerażenia ciała odmawiają mi posłuszeństwa.

Nagle kobieta podnosi głowę.

Żyje.

Duże, niebieskie oczy przepelnione są tylko jednym. Czystą nienawiścią. Pragnieniem zemsty. Wygląda jak demon. Jej zniekształcona twarz coś mi jednak przypomina.

Nie coś, ale kogoś.

Znam ją. *Mannaggia!* Niech to szlag. Znam tę dziewczynę. Już ją kiedyś widziałem.

Nie poruszając ustami, zaczyna cicho płakać. Ale zamiast łez po policzkach płynie jej tylko bordowa krew. W końcu rozwiera sinoblade wargi.

– On nas zabije – mówi nieludzkim głosem.

Przewracam się, pchnięty jakąś niewidzialną mocą. Zderzenie z ziemią sprawia mi ból. Tracę przytomność...

Podnoszę powieki i momentalnie siadam.

Jestem cały spocony.

Rozglądam się dookoła, zastanawiając się, gdzie jestem. Dotykam ręką miękkiego materaca. To moje łóżko. *La mia casa*. Mój dom. Odchylam głowę do tyłu i oddycham z ulgą. Wciąż cholernie spięty splatam ręce na czubku głowy. Próbuję dojść do siebie.

Miałem koszmar. To był tylko pieprzony sen. Teraz jestem tego w pełni świadomy, choć nadal dyszę, jakbym przeleciał właśnie sprintem całą plażę w Vieste.

Wciąż pozostaje ze mną twarz kobiety ze snu. Nie chce odejść. Zadręcza mnie swoim widokiem. To twarz Giulii. Cholera. Tak, to na pewno była ona. Nie wierzę w przekaz snów. W pieprzoną magię, która bałamuci ludzi i wzbogaca kieszenie samozwańczych wróżek czy jasnowidzów. Nie wierzę w takie brednie. Ale wiem jedno – Giulia porządnie dała mi się we znaki.

Opadam na łóżko i przecieram twarz brzegiem koszulki. Zdejmuję ją z siebie, bo cała lepi się od potu. Leżę jeszcze chwilę, po czym wstaję, bo wiem, że tej nocy i tak nie będę już w stanie zmrużyć oka.

Rozdział 4

GIULIA

– *Buongiorno*. Dzień dobry. Wstajemy. – Cichy głos należący do jakiejś obcej kobiety rozlega się tuż nade mną.

Zapalone światło razi mnie w oczy. Mrużę je, by powoli przyzwycząić się do warunków panujących wokół. Wyteżam wzrok, aż w końcu zza jasnej plamy wyłania się coraz bardziej wyrazista twarz.

Co to za miejsce?

Jęczę, próbując się podnieść. Przeszywający ból pomiędzy nogami dobitnie przypomina mi o tym, co wydarzyło się ostatniej nocy. Jestem w szpitalu.

– Przywieźliśmy pani córeczkę – ciągnie kobieta, chyba pielęgniarka, dłonią wskazując na mobilne łóżeczko. Gondolkę, jak nazwała je poprzedniej nocy. Niektóre szczegóły udało mi się zapamiętać. – Za chwilę przyjdzie położna i porozmawia z panią o karmieniu oraz pielęgnacji maluszka. Udzieli niezbędnych porad, więc proszę uważnie słuchać. – Uśmiecha się życzliwie. – Gdyby miała pani jakieś pytania, proszę śmiało o tym mówić. Położna rozwieje wszystkie wątpliwości. Po to przecież jest.

Przypominam sobie, co działo się jeszcze parę godzin temu. Wspomnienia nie są pełne. Czuję, że brakuje w nich niektórych fragmentów. Zabrali małą do dyżurki na całą noc. Stwierdzili, że straciłam zbyt wiele sił i jestem wyczerpana, więc powinnam odpocząć. Dali mi się wypaść, a ja najwyraźniej w pełni z tej możliwości skorzystałam. Wzbraniałam się, ale moja fizyczność okazała się silniejsza. Potrzebowałam snu, by móc odpowiedzialnie zaopiekować się małą.

Rozglądam się po sali. Nieopodal mnie stoi jedno puste łóżko. Znajdująca się przy nim niezagospodarowana jeszcze szafka świadczy o tym, że póki co jestem w tym pomieszczeniu jedyną pacjentką. Może to i lepiej.

– Wszystko w porządku? – pyta pielęgniarka. – Jakaś pani milcząca – dodaje, siadając na skrawku szpitalnej kołdry, którą jestem okryta.

To starsza kobieta. Sympatyczna i poświęcająca mi czas. Widzę ją zaledwie przez chwilę, a już czuję, że pracuje tutaj z powołania. Z sercem na dłoni. Bije od niej autentyczne ciepło. Na moment robi mi się lżej na sercu.

– *Si*. Tak. Wszystko jest okej – odpowiadam słabym głosem.

– To dla pani nowa sytuacja, ja wiem. To całkowicie normalne, gwarantuję – mówi, podejmując temat. Jakby naprawdę mnie rozumiała. – Bycie mamą, a już na pewno po raz pierwszy, to zawsze wielki szok dla kobiety. Dla organizmu i przede wszystkim dla psychiki – zapewnia mnie. – To czas ogromnych zmian. Trzeba na nowo zagospodarować sobie cały dzień.

Ale potem przychodzi taki moment, że nie wyobrażamy sobie, by mogło być inaczej. By tej małej istotki mogło w naszym życiu zabraknąć. – Uśmiecha się.

Ściska mnie w żołądku. Nie chcę stracić małej. Mam ją zaledwie moment, a już nie wyobrażam sobie, jak mogłabym chcieć się jej pozbyć. A jednak będę musiała, wbrew swojej woli. Bo moje zdanie nie ma tutaj żadnego znaczenia.

Pielęgniarka nie ma pojęcia, jak bardzo chciałabym cieszyć się tą chwilą. Ale po prostu nie jest mi to dane. U mnie nie będzie tego czasu „potem”, kiedy wszystko się unormuje, kiedy obie z córeczką się zgramy. Nie będę mogła usłyszeć, jak mówi do mnie „mamma”. U mnie jest tylko „teraz” – i właśnie w tym tkwi problem. Dla nas nie ma przyszłości. Nasze jutro zostało już dawno przekreślone grubą kreską.

– Grazie. Dziękuję – odpowiadam, żeby nie prowokować do dalszych pytań.

Kobieta bardzo się troszczy. O mnie i o maluszka. Jestem jej za to wdzięczna. Znowu natchodzi mnie wzruszenie. Nie powinnam płakać. To nie czas na łzy. Muszę być silna, bo słabość może okazać się moim przekleństwem.

– Proszę myśleć o czymś przyjemnym. Czy wybrała już pani jakieś imię dla dziecka? – Przechyliła głowę na bok, uważnie się mi przyglądając.

Wiem, co o mnie pomyśli. Że jestem wyrodną matką. Złą do szpiku kości i myślącą tylko o sobie. Nie stać mnie nawet na to, by nazwać istotkę, która rosła we mnie przez taki szmat czasu. To zapewne nietypowa sytuacja. Zdecydowana większość rodziców pewnie ma dla swoich dzieci przygotowane starannie przemyślane imiona. Imiona, o których debatowali długo przed narodzinami swoich pociech. A kiedy te wreszcie przychodzą na świat, witają je euforycznym: *ciao Pippo*, *salve Chiara* czy *buongiorno Rossana*.

Piecze mnie w gardle. Jakby zacieśniał mi się przetyk. Znowu pojawia się to nieprzyjemne uczucie żalu. Dlaczego u mnie nie może tak właśnie być? Jakbym niedostatecznie dużo już w życiu wycierpiała.

– Nie wybrałam. – Zawstydzona kręcę głową.

– To proszę pomyśleć. – Nie karci mnie. – To całkiem miłe wyzwanie – zachęca. Ta kobieta naprawdę mnie nie ocenia, tylko szczerze mi doradza. – Pani córeczka przyszła na świat w nietypowych warunkach. To mała wojowniczką. Może warto byłoby jej imieniem do tego nawiązać – sugeruje i wstaje z mojego łóżka. – Muszę już iść. Po spotkaniu z położną przyjdę pomóc przygotować się do kąpieli. Będzie pani lepiej, jak weźmie pani prysznic. To jest zawsze prosty i niezawodny sposób, który stawia na nogi. – Puszczą do mnie oko, po czym wychodzi.

Patrzę na gondolkę. Za przezroczystą, plastikową płytą widać małe zawiniątko. Czuprynka czarnych włosów kontrastuje z jasną pościelą. Podnoszę się, wspierając się na rękach. To nie takie proste. Myślałam, że dzisiaj będzie już ze mną lepiej, tymczasem po całej nocy spędzonej w jednej pozycji zdążyłam się zastać. Rana pomiędzy nogami piecze, jakby otwierała się na nowo.

Marszczę czoło, zagryzając przy tym zęby.

Pochyliam się nad dzieckiem. Serce zaczyna mi bić zdecydowanie szybciej. Malutka jest piękna. Ma niewielki nos i lekko rozwarłe usteczka. Ktoś położył obok niej smoczek. Najwyraźniej dostała go od pielęgniarek.

– Mała wojowniczo – szepczę, głaszcząc jej policzek. – Gdzie my się podziejemy? – pytam, choć przecież sama nie znam odpowiedzi.

Zakładam włosy za ucho, bo opadają do łóżeczka, łaskocząc buźkę maluszka. Wiem, że są różne instytucje, do których mogłabym się zgłosić, ale nie możemy istnieć w systemie. ON ma kontakty, możliwości. I znajdzie nas wszędzie. Tu także. Dziwię się, że jeszcze go nie ma. Zerkam na drzwi, jakby moje myśli miały go przywołać.

– Kocham cię, maleńka – mówię, i słowa te przynoszą mi ulgę, mimo tego całego bagna, w którym obie utknęłyśmy. Są prawdziwe. Ona, moja córeczka, to jedyne, co mam. Jedyne, co kocham. Walczyła dla mnie, w tak podłych warunkach, by w końcu mi się pokazać. Teraz ja będę o nią walczyć. Jestem jej to winna.

Kąpiel, jak zapowiadała pielęgniarka, faktycznie przynosi ulgę. Wczorajsze ubrania wiszą na przenośnym kaloryferze ustawionym niedaleko mnie. Jest gorący, więc powinny szybko wyschnąć. Plamy krwi nie zeszły całkowicie. Mam przy sobie trochę gotówki – tyle, ile zdążyłam zabrać podczas ucieczki – więc po wyjściu będę musiała coś kupić. Sobie, ale też przede wszystkim małej. Nie mamy ze sobą nic.

Zerkam w dół na dziwną koszulę w baranki, którą mi rano założono. Jest całkiem zabawna. Nie miałam przy sobie swojej, bo gdybym wtedy jeszcze chciała spakować walizkę, z góry byłabym skazana na przegraną. Nie zdążyłabym. To i tak cud, że udało mi się uciec. Wykorzystałam jedyną szansę, jaką miałam. Zaryzykowałam, a gdybym się potknęła, z pewnością już by nas tutaj nie było. JEGO chwila nieuwagi okazała się dla mnie okienkiem, światłem w tunelu. Wiem, że jeśli nas znajdzie, ja tego nie przeżyję. Mogę sobie wyobrazić, jak bardzo mnie teraz nienawidzi. Ale moja córeczka ma szansę, zrobiłam to dla niej. Może jakimś cudem trafi w dobre ręce, zacznie wszystko w nowym środowisku i wyrośnie na dobrego człowieka. Nieświadoma tego, jaki miała start. Powinam ją tutaj oddać. Zostawić pielęgniarkom. Ale z biegiem czasu ta opcja wydaje się znacznie trudniejsza, niż przypuszczałam. Nie miałam pojęcia, że można kogoś tak bardzo pokochać w zaledwie parę sekund. Kiedy ją pierwszy raz zobaczyłam, mój świat stanął do góry nogami kolejny raz.

Starsza pielęgniarka, która wcześniej ze mną rozmawiała, rozczesuje mi włosy. Mam wrażenie, że otrzymuję na tym oddziale specjalne traktowanie. Zespół medyczny chyba orientuje się, że moje życie osobiste to wielka porażka. Trudno się tego nie domyślić. Nie mam ze sobą nic, nikt też nie pokwapił się, żeby mnie odwiedzić. Podczas gdy inne pacjentki zdają się mieć gości, ja leżę na sali sama jak palec. *Sola. Respinta.* Odrzucona przez świat. W pożyczonej piżam-

mie, bez skompletowanych ubrań i imienia dla dziecka. A jedyną osobą, która mogłaby przyjść do mnie w odwiedziny, jest ON.

Kolejny raz ogarnia mnie przerażenie. Oddycham zbyt szybko, by móc uznać to za normalne. Staram się odgonić straszne myśli, ale to nie takie proste. Przed oczami migają mi sceny z nieodległej przeszłości, kiedy się do mnie zbliżał.

Zaczynam drżeć.

– Czy coś się dzieje? – Kobieta przestaje mnie czesać i nachyla się w moją stronę.

– No. Nie. Nic. – Pospiesznie kręcę głową, choć zdaję sobie sprawę, że moje ciało mówi coś zupełnie innego. – Tylko trochę mi zimno – okłamuję ją. – Po tej kąpieli.

– Rozumiem – odpowiada, ale nie wygląda na przekonaną.

Odwracam wzrok od jej twarzy i przenoszę go na swoje dłonie. Nie potrafię udawać i jestem tego w pełni świadoma.

Nastaje niezręczna cisza.

– I jak, myślała już pani o tym imieniu? – zagaduje, kontynuując czesanie.

Pytała już o to wcześniej, ale nie byłam w stanie się skupić, by wymyślić coś sensownego. Zastanawiam się na tym, co jej odpowiedzieć, ale wtedy z pobliskiego pomieszczenia dochodzi dźwięk dzwonka przywoławczego. Najwyraźniej ktoś potrzebuje pomocy. Pielęgniarka odkłada szczotkę na bok.

– Muszę już iść – kończy i zostawia mnie samą.

Mała zasypia przy piersi. Męczy ją ssanie, a ja wciąż mam zbyt mało pokarmu, by mogła się w pełni najęść. Martwię się tym, choć położna udzieliła mi cennych wskazówek i zachęcała do tego, żeby się nie poddawać. Dokarmiła też córeczkę sztucznym mlekiem, żeby nie była głodna. Nie każdy wie, jak straszny potrafi być głód. Kiedy człowiek nie dostaje niczego do jedzenia przez parę dni, dla miski ryżu jest w stanie zrobić naprawę wiele. Odkładałam dziecko do łóżeczka i siadam na krawędzi mojego szpitalnego łóżka. Może nie należy do najwygodniejszych, ale po tym, co przeszłam, i po karach, które ON dla mnie wymyślał, to łóżko przypomina królewską alkowę.

Wyciągam sfatygowany telefon – drugą rzecz, jaką zabrałam oprócz JEGO portfela, w którym trzymał mój dowód tożsamości. Komórka ma pęknięty wyświetlacz, który uszkodził się podczas ucieczki – wypadła mi z kieszeni płaszczka, kiedy chciałam wezwać pogotowie, ale nie było zasięgu. Uruchamiam urządzenie i przyglądam się rozświetlającemu się ekranowi.

Klikam w ikonę z przeglądarką Google. Wpisuję „imię dla wojowniczk”. Powoli i ze skupieniem. Czynność sprawia mi trud. ON nieczęsto pozwalał mi korzystać z telefonu. Musiałam na to zasłużyć. Zawsze kontrolował strony, na które wchodziłam. Nie wiem, w jaki sposób to robił. Nieraz karmił mnie za to, że szperałam po stronach internetowych, których nie pochwalał.

Pojawia się pierwszy wynik wyszukiwania. Marcella – wojowniczką. Znałam już jednak jedną osobę o takim imieniu. Nie była dla mnie dobra i nie miała w sobie ani krzty wojowniczej duszy. To imię stanowczo nie jest dobre.

Otwiera się cała lista propozycji imion dla silnych dziewczynek: Barbara, Joseppina, Gabriella, Nicoletta, Elena.

Elena. Jak ta z Troi. Królowa Sparty. Wpatruję się w zbitkę liter układających się w jeden wyraz. Czuję niespodziewany przyływ euforii. Wstaję i przysuwam do siebie gondolkę z maluszkiem. A potem uśmiecham się sama do siebie.

– Będiesz Eleną – szepczę do córeczki. Wyciągam palec i głaszczę ją po policzku. – Elena – powtarzam.

Malutka porusza się pod wpływem mojego dotyku, ale nie otwiera oczu. Jakby chciała dać mi znać, że się jej podoba. Wciąż słodko śpi.

Nagle jednak słyszę dźwięk, który całkowicie przykuwa moją uwagę i przerywa ten chwilowy stan radości. Dwa krótkie drgnięcia – wibracje dochodzące z łóżka, na którym zostawiłam telefon. Instynktownie odwracam się za siebie. Spoglądam na kołdrę.

Na ekranie komórki widać jakąś wiadomość.

Przykrywam usta dłońmi. Moje wargi zaczynają dygotać. Boję się dotknąć urządzenia, a zarazem wiem, że muszę to zrobić. Ekran gaśnie. Stoję jak wryta, nie wykonując żadnego ruchu. Waham się, choć to przecież w niczym mi nie pomoże. Malutka zaczyna kwilić.

Łapię telefon w dłoń i włączam ekran. Ktoś najwyraźniej chce mi coś przekazać. Jestem świadoma tego, że dotąd oprócz wiadomości reklamowych nie dostawałam żadnych komunikatów. Nikt się ze mną nie kontaktował, bo nikt nie ma mojego numeru. Nikt poza NIM.

Zerkam na treść esemesa.

Dobrze wiesz, że mi nie uciekniesz, la puttana. Kurwo. Znajdę cię. Jeszcze dziś.

– No... No... Nie... Nie... – Tylko nie to. W gardle urasta mi gęstwa wielkości piłki. Stoję jak sparalizowana. Nie licząc drżenia mojego ciała. Nerwowo wyłączam telefon.

Być może już mnie zlokalizował. Być może już tutaj jest. Zawsze mi groził, że ma kontakty. To skutecznie wybijało mi z głowy pomysły podjęcia jakichkolwiek prób ucieczki. Choć na samym początku jeszcze wierzyłam, że będą miały sens. Z czasem wiara zanikła. ON zawsze miał znajomości, przy których byłam bez żadnych szans.

Obejmuję głowę dłońmi i zaciskam ręce na skroniach. Mój własny dotyk sprawia mi ból.

Patrzę na swoje dziecko. Mała Elena znowu zaczyna się wiercić. Łapię za gondolkę i biegnę z nią w stronę dyżurki pielęgniarek. Nie mam czasu do stracenia.

Mijam spacerującą, ubraną w szlafrok kobietę, która rozmawia z kimś przez telefon, i docieram do biurka, przy którym siedzi młoda dziewczyna. Jeszcze jej tutaj nie widziałam. Ma na sobie biały fartuch i plakietkę z imieniem, więc musi być z personelu.

– Si? – rzuca, nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem. Wypełnia jakieś rubryki.

– Czy jest jeszcze *infermiera* Antonietta? – pytam, ponieważ zapamiętałam imię wypisane na plakietce starszej pielęgniarki, która jeszcze nie tak dawno czesała mi włosy. Wydawała się mnie rozumieć. Mogłabym jej zaufać. To moja jedyna szansa.

– A czego potrzebujesz, *ragazza*? – Za moimi plecami rozlega się znajomy głos.

Odwracam się i widzę, że to ona. Uśmiechnięta pani Antonietta. Zdażyła już zdjąć uniform, a więc najwyraźniej skończyła pracę.

– Muszę stąd czym prędzej wyjść. Dzisiaj. – Zdam sobie sprawę z tego, jak absurdalnie brzmi moja prośba.

Oczy stojącej przede mną kobiety rosną. Kręci głową i otwiera usta, by coś powiedzieć. Jestem pewna, że nie podoba się jej to, co przed chwilą usłyszała. Ale to nie jest zwykły kaprys.

– Chcę nas wypisać na własne żądanie – uprzedzam ją, zanim zacznie mnie przekonywać.
– Mnie... i małą – dodaję.

– Proszę ze mną. – Klepie mnie po plecach, zabiera gondolkę z maluszkiem i rusza do mojej sali.

To w zasadzie chyba najlepszy pomysł. Tylko tam możemy porozmawiać na osobności.

Przekraczam próg mojego tymczasowego lokum, co rusz oglądając się za siebie. Zerkam na drzwi prowadzące na oddział, nim na dobre znikam z korytarza.

– O czym pani mówi? – Kobieta mruży oczy i próbuje wyczytać coś z mojej twarzy. – Chce pani wyjść? Ja rozumiem, że szpital to nie pięciogwiazdkowy hotel, ale to naprawdę nie jest rozsądne rozwiązanie. – Znowu kręci głową. – Poza tym, przecież ma pani ogromne szanse, żeby opuścić go jutro. Tyle da radę pani wytrzymać, zapewniam – przekonuje mnie do swoich racji.

Nie ma pojęcia, że wygody nie mają dla mnie żadnego znaczenia. Gdybym była pewna, że jestem tutaj bezpieczna, mogłabym zostać nawet rok. Co ja mówię. Mogłabym tutaj zamieszkać.

– Ja i Elena musimy wyjść dzisiaj. Jutro może być już za późno. – Od nadmiaru emocji wibruje mi głos.

Pielęgniarka wzdycha. Na moment odwraca spojrzenie.

– Giulia – zwraca się do mnie po imieniu i łapie mnie za ramię. – Domyślam się, że nie wszystko jest u ciebie tak, jakbyś sobie tego życzyła. Ale proszę mi uwierzyć, że zdrowie...

– Właśnie o nie chodzi. O zdrowie. I o życie – wtrącam. Musi mi uwierzyć. – Ojciec mojego dziecka to zły człowiek. Bardzo zły. Grozi nam... – Słowa więzną mi w gardle.

Kobieta wygląda na oszołomioną. Trudno się jej dziwić po tym, co ode mnie usłyszała. Być może ma mnie za osobę niespełna rozumu.

– Proszę mi uwierzyć, że jesteś tutaj bezpieczna. W recepcji nie udzielają żadnych informacji o osobach przebywających na oddziałach szpitala bez wyraźnej, pisemnej zgody pacjenta. Nikt się nie dowie, że tu jesteś, jeśli sama na to nie pozwolisz. Gwarantuję – tłumaczy, choć

przecież nie ma pojęcia, z jakimi siłami walczę. Nie wie, kim jest mój oprawca, a to człowiek zdolny do wszystkiego.

– ON z pewnością już wie, że tutaj jestem. Jego zjawienie się w tej sali to tylko kwestia czasu – szepczę. Z oczu zaczynają mi płynąć łzy.

Pielęgniarka milczy. Waha się, bo sama nie wie, co ma mi teraz powiedzieć. Jest zaskoczona moimi słowami. Tym, że częściowo się przed nią otworzyłam. Postawiłam ją w trudnej sytuacji. W końcu tutaj chodzi nie tylko o mnie. Ja z pewnością mogłabym się wypisać w każdym momencie i nie miałoby z tym problemu. W grę wchodzi jednak także dziecko, a ja na pewno nie wyglądam na osobę doskonale przygotowaną do macierzyństwa.

– Pozwól, kochana, że o coś cię jeszcze zapytam. – Zastanawia się nad czymś i szepcze: – Znasz może rodzinę Trovato? Albo Meli? Czy o nich mówimy?

Kręcę głową. Nie mam pojęcia, o kim mówi. Nie znam ich. Nie znam prawie żadnych ludzi. Nie można mieć żadnych kontaktów, kiedy spędza się połowę swojego życia w odosobnieniu.

Kobieta wzdycha głośno. Jeszcze przez chwilę pozostaje zatopiona w swoich myślach, a w końcu mówi:

– W szczególnych przypadkach można opuścić szpital po dwunastu godzinach od porodu. Na własne żądanie – zaznacza głośno i wyraźnie. – Ale bądź świadoma tego, że podobnych praktyk absolutnie nie popieram.

– *Grazie* – odpowiadam pospiesznie. – Tak bardzo pani dziękuję.

– Niech mi pani nie dziękuje – studzi mój entuzjazm. – To nie ja będę o tym decydować tylko lekarz. Spróbuję jeszcze złapać pediatrę. Musiałby zbadać małą i ostatecznie zdecydować, czy w ogóle byłaby taka możliwość. Mała musiałaby mieć niski poziom bilirubiny. Inne parametry też musiałaby być w normie. Zobaczymy, co da się zrobić, bo jeszcze nie wszystko jest przesądzone – kończy. A potem, nie czekając na moją reakcję, wychodzi na zewnątrz.

Widzę, że nie jest zadowolona, a mimo to mam wrażenie, że będzie starała się mi pomóc. Jakimś cudem naprawdę mi uwierzyła. Nie okłamałam jej. Usłyszała ode mnie prawdę i najwyraźniej, tak jak sądziłam, potrafi ją w ludziach dojrzeć.

Wychodzę ze szpitala. Od razu atakuje mnie chłodne powietrze, choć od wczorajszej nocy zdecydowanie ubyło już śniegu. Zerkam na małą. Śpi. Podciągam kocyk, który otrzymałam w szpitalu od jednej z okolicznych fundacji zajmujących się ubogimi, samotnymi matkami. Do tego parę ciuszków, pieluszki i butelka na mleko. Przynajmniej mam coś na start.

Kiedyś nie byłam uboga, a moje życie wyglądało całkiem normalnie. Mieszkałam w domu, w którym nie brakowało miłości. Od czasu, kiedy zginęli moi rodzice, nie miałam już prawdziwej rodziny. Ta zastępcza nigdy mnie nie kochała. Nawet przez chwilę. Budynek, w którym przeżywałam swoje piekło, nigdy nie stał się moim prawdziwym domem.

Malutka leży w nosidelku. Wypożyczonym. Musiałam za nie zapłacić kaucję. Na szczęście pieniędzy wystarczyło i jeszcze trochę mi nawet zostało. Nosidelko wydaje się bardziej przydatne, niż wcześniej przypuszczałam. Pielęgniarka naciskała, bym się na nie zdecydowała. Miała rację. Jest wygodne, a dziecko zostało dzięki niemu osłonięte przed zimnym wiatrem.

Rozglądam się nerwowo dookoła. Muszę być skrajnie ostrożna. ON może być wszędzie. Czuję się dziwnie. Wszyscy wydają mi się podejrzani, jakby celowo na mnie patrzyli. Jakby węszyli. Popadam w paranoję. Kręci mi się w głowie. Mój stan psychiczny nie należy do najlepszych. Nie potrafię funkcjonować w normalnym świecie, przynajmniej na ten moment. Walczę ze sobą, by odzyskać równowagę.

Muszę zrobić zakupy. Nie mam ubranek dla dziecka. Potrzebuję podkładow poporodowych. Mleka. Mam tylko wstępną wyprawkę, którą otrzymałam w szpitalu.

Wcześniej nie przygotowałam nic, ale nie miałam takiej możliwości. Przecież w miejscu, w którym przebywałam, Elena nie miała prawa się urodzić. To było zakazane. Mój oprawca bał się, że przeleję na nią miłość, której dla niego mogłoby zabraknąć. A przecież nigdy go nie kochałam. Jedynym uczuciem, jakim zawsze go darzyłam, była czysta nienawiść. Nie potrafił tego zrozumieć. Żył w swoim wymagowanym świecie, ślepy na to, co prawdziwe.

Zastanawiam się, co powinnam zrobić, ale dostrzegam tylko jedną opcję. Każda inna wydaje się skazana na porażkę.

Wyjmuję z kieszeni przedmiot, który stał się dla mnie cenniejszy niż wszystkie klejnoty tego świata. Obracam go w palcach. Chwytam się brzytwy, by nie utonąć.

Franco Meli – czytam zapisane na kartoniku słowa.

Marszczę brwi. Mam wrażenie, że już gdzieś słyszałam to nazwisko. Nieważne.

Na niewielkiej, wygniecionej wizytówce widnieje wykaligrafowany odręcznie adres. Podnoszę głowę i odszukuję wzrokiem taksówkę. Wyjmuję z portfela pieniądze, przeliczam i nie zastanawiając się ani sekundy dłużej, biegnę w jej kierunku.

Rozdział 5

FRANCO

– *Cari amici*. Drodzy przyjaciele – zwracam się do chłopaków dość formalnie, ale to forma przemowy. Chcę, żeby poczuli jej podniosły ton. – Daliśmy radę – oznajmiam. – Pieprzony covid tym razem nie pomieszał nam szyków. Dostawy dotarły na czas i wywiązaliśmy się ze wszystkich ustalonych terminów. Choć nie ukrywam, że było ciężko. – Wyjmuję z walizki zwitek banknotów i rzucam go prosto do rąk jednego z moich żołnierzy.

Uśmiecha się zadowolony, bo nic nie smakuje lepiej niż nagroda w postaci satysfakcji i kasy za dobrze wykonaną robotę. Tak samo nagradzam pozostałych siedmiu chłopaków. Na koniec podchodzę do siedzącego obok mnie Biagia, którego darzę szczególnym zaufaniem i podaję mu konkretną sumkę.

Zaczynają bić brawo, sobie i mnie. Udziela mi się ich nastrój. To naprawdę cholernie przyjemna chwila. Wybuch tej całej pandemii skutecznie utrudnił nam współpracę z naszymi dostawcami. Odwołano nie tylko wiele lotów, ale i kluczowych dla nas rejsów. Trochę na tym ucierpieliśmy, ale ostatecznie wyszliśmy na prostą. Mam nadzieję, że w tym roku nie będzie już takiego świrowania. Wiem, że przez tego wirusa wiele osób zwyczajnie się przekreśliło, ale ileż można.

– Prezent na święto Trzech Króli, *la Epifania*, od naszego *capo* – mówi Biagio.

– *Si* – potwierdzam. – Dzisiaj mogę być waszym Kacprem, Melchiorem czy Baltazarem, jak wolicie. Sęk w tym, że zamiast kadzidła czy mirry mogę podarować wam co najwyżej koks. – Wzruszam ramionami. – Ale też jest sypki.

Wybuchają głośne śmiechy.

– Ciszej, kretyni – karcę ich i podchodzę do otwartego okna, by je zamknąć. Wcześniej wietrzyłem, bo w środku zebrało się tylu ludzi, że zdążyło zrobić się duszno.

Zamykam walizkę, zostawiając resztę działki dla siebie. Wieczorem zadzwonię z raportem do *dona* Fabia. Widzieliśmy się raptem tydzień temu, ale wtedy nie miałem dla niego aż tak dobrych wieści. Będzie zadowolony. Swoją drogą, rzadko się na mnie zawodzi.

Czuję, jak ogarnia mnie senność. Chce mi się ziewać, ale tłumię to uczucie.

– Kiepska noc? – zauważa jeden z moich żołnierzy.

– Ażebyś wiedział – odpowiadam, nie mając zamiaru wchodzić w szczegóły. Prędzej uwierzyliby w jakąś kiepską opowieść o nawiedzających mnie duchach aniżeli w to, co naprawdę mi się przydarzyło.

Wciąż sam nie pojmuję tego, że udało mi się odebrać poród. Z perspektywy czasu dziwię się, że podjąłem się tego wyzwania. To było odpowiedzialne. I trudne. Gdybym miał to zrobić kolejny raz, na pewno bym się nie zdecydował. Ale nocą działałem impulsywnie. Zrobiłem to wszystko pod wpływem emocji.

Potrzebuję kawy. To na pewno pomoże mi oprzytomnieć. Kiedy już chłopaki się stąd wyniosą, zwlokę się do kuchni *nonny*.

– Dobra, panowie, na dziś to koniec – obwieszczam, chcąc się ich stąd jak najszybciej pozbyć. Nie jestem w nastroju do dłuższych pogadanek.

– *Capo Franco*, może jedna rozgrywka na konsoli? – Biagio podchodzi bliżej mnie.

Wiem, że na wiele mu pozwalam, ale ostatnio przykleił się do mnie jak rzep do psiego ogona.

– Spadaj, dzieciaku – mówię mu, choć jest zaledwie rok młodszy ode mnie. Ma dwadzieścia sześć lat i mieszka w Vieste od urodzenia. Podobnie zresztą jak ja.

Wszyscy wstają, więc mam zamiar odprowadzić ich do drzwi. Ale te właśnie się otwierają i staje w nich *nonna Adele*. Moja własna babcia.

Dębieję, bo nigdy nie wchodzi bez zapowiedzi. Jestem zszokowany, obserwując, jak zza grubych okularów rozgląda się po całym towarzystwie. Wie, kim jestem, tak jak ja wiem, że ta sytuacja nie jest dla niej komfortowa. Chłopaki grzecznie się z nią witają. Zmierzam w jej kierunku.

– *Nonna*, mogłaś zapukać – wzdycham, ale nie chcę teraz się na nią wkurzać. – Czy coś się stało? – dopytuję, bo wygląda naprawdę nieswojo.

Kiwa głową, że tak, ale nic więcej nie mówi. Niecierpliwię się, ale daję jej czas. Ma już swoje lata. Zresztą, wiele jej zawdzięczam. Zajmowała się mną od najmłodszych lat. I mimo różnicy pokoleń, wciąż potrafimy się dogadać.

– Na dole czeka na ciebie jakaś kobieta – dodaje w końcu.

Jej słowa nie umykają uwadze pozostałych. Teraz coś głupio mruczą, bo w ich pustych łbach pewnie pojawiło się tylko jedno skojarzenie. Ja natomiast w tym momencie nie mam absolutnie żadnych. Z Dorotą na pewno nie byłem umówiony. Chyba że czegoś ode mnie chce. Przewracam oczami. Nie pierwszy raz zupełnie z zaskoczenia uraczyłaby mnie swoją wizytą. Ale gdyby to była ona, *nonna* nazwałaby ją po imieniu. Przecież ją zna.

– Zapukała do drzwi, a potem zapytała, czy mieszka tutaj *Franco Meli* – kończy babcia.

Czuję się totalnie dezorientowany, ale jeśli nie zejdem na dół i nie sprawdzę, nie będę wiedział, z kim mam do czynienia.

– Zostańcie tutaj jeszcze na chwilę – rzucam polecenie w stronę całego towarzystwa. Nie potrzebuję świadków przy załatwianiu prywatnych spraw. Potem idę krok za krokiem za moją babką, żółwym tempem wlokąc się po schodach prosto do wejściowych drzwi naszego wiekowego domu.

Poprawiam biały T-shirt, bo kiedy jestem u siebie, nie zawsze ubieram się formalnie. Przecheszuję ręką włosy, choć po ostatnim cięciu są tak krótkie, że wcale nie trzeba ich układać. Nośłem już na głowie różne fryzury, nawet przypałowy tleniony blond – skutek uboczny przegranego zakładu. Ale ta, którą mam teraz, pozostanie ze mną na długo. Wygoda przede wszystkim. I chyba w czarnym bardziej mi do twarzy.

Chwytam za klamkę i pociągam drzwi w swoją stronę.

O jasna cholera.

– Co ty tutaj robisz? – pytam, nim przychodzi mi do głowy jakakolwiek inna myśl. Kobieta, której wczoraj pomogłem, jest chyba ostatnią osobą, jakiej mogłem się tutaj spodziewać. Czy aby nie powinna przebywać teraz w szpitalu?

– *Io...* Ja... – zaczyna. Szybko opuszcza głowę, kiedy zauważa moją niezadowoloną minę. Chyba nie wyglądam zbyt przyjaźnie. Ale nie ukrywam, że jestem kompletnie skołowany. – Musiałam uciekać. – Zamyka oczy. – Wyszłam ze szpitala na własne żądanie. Gdybym tego nie zrobiła, i małej, i mnie mogłoby już tutaj nie być. – Milknie.

Dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, że trzyma w ręce jakiś leżaczek z dzieckiem w środku. Noworodek jest przykryty kocem.

– Błagam, niech nam pan pomoże. Tutaj nie chodzi o mnie. Chodzi o nią. Ona nie zasłużyła na taki los – kończy rozpaczliwie, jakby miała za moment wybuchnąć płaczem.

To jakaś wariatka. Najwyraźniej dalej śnię. To musi być kontynuacja tego pochrzanionego koszmaru, który męczył mnie nocą. Czy ja wyglądam na dobrego anioła? A może na prezesa organizacji charytatywnej albo przynajmniej właściciela domu samotnej matki?

Nie. Nie jestem nikim takim. Dlaczego, do cholery, tak się do mnie przykleiła?

– I myślisz, Giulia – zwracam się do niej po imieniu – że możesz ot tak zjawiać się w progu mojego domu i oczekiwać, że rzucę wszystko w diabły, żeby się tobą zająć? – Parskam i na moment odwracam wzrok. – Nie znam ani ciebie, ani twojego dziecka, ani typu, o którym cały czas gadasz. Wiem jedno. Że w tym momencie rozstrajasz cały mój dzień – karczę ją, bo od wczoraj trudno mi odnaleźć w sobie spokój.

Jej wargi drżą. W oczach, oprócz strachu, widzę teraz także rozczarowanie. Co sobie wyobrażała?

– Czego ode mnie chcesz? – pytam mało uprzejmie, ale konkretnie. Zakładam ręce na piersi. Nie mam czasu na sterczenie w progu i bezsensowne gadki.

Nie jestem za nią odpowiedzialny, a już na pewno nie za jej dziecko. Współczuję jej, jeśli to, co mówi, jest prawdą – w końcu nie jestem bez serca. Choć ciężko mi w to wszystko uwierzyć. Ale mam swoje bagno, przez które próbuję brnąć. Nikomu nie zrzucam na barki swoich problemów. Chyba powinna zrobić to samo.

– Dał mi pan swoją wizytówkę – mówi tak cicho, że ledwo ją słyszę.

Przenoszę wzrok na malucha, który pomimo mojego podniesionego głosu wciąż spokojnie śpi. Owszem, dałem. Ale naprawdę nie przypuszczałem, że z niej skorzysta. Poprzedniej nocy po prostu mnie poniosło. Cała sytuacja naprawdę mnie przerosła. Mam zamiar powiedzieć jej, że to był mój błąd, jednak ona odzywa się jako pierwsza.

– *Mi perdoni.* Przepraszam – przygryza usta. Jest roztrzęsiona. Drży. – Bardzo pana przepraszam. – Marszczy czoło. Jej delikatne rysy znowu się zmieniają. Ma naprawdę ładne oczy. Teraz wydają się bardziej szklane niż jeszcze przed chwilą.

Nie chcę na to patrzeć. To nie jest moja sprawa. Cholera jasna!

– Mimo to bardzo dziękuję za to, co pan dla mnie zrobił. To i tak za dużo. Nie powinnam była pana w to mieszać. – Przyciąga do siebie plastikowy uchwyt leżaczka. Niemowlak porusza ręką, ale nadal nie otwiera powiek. Giulia ociera rękawem policzek, nie zwracając już na mnie uwagi. Odwraca się plecami, bo chyba nie ma już nic więcej do powiedzenia. – Do widzenia – rzuca przez ramię i odchodzi.

Nie odpowiadam. Pozwalam jej iść. Splatam ręce z tyłu głowy i czuję, że pomimo zimna jest mi cholernie duszno. Czekam, wgapiając się w oddalającą się postać. Nie wiadomo po co. Czuję tylko, jak z nerwów pulsują mi skronie.

– *Cazzo!* – Uderzam pięścią w ścianę. A potem, jak ostatni kretyń, zrywam się i biegnę za nią.

Nie odwraca się, choć musi słyszeć moje kroki. Nie uszła przecież zbyt daleko.

– Zaczekaj. – Łapię jej przedramię, kiedy jestem już na tyle blisko, by móc jej dosięgnąć.

Odskakuje i wyrывa się, jakby ktoś poraził ją prądem. Teraz widzę, że jej policzki są całe mokre od łez.

– Proszę mnie zostawić. Nie powinnam była zawracać panu głowy – mówi zduszonym głosem. Odwraca się do mnie bokiem i podnosi głowę, jakby chciała zachować dumę.

Ma pieprzoną rację. Nie powinna zawracać mi dupy. Ale zrobiła to. Mleko się rozlało. A ja, wbrew rozsądkowi, znowu daję się w to wciągnąć. Niech szlag trafi całe to babcine wychowanie. *Nonna* zawsze wmawiała mi, że nie można przechodzić obojętnie obok ludzkiej krzywdy. Zabierała mnie do sierocińca, żebym widział i rozumiał, jak wiele ludzkich tragedii ma miejsce wokół nas. Nie lubiłem tych wizyt, choć cieszyło mnie, że dzieciaki dostawały od nas przytulanki, które *nonna* przez cały rok przygotowywała dla nich na drutach.

Dziś jestem człowiekiem, który sam zadaje krzywdę innym, ale tylko tym, którzy na to zasługują. A żeby było śmieszniej, co jakiś czas odwiedzam ten pieprzony sierociniec i przynoszę jego wychowankom słodycze i pieniądze. Pracownicy wiedzą, jak je dobrze zagospodarować. Jestem tam mile widziany, choć ciągnę za sobą naprawdę niezłe gówno. Świat bywa nieźle popierdolony.

– Giulia, posłuchaj mnie. Bądźmy rozsądni. – Próbuję starannie dobierać słowa. – Co mogę dla ciebie zrobić? – Próbuję uspokoić swój oddech. Staram się brzmieć łagodniej niż przed chwilą. Zdaję sobie sprawę z tego, że znowu dałem się ponieść.

– Chyba nic. – Kręci głową, ale wciąż na mnie nie patrzy. – I tak już jesteśmy trupami. – Zerka na mnie pustym wzrokiem. A potem idzie dalej.

– Giulia! – Tracę cierpliwość. Nie mam zamiaru się za nią uganiać. – Przed momentem mówiłaś, że zależy ci na dziecku – wołam do jej pleców, wciąż stojąc w tym samym miejscu. – Porozmawiaj ze mną, do cholery. Nie obrażaj się, jakbyś była w przedszkolu – kończę.

Zatrzymuje się. Czekam na jej kolejny ruch, ale mija parę sekund, zanim wreszcie się do mnie odwraca. Patrzy na mnie smutno, wyzuta z jakichkolwiek emocji. Nie widzę już w niej

determinacji, z jaką tutaj przyszła. Tak szybko się poddała?

– A co, zabierzesz ją do siebie i wychowasz? Jeśli chcesz, zrób to. – Podnosi leżaczek, że-
bym zrozumiał, że chodzi o dziecko. Podaje go w moją stronę. – Chcę dla niej jak najlepiej... –
Zaczyna lkać, a po chwili dodaje: – Wczoraj myślałam, że jesteś inny.

– O czym ty chrzaniisz? – Nic z tego nie rozumiem. – Dziewczyno, prawie cię nie znam.
Nie oceniam cię, więc mogłabyś powstrzymać się od wydawania opinii na mój temat – karzę
ją, celując w nią palcem. – Ale skoro tak łatwo przychodzi ci obrzucanie kogoś błotem, proszę
bardzo. Chcesz mi oddać swoje dziecko? – Parskam, bo to jakiś absurd. Zakładam ręce pod
boki. – Musisz być zdrowo szurnięta – mówię to, co leży mi na sercu. Zerkam na malucha. To
farsa. Na pewno nie mówi poważnie. – Dziecko powinno być przy matce.

Nie odpowiada. Potakuje jednym ruchem głowy, a potem spuszcza ze mnie wzrok. Wbija
spojrzenie w pokrytą topniejącym śniegiem ziemię.

– Po to mnie pan zatrzymywał, tak? – Widać, że znowu chce odejść. – Żeby mi o tym po-
wiedzieć?

Mannaggia! Niech piekło pochłonie cały ten dzień. I moje wczorajsze wyrzuty sumienia,
które pchały mnie do tego, by zawrócić na ten przeklęty przystanek.

Nie mam do niej cierpliwości. Stoimy na środku drogi, rozmawiając ze sobą o rzeczach
żywcem wyjętych z kiepskiego dramatu.

Tracę resztki rozumu.

– Pójdiesz ze mną do domu. – Nie składałam jej propozycji. To rozkaz i zarazem jedyne
wyjście, które teraz przychodzi mi do głowy. – Opowiesz mi o tym, kim jesteś i co cię spotkało.
Wybacz, ale nie mam zamiaru gościć kogoś, o kim nie wiem zupełnie nic. – To warunek, który
będzie musiała zaakceptować. – A potem coś wymyślimy – dodaję z kompletną pustką w gło-
wie. Nie jestem przecież ekspertem od takich spraw. Daleko mi jednak do pieprzonego tchó-
rza. Mierzyłem się w swoim życiu z gorszymi wyzwaniem. Doprowadzę tę sprawę do końca
tak, jak trzeba, i będę miał wreszcie wymarzony spokój.

Kiedy wchodzimy do domu, *nonna* nie mówi zupełnie nic, ale wyobrażam sobie, co może
o mnie myśleć. Jest zaskoczona. Nie mniej niż ja. W końcu nigdy nie spodziewałbym się ta-
kich odwiedzin. Prowadzę Giulie na górę. Mijamy chłopaków w salonie, gdzie panuje teraz
zupełna cisza. Proszę dziewczynę, by poczekała w jednej z dwóch sypialni, zamykam ją w po-
koju i wracam do moich żołnierzy.

– Koniec przedstawienia. Teraz możecie już wyjść – obwieszczam.

Nie pytają o nic więcej. Widzą, że sytuacja jest poważna i że jestem naprawdę wkurzony
tym, co właśnie mi się przydarzyło. Wychodzą jeden po drugim. W środku zostaje już tylko
Biagio. Zerka na mnie oszołomiony, ale na jego ustach błąka się ironiczny uśmieszek.

– To nie jest Dorotea – komentuje głupio, wskazując palcem na sypialnię.

– Nie, kurwa, nie jest. – Mrużę oczy. Lubię go, ale dzisiaj działa mi na nerwy.

– Spoko, szefie, spoko. – Wyciąga przed siebie ręce w obronnym geście. – *Allora...* – kończy i odwraca się do mnie plecami. Już ma zamiar wyjść, ale jeszcze na moment przystaje. – No nie da mi to spokoju, cholera, wybaczone. Czyżbyś został tatusiem? – dopytuje.

Opadają mi ręce. Wiedziałem, że tak będzie.

– *Uffa!* To nie twój zaszraniony interes, Biagio. Ale jeśli jesteś ciekawy, to wiedz, że potrafię panować nad swoim kijem. – Nabieram powietrza i biorę się pod boki. – Nie, to nie jest moje dziecko. Ale lepiej, żebyś trzymał mordę na kłódkę, bo wszystko wskazuje na to, że ta sprawa będzie wymagała dyskrecji. Rozumiesz? – Gdy kiwa głową na potwierdzenie, dodaję jeszcze: – I przekaż to pozostałym.

Znów potakuje. Mam nadzieję, że naprawdę zrozumiał. Potem wychodzi, a ja, wciąż naprawdę niezłe rozstrojony, zmierzam w kierunku Giulii.

Rozdział 6

GIULIA

Dom, w którym się znalazłam, z pewnością nie należy do zwykłego śmiertelnika. Nie wiem, kim jest Franco Meli, ale sam prezydent nie ma chyba takich luksusów, jak te tutaj. Na ścianach wiszą wielkie portrety kobiet opatrzone parafką jakiegoś artysty. Rozglądam się dookoła i nie wiem, na czym zawiesić wzrok. Wszystko wydaje się szalenie drogocenne.

Na środku pokoju stoi łóżko z baldachimem i mnóstwem mniejszych i większych poduszek. Materac wydaje się tak gruby, że można byłoby na nim skakać wyżej niż na trampolinie. W rogu stoi niewielki stoik ze szklaną szybą i złotą stopą. Kolorystycznie pasuje do ramy łóżka oraz ram obrazów wiszących na ścianach. To pomieszczenie wygląda tak, jakby należało do samego króla. Niby dalekie od nowoczesności, a jednak urządzone z gustem. Bardzo wyszukane. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Z zewnątrz budynek nie przyciąga uwagi. Owszem, może pochwalić się wspaniałą lokalizacją, bo położony jest nad brzegiem morza, ale wyglądem przypomina wszystkie inne. W środku znajduje się jednak prawdziwy pałac.

Zerkam na córeczkę i widzę, że otworzyła oczka. Są czarne jak małe węgielki. Zupełnie niepodobne do moich.

Słyszę dochodzące zza ściany odgłosy, ale drzwi, za którymi znajduje się Franco, są chyba pancerne. Trudno usłyszeć, o czym rozmawiają zebrani w pomieszczeniu mężczyzn.

Tak mocno bije mi serce. Przeszkodziłam im. Franco najwyraźniej miał gości. Wiem, że doprowadziłam do niezręcznej sytuacji. Wyludziłam jego pomoc, nie mając do tego żadnych praw. Ale gdyby nie konieczność, nie posunęłabym się do takiego żebractwa. Przysięgłam sobie, że dla mojej córeczki nie wolno mi się poddawać. Zastanawiam się tylko nad jednym. Jak długo wystarczy mi sił.

Kładę nosidełko na ziemi i odkrywam maluszka. Jest tu całkiem ciepło. Biorę Elenę na rękę i przyciskam do piersi. Zerkam na jej kruche rączki i podługne paznokcie, które trzeba byłoby obciąć. Zdążyła już podrapać się po policzku. Boję się, że robi sobie krzywdę. Pochylam się ku jej buźce i muskam ją czubkiem nosa.

Wtedy słyszę, że za moimi plecami otwierają się drzwi. Przetykam ślinę i pełna obaw odwracam się w tamtym kierunku. Czuję, że momentalnie zasycha mi w gardle.

Franco Meli, kimkolwiek jest, zamyka za sobą drzwi i staje naprzeciwko mnie. Zakłada rękę na piersi.

– Dlaczego nie usiądziesz? – pyta podejrzliwie. Wskazuje na krzesła stojące w rogu pokoju.

Zastawiam się, co sobie o mnie myśli. Być może sądzi, że chcę go zwyczajnie okraść. Że myszkuję po jego sypialni.

– Nie chcę niczego zniszczyć. Wszystko w tym pomieszczeniu wygląda tak... – Szukam odpowiedniego słowa. – Luksusowo – kończę. Chciałam powiedzieć „drogo”, ale to mogłoby zabrzmieć zbyt pretensjonalnie.

Wydaje się rozbawiony moim spostrzeżeniem.

– To nie są obiekty muzealne. Mają służyć mnie i moim gościom. Zapewniam cię, że nic im się nie stanie – odpowiada, wwiercając we mnie spojrzenie. Ma szerokie ramiona i zdecydowanie nade mną góruje. – I nie bój się, nawet jeśli coś się zniszczy, nie będę oczekiwał od ciebie rekompensaty – dodaje. Na pewno wie, że nie mogłabym mu jej dać.

Mam ze sobą niewielką ilość gotówki i jedną z JEGO kart kredytowych. Nie wiem, ile pieniędzy się na niej znajduje. Zresztą, z tego, co się dowiedziałam, mój oprawca w każdej chwili może zablokować wszystkie znajdujące się na niej środki. Już z pewnością zdążył się zorientować, że uciekając, zabrałam JEGO portfel.

Nie odpowiadam. Widzę, że Franco nie używa języka nadaremno. Czeką, aż go posłucham. Jeszcze mocniej przyciskając do siebie Elenę, podchodzę do jednego z krzeseł i siadam. On jeszcze przez chwilę na mnie patrzy, po czym zajmuje miejsce tuż obok mnie. Pochyla się do przodu, opiera łokcie na swoich udach i podnosi głowę w moją stronę.

– Dobra, Giulia. Nie wyprosiłem całego towarzystwa po nic.

Mówi o mężczyznach, którzy jeszcze przed chwilą znajdowali się w pomieszczeniu obok. Jest mi przykro, że przeze mnie musieli sobie pójść.

– Kim jesteś? Kim jest ojciec twojego dziecka? – pyta prosto z mostu, nie mając pojęcia, jak trudno mi się przed nim otworzyć.

Ale nie powinnam się dziwić. W końcu jestem dla niego zupełnie obcą kobietą. Niewygodnym gościem. Namolnym owadem, którego najchętniej rozdeptałby swoim butem.

– Nie jestem oszustką – wyduszam z siebie, bo przecież powinnam coś powiedzieć. Za moment może wyrzucić mnie za drzwi. Trafię do jakiegoś ośrodka, a to będą pierwsze miejsca, które ON prześwietli. Nie jest głupcem. Wie, gdzie mnie szukać.

Zerkam na Franca i widzę, że czeka na dalszy ciąg. Tak trudno mi patrzeć mu prosto w oczy i opowiadać o swojej przeszłości. Czuję upokorzenie i wstyd. Moje życie to pasmo niekończących się porażek. Trzymam te wszystkie wspomnienia głęboko w swoim umyśle. Nie tak łatwo wydobyć mi je na zewnątrz. Wyjmuję z kieszeni płaszcz portfel. Nieudolnie grzebię jedną ręką w jego przegródkach – w końcu wciąż muszę przytrzymywać małą Elenę. Wyciągam swój dowód i kładę go na stole. Moje zdjęcie, moje nazwisko, wszystkie moje dane. Podaję mu siebie jak na tacy. Franco zerka na przedmiot, ale tylko z daleka. Nie kwapi się, by wziąć go do ręki.

– Nie potrzebuję tego – mówi. Potem nachyla się w stronę dowodu, przykrywa go dłonią i przesuwa w moją stronę. – Chcę usłyszeć to wszystko od ciebie.

Nie ułatwia mi sprawy. Marszczę czoło, próbując opanować emocje. Nie chcę się teraz rozplakać, choć przecież od kilku lat w moim życiu nie było dnia, by nie towarzyszyły mi łzy. Są

moim przeznaczeniem.

– Nazywam się Giulia – zaczynam. Próbuje zaczerpnąć powietrza. – Giulia Strollo. – Kulę się, jakbym próbowała stworzyć sobie obronną tarczę. Tymczasem, opowiadając o sobie obcemu mężczyźnie, właśnie się jej pozbywam. – W wieku dwunastu lat zostałam sierotą. Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym, a ja trafiłam do domu dziecka. – Próbuje odtworzyć w pamięci tamte chwile, ale są bardzo niewyraźne. Spowite gęstą mgłą. Czasami zastanawiam się, czy niektóre zdarzenia miały miejsce naprawdę, czy są tylko wytworem mojej wyobraźni. – Pół roku później zostałam adoptowana przez znajomych moich rodziców. Mieli tylko syna. – Wbijam wzrok w podłogę. Zaczynam szybciej oddychać. Duszę się, przywołując JEGO postać w tej historii. Kręci mi się w głowie. To był właśnie początek mojego koszmaru. – Był ode mnie starszy o piętnaście lat. – Zaciskam oczy.

– Krzywdził cię. – Nie pyta. Stwierdza. Nie muszę mu odpowiadać, by wiedział, że słusznie się tego domyślił.

Zaciskam usta.

– To właśnie on jest ojcem małej Eleny. Mojej córeczki – kończę prawie szeptem. Głos fałduje mi od nadmiaru żalu i rozpacz. – Kiedy moi rodzice adopcyjni zmarli, było już tylko gorzej.

Nie mam pojęcia, co jeszcze chce ode mnie usłyszeć. Że mnie więził? Że mnie bił, kiedy tylko uznał, iż byłam nieposłuszna? Że mnie regularnie gwałcił, kiedy tylko przyszła mu na to ochota?

To jest moja granica. Chyba nie będę w stanie wydusić z siebie nic więcej.

– *Basta*. Dość. To zdecydowanie wystarczy – stwierdza.

Widzę, że moje słowa zrobiły na nim wrażenie. Nie miałam zamiaru wzbudzać jego litości. Chciałam tylko, żeby wiedział, że moja opowieść jest prawdziwa. Że moja sytuacja naprawdę jest mocno skomplikowana. Bez wyjścia.

Franco wydaje się zmieszany. Odwraca głowę w bok.

– Chodź – rozkazuje mi, po czym sam wstaje. – Pokażę ci, gdzie znajduje się łazienka. Kuchnia jest na dole. Mieszkam z *nonną*, więc będę musiał poinformować ją o tym, że na chwilę tutaj zostaniesz. – Jest oschły. Niekoniecznie zadowolony z tego, że przyszło mu wypowiadać te wszystkie słowa.

Żołądek zwija mi się w supeł.

– Nie mogę tutaj zostać – mówię.

Nasze spojrzenia się krzyżują. Franco jest zdziwiony moją reakcją. Nie tego się spodziewał. Podnosi brwi, jakby już nic z tego nie rozumiał.

– Muszę zmienić tożsamość. Wiem, że da się to zrobić. Potrzebuję nowych dokumentów. Dla siebie i dla dziecka. To nielegalne, zdaję sobie z tego sprawę, ale to dla mnie jedyne wyjście. Potem wyjadę. Są przecież domy dla samotnych matek. Zacznę wszystko od nowa – wylewam z siebie całą rzekę słów. – Sama nie jestem w stanie się tego podjąć. Nie mam pojęcia

jak. A pan... ty, Franco – zwracam się do niego po imieniu – wydawałeś się godny zaufania. – Gasnę. Jak zduszony płomień. Wiem, jak wiele od niego oczekuję. Właśnie zaproponowałam mu, by złamał dla mnie prawo. Nawet nie mam pojęcia, czy posiada wiedzę, jak to w ogóle załatwić. Człowiek, który był moim katem, wiedział. Porządni obywatele żyją według porządnym zasad. A ja właśnie wkroczyłam w poukładaną codzienność Franca, wnosząc w nią tylko bałagan.

Mruży oczy, jakby próbował mnie przejrzeć.

– Skąd wiesz, że potrafiłbym to załatwić? – dopytuje.

– Nie wiem – odpowiadam absolutnie szczerze. – Zaproponowałam jedyne rozwiązanie, jakie przyszło mi do głowy. Jeśli masz inne... – Nie kończę, bo sama nie wiem, co mam mu powiedzieć.

Zerka na moją Elenę, która właśnie zaczyna cicho kwilić. Kołyszę ją do snu, choć zdaję sobie sprawę z tego, że na pewno jest głodna. Za chwilę zaczniesz głośno płakać.

– Przygotowanie takich papierów trochę trwa – odpowiada zupełnie poważnie, jakby mój pomysł wcale nie był tak beznadziejny i surrealistyczny, jak jeszcze przed momentem przypuszczałam. – Tymczasem z pewnością potrzebujesz spokoju. Powinnaś tutaj zostać, aż trochę do siebie dojdiesz. Ty i dziecko. – Milknie na moment. – Bo TUTAJ – akcentuje to słowo – będziesz bezpieczna. Do tego domu nie ma wstępu nikt oprócz jego mieszkańców i ludzi, którym bezgranicznie ufam.

W jego ustach to wszystko brzmi tak, jakby nie stanowiło żadnego wyzwania. Ale na tym świecie nie ma nic za darmo. Doskonale o tym wiem. Ludzie nie okazują swojego serca tylko za ładny uśmiech.

– Ale ja już nie mam prawie żadnych pieniędzy. Zostały mi tylko marne centy. – Grzebię w kieszeni, w której zostało mi jeszcze parę monet. – Mam kartę kredytową, JEGO kartę. Ale nie wiem, czy zostały jeszcze na niej jakieś środki. Pewnie już je zablokował.

Jego twarz przybiera surowy wygląd. Zaciska szczękę.

– Nie możesz używać tej karty. Mógłby cię łatwo zlokalizować – mówi rzeczy, o których nie miałam pojęcia. – Podobnie jak nie powinnaś teraz używać swojego telefonu. Masz w ogóle telefon? – pyta, jakbym przypominała mu istotę z innej planety.

Potakuję i wyjmuję zniszczone urządzenie na stół.

– Daj mi to – rozkazuje.

Podaję mu komórkę. Przygląda się jej uważnie, po czym wyjmuję z boku jakiś mały element.

– To karta SIM. Kupię ci nową – deklaruje, tę chowając do kieszeni swoich czarnych spodni. Uznaję, że najwyraźniej było to konieczne. – Pieniędzmi się nie martw. Póki będziesz pod moją opieką, zadbam o wszystkie wasze potrzeby.

– To, co mówisz, brzmi tak pięknie... – Milknę na moment. – Nie mam nic, czym mogłabym ci się odwdziżyć. – Patrzę mu prosto w oczy. Serce łomocze mi w piersi, jakby miało

ochotę wydostać się na zewnątrz. Ten mężczyzna wyciąga do mnie pomocną dłoń, a ja boję się, że w zamian będzie oczekiwał czegoś, czego nie mogę mu dać. Boję się, choć przecież tego właśnie się po nim spodziewałam. Że kolejny raz po prostu mnie uratuje. – Widzisz... – Czuję, jak drży mi głos. – Bo jeśli będziesz chciał, żebym ja... – Duszę się tym, co chcę mu powiedzieć. – Żebym...

Ściąga brwi. Jest na mnie zły. Moje słowa doprowadziły go do wściekłości.

– Jeśli sądzisz, że pozwalam ci tu przebywać tylko po to, żebyś w zamian była moją kurwą, możesz od razu się stąd zabierać. Rozumiesz? – grzmi. Nie czeka, aż mu odpowiem. Łapie za klamkę drzwi i wychodzi, zostawiając mnie samą.

Otwieram oczy i rozglądam się po pokoju. Momentalnie siadam, a serce chce mi wyskoczyć z piersi. Gdzie ja jestem? Nie potrafię się uspokoić. Miękki materac, wielkie łóżko z baldachimem, a obok mnie moja mała córeczka, zabezpieczona poduszkami. Jestem u Franca. Przecież kładłam się tutaj spać. Łapię za telefon, który ma już tylko jedną kreskę baterii. Nie zabrałam ze sobą ładowarki, ale to i tak nie ma znaczenia. Nie jest mi potrzebny. W tej chwili i tak przecież nie mogłabym się nigdzie dodzwonić. Tak powiedział Franco, zabierając tę małą kartę. Dochodzi dwunasta, a więc obudziłam się w środku nocy. Powoli się uspokajam. Włączam niewielką lampkę.

Zerkam w dół. Moje piersi są nienaturalnie twarde. Jak kamienie. Podnoszę luźną, męską koszulkę, którą tutaj dostałam, i dotykam ich. Ale nawet własny, delikatny dotyk sprawia mi ból. Odpinam biustonosz i dopiero teraz widzę, że metalowe fiszbiny zdążyły pozostawić po sobie wyraźny ślad. Miseczki stanika są mokre. A więc to chyba nawet pokarmu, o którym mówiła położna. Powinnam coś z tym zrobić. Inaczej mogę nabawić się jakiegoś zapalenia, a wizyta u lekarza to chyba ostatnie, co byłoby mi teraz potrzebne. Muszę odciągnąć mleko.

Zerkam na małą Elenę. Przysuwam się do niej i delikatnie ją szturcham. Porusza rączkami i otwiera małe usteczka, jakby właśnie szukała picia. Udało się. Mała ssie, przynosząc mi po chwili częściową ulgę. Po piętnastu minutach zasypia, a ja uświadamiam sobie, że zdążyła opróżnić tylko jedną pierś. Druga nadal pozostaje mocno twarda. Pokarm wycieka z niej samoczynnie, mocząc teraz moją bluzkę.

Wzdycham kompletnie skołowana.

Nie mam przy sobie butelki. Została na szafce w łazience. Zerkam na stół w poszukiwaniu jakiegoś naczynia, ale wszystko wyniosłam do kuchni. Pozostała mi tylko plastikowa butelka z wodą, którą wieczorem podarowała mi *nonna* Adele. Ale nawet gdybym chciała, nie mam gdzie wylać płynu, a nie wypiję takiej ilości.

Kładę się na poduszce. Może uda mi się przeczekać do rana. Jednak mrowiący ból nie pozwala mi się skupić na niczym innym, a już na pewno nie na tym, by spokojnie zasnąć. Czuję się słaba.

Wokół panuje cisza, jak makiem zasiał. Ponownie podnoszę telefon i zerkam na godzinę. Kilkanaście minut po dwunastej. Mam nadzieję, że Franco już śpi. Nie mam wyjścia, będę musiała pójść do łazienki po butelkę na mleko. Nie spodziewałam się, że w środku nocy obudzi mnie coś takiego. Nigdy nie byłam matką. Ten stan zaskakuje mnie na każdym kroku.

Na palcach podchodzę do drzwi. Sypialnia Franca znajduje się kawałek od tej, w której przebywam, więc jeśli mała nie zacznie płakać, nie powinien się obudzić. Czuję się jak intruz, który właśnie ma zamiar myszkować po domu, a przecież nie mam zamiaru zrobić niczego złego. Próbuję się uspokoić. Łapię za klamkę i otwieram drzwi.

W salonie światła są zgaszone, a mimo to pokój wypełnia delikatna łuna wydobywająca się z włączonego telewizora. Słyszę, że właśnie leci jakiś film. Odgłosy strzelaniny uświadamiają mi, że to chyba kryminał. Wychylam głowę, by sprawdzić, czy aby Franco nie zasnął na kanapie. Staram się zachowywać najciszej, jak tylko potrafię.

Ale właśnie w tym momencie widzę coś, czego na pewno się nie spodziewałam.

Momentalnie zapiera mi dech w piersi.

Franco nie śpi. I z pewnością nie jest sam.

Na jego kolanach znajduje się długowłosa blondynka. Siedzi zwrócona do niego przodem. Jej bujne, jasne loki falują w rytmie wytyczanym przez jej biodra. Jest zupełnie naga i wcale się tego nie wstydzi. Jej ubrania prawdopodobnie leżą na ziemi, bo w oczy rzuca mi się jakaś czerwona, długa sukienka. Kobieta odchyła głowę do tyłu. Rozwiera usta i wzdycha. Zamyka oczy, kiedy w pełni skupiony na niej Franco całuje jedną z jej brodawek. Liże ją, a jego ręka wędruje w kierunku jej drugiej piersi. Potem podnosi na nią wzrok. Na jego twarzy pojawia się uśmiech. Widzę tylko profil Franca, ale to wystarcza, bym mogła zauważyć, że ta kobieta jest dla niego wszystkim. Patrzy na nią z podziwem. Jego ruchy są zdecydowane. Łapie blondynkę w tali i synchronizuje się z jej ruchami. Wydają się idealnie zgrani. Kobieta dyszy. Potem rozchyła mu koszulę i sunie paznokciami po jego torsie.

Atakuje mnie uderzenie gorąca. Nie mogę przestać na to patrzeć, choć już dawno powinnam odejść. Stoję jak słup soli, przeżywając coś zupełnie mi obcego. Czuję się tak, jakbym miała gorączkę. W moim podbrzuszu dzieje się coś dziwnego. Jakbym to ja była na miejscu tej kobiety. Jakby Franco dotykał właśnie mnie. Moje ciało przebiega dreszcz. Przykrywam usta ręką, by nie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. To wszystko wygląda jak jakiś wyreżyserowany film.

Tymczasem długowłosa piękność wygląda tak, jakby tego wszystkiego chciała. Jakby to, co robią, sprawiało jej przyjemność. Nie wyrywa się i nie płacze, błagając, by przestał. Jestem zszokowana.

W końcu wypowiada jego imię. Głośno, jakby krzyczała. Łapie Franca za ramiona.

Zaczyna dudnić mi głowie. Jestem przekonana, że od tego wszystkiego zaraz upadnę. Przytrzymuję się ściany, próbując zachować równowagę. Muszę czym prędzej wrócić do siebie.

– No do jasnej cholery! – rzuca niespodziewanie kobieta. Brzmi, jakby była zdenerwowana. Jakby nagle coś się jej stało.

Podnoszę głowę i jeszcze raz zerkam w ich kierunku. Wtedy zauważam dwie pary oczu skierowane dokładnie w moim kierunku.

– Co ty, do diabła, tutaj robisz? – grzmi Franco, wyraźnie rozgniewany moją obecnością.

Otwieram usta, by cokolwiek powiedzieć, ale żadne słowa wytłumaczenia nie chcą przesiąść mi się przez gardło. Bo niby co mam mu powiedzieć? Przecież zauważyli, że najzwyczajniej w świecie ich podglądałam. Po co kłamać i się pograżać?

Co ja najlepszego narobiłam?

Nie zamknąwszy swojej sypialni, biegnę przez salon prosto w kierunku wąskiego korytarza. Mijam ich. Za plecami słyszę, że Franco coś do mnie mówi. Mimo to nie zatrzymuję się. Docieram do drzwi, wpadam do łazienki, zatraskuję ją z hukiem i zamykam na klucz. Opieram się o ścianę i próbuję złapać oddech. Włączam światło, a potem siadam na czarnych kafkach i przyciągam do siebie kolana. Nastaje niewygodna cisza, która tylko potęguje wszystkie emocje napływające do mnie ze zdwojoną siłą.

Rozdział 7

FRANCO

– Franco! – Dorotea nadyma się jak jedna z tych egzotycznych ryb. Odkąd zauważyła przyglądającą się nam Giulie, kompletnie znieruchomiała. – Pozwolisz jej na to? – Zerka na mnie nieźle wkurzona. Wciąż na mnie siedząc, wskazuje na niedługi korytarz prowadzący prosto do łazienkowych drzwi.

Jestem zły. Na Giulie – za to, że zwyczajnie się na nas gapiła. I przede wszystkim na samego siebie, bo powinienem przewidzieć, że w każdej chwili może wyjść ze swojej sypialni. Choćby do łazienki. Zapomniałem, że tutaj jest. A Dorotea nie zamierza przestać. Patrzy na mnie wyczekująco, jakby żądała mojej natychmiastowej interwencji.

– Pałeta się po twojej chacie, jakby była u siebie – unosi się. – Wypierdol ją stąd! – wydaje mi polecenie, a ja bardzo nie lubię, kiedy robi to ktoś niemający do tego żadnych praw.

Rozumiem, że może być wściekła. Ale popełnia ogromny błąd, zwracając się do mnie takim tonem.

– Ty też nie jesteś u siebie – przypominam jej. Powinna wiedzieć, gdzie jest jej miejsce. Tworzymy luźny związek. Nie mam zamiaru bawić się w miłość ani tym bardziej w żadne małżeństwo. Nie wierzę w moc urzędowych papierków i kościelnej przysięgi. Choć *nonna* już nie-raz próbowała mi wmawiać, że myśląc w ten sposób, popełniam ogromny błąd. Ołać to.

W każdym razie, teraz nie potrzebuję dodatkowego podburzania. Jakbym sam był niewystarczająco poirytowany całą tą sytuacją. *Allora*. I tak nie cofnę czasu.

– Dzięki, wiesz?! *Sei perfido*. Jesteś wredny, Franco. – Wygląda, jakby chciała mnie uderzyć.

Nie mam zamiaru się chować. Czekam na jej dalszą reakcję, ale widzę, że nie stać jej na nic więcej. To norma. Jest zła, śmiertelnie obrażona, unosi się, a potem zawsze pierwsza zjawia się na progu mojego domu. Wystarczy jeden telefon.

No cóż. Robi mi się niewygodnie.

– Schodź – mówię, odrywając plecy od oparcia kanapy.

– *Bene*. Świetnie – parska zirytowana. – A więc nawet nie dokończymy – rzuca do mnie z pretensją.

Naprawdę liczyła, że zaproponuję jej dalszy ciąg?

Wstaje i sięga po swoją czerwoną sukienkę. Wciąga ją, nie zakładając stanika, a potem zamasztywym ruchem łapie za torebkę. Na podłodze wciąż leżą jej rajstopy, ale nie zwraca już na nie uwagi. Jest tak pochłonięta złością, że nie panuje nad swoimi ruchami. Prawie potyka się o niewielki dywanik.

– Wiesz co, Franco, jesteś prawdziwym futem! Idź do tej mamuśki i ją pieprz! – drze się, po czym zmierza w stronę wyjścia. Wie, gdzie są drzwi. Nie muszę jej odprowadzać.

Zastanawiam się, jak długo myślała nad tą wyszukaną przemową. Zachowała się tak, jakby była zazdrosna. Dobrze, że poszła. Mam tylko nadzieję, że swoim wrzaskiem nie obudziła *nonny*.

Odchylam głowę do tyłu, próbując pozbierać myśli.

Przebiegła, choć przecież już nieraz słyszałem od niej – i nie tylko od niej – podobne wyzwiska. Zdażyłem przywyknąć. Nie jestem romantykiem, choć mam wrażenie, że czasami tego ode mnie oczekuje. Pieprzyć ją, w każdym tego słowa znaczeniu.

Ubieram się i schodzę na dół, by zamknąć wejście na klucz. *Nonna* najwyraźniej śpi. Inaczej już by przy mnie była. Czasami mam wrażenie, że jest czujniejsza i bardziej dociekliwa niż moja ochrona, która przebywa w domu obok i zjawia się na każde moje zawołanie.

Wracam do salonu, siadam w fotelu i daję sobie parę minut, żeby ochłonąć. Odtwarzam w pamięci scenę, która rozegrała się tutaj przed chwilą. Wciąż mam przed oczami wyraz twarzy Giulii, kiedy stała w progu i się nam przyglądała. Nie powinna była tego robić. Mogła nie wiedzieć, że tutaj jesteśmy, owszem. Ale skoro już nas zobaczyła, kultura i ogłada wymagałyby tego, by zwyczajnie się wycofać. Przerosło ją to, co zobaczyła? Szczerze powiedziawszy, wyglądała tak, jakby widziała coś podobnego po raz pierwszy w życiu.

Nie mogę tego tak zostawić. Giulia popełniła błąd i chyba powinna się z tego wytłumaczyć. Wstaję z fotela i zerkam do jej sypialni. Mała Elena śpi na łóżku przykryta wielką kołdrą. Wycofuję się stamtąd i zmierzam prosto w kierunku łazienki.

Zdaje się, że mamy ze sobą coś do przedyskutowania.

Pukam w masywne, drewniane drzwi, ale odpowiada mi tylko cisza.

– Giulia – mówię na tyle głośno, żeby mnie usłyszała. Poruszam klamką, ale, tak, jak sądziłem, zdażyła przekręcić zamek. – Giulia, chyba powinniśmy porozmawiać. – Stukam kolejny raz. Ale ona znowu milczy. Poziom mojego poirytowania rośnie. Mogłaby się chociaż odezwać. Czekam kilkanaście sekund. – Wychodź, Giulia! – Biorę się pod boki. Zaciskam zęby, bo w furii naprawdę za chwilę wypierdolę te cholerne drzwi.

A jeśli coś jej się tam stało?

Przeczesuję ręką krótkie włosy. Nie wiem, co robić.

Idę do salonu po mały śrubokręt i wracam z nim do łazienki. Pochylam się nad klamką i wkładam narzędzie w niewielką kostkę umieszczoną tuż przy zamku. Przekręcam, odblokowując tym samym drzwi. Otwieram je i wchodzę do środka.

Giulia stoi nieruchomo odwrócona do mnie plecami. Ściąga łopatki, widoczne nawet przez czarny, zbyt wielki na nią T-shirt. Dokładnie ten sam, który dałem jej wieczorem. Jest niska. Znacznie mniejsza ode mnie. Ciemne, spięte włosy sięgają jej teraz do ramion, choć kiedy ma je rozpuszczone, są o wiele dłuższe. Przyglądam się jej postawie, nie mówiąc ani słowa. Obserwuję jej ciało, docierając w końcu wzrokiem do jej twarzy, której odbicie wyraźnie widać w lustrze. Patrzy w moim kierunku, krzyżując ze mną spojrzenie.

Podchodzę krok bliżej. Wciąż się nie rusza. Zresztą nie ma gdzie uciec. Jeśli chciałaby to zrobić, musiałaby mnie minąć. Znalazła się w pułapce, choć najwyraźniej sądziła, iż uniknie konfrontacji. Ale ja nie zamierzam odpuszczać. Nigdy tego nie robię. Powinna o tym wiedzieć. Oddycha coraz szybciej, a na jej policzkach widać wypieki.

Milczy, a zarazem nie spuszcza ze mnie wzroku. Sprawia wrażenie czujnego, dzikiego zwierzęcia, które w każdej chwili może się spłoszyć i ruszyć na oślep przed siebie.

– Masz mi coś do powiedzenia? – przerywam niezręczną ciszę, a moje słowa zawisają w powietrzu. Przechylam głowę na bok i wkładam ręce w kieszenie spodni.

Nieznacznie potakuje.

– *Mi scusi* – szepcze. – Chciałam tylko zabrać butelkę. – Opuszcza głowę i zamyka oczy. – Nie wiedziałam, że...

Nie oczekuję kajania się i przeproszania. Chcę usłyszeć konkretny powód. Przerywam jej.

– *Si*. Nie wiedziałas. Ale kiedy już się dowiedziałas, wcale nie odeszłaś. To chyba nie było w porządku. – Ku własnemu zdziwieniu, moja złość gdzieś się ulatnia.

Giulia wygląda na maksymalnie skrzępowaną. A to wydaje się dla niej wystarczająco dotkliwą karą. Nie mam zamiaru się na niej wyżywać ani się nad nią pastwić, choć skłamałbym, mówiąc, że stawianie jej w niezręcznej sytuacji nie przynosi mi satysfakcji. To całkiem ekscytujące, a ja lubię bywać sukinsynem.

Wciąż uważnie się jej przyglądam. Nie odpowiada, więc robię w jej stronę kolejny krok. Giulia instynktownie się odwraca, jakby bała się tego, że mogę ją zaatakować. Prawie się ze mną zderza. Stoi tak blisko, że skrawek jej koszulki spiera się na pasku moich spodni.

Jest przestraszona. Widzę, jak materiał koszulki podnosi się i opada na jej piersiach. Podnosi na mnie wzrok.

– Powinnam była odejść – mówi cicho.

– *Si*. Tak. – Kiwam głową, utrzymując kontakt wzrokowy. – Powinnaś – powtarzam.

Jej policzki purpurowieją jeszcze bardziej. Wydaje się mocno rozpalona. Śledzę jej twarz centymetr po centymetrze.

– Dlaczego zatem tego nie zrobiłaś?

Znowu ucieka spojrzeniem. Widzę, że usilnie szuka jakiegoś wytłumaczenia, ale nie potrafi go znaleźć. W pomieszczeniu aż kipi od napięcia, jakie pomiędzy nami rośnie.

Po raz kolejny zapada cisza.

– A może po prostu ci się to podobało, co? – zagaduję, nie kryjąc przy tym rozbawienia.

Lekko otwiera usta i głośno wypuszcza powietrze. Jest zszokowana moją bezpośredniością. Ale ani nie potwierdza, ani też nie przeczy. Kręci tylko głową, przygryzając dolną wargę. Tego się nie spodziewałem. Parskam śmiechem, bo nie mogę w to uwierzyć. Mam wrażenie, że trafiłem w samo sedno. Jej zakłopotanie jest dla mnie aż nadto klarowną odpowiedzią. Nie musi mówić już nic więcej.

– No. Nie – odzywa się w końcu. Ze znacznym opóźnieniem. – To wcale nie tak. – Nie potrafi na mnie spojrzeć. Może boi się, że wtedy złapałbym ją na kłamstwie. Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że zwyczajnie ją rozgryzłem.

Zerkam na jej piersi, kolejny już raz. Twarde sutki przebijają przez materiał koszulki. Nie założyła stanika.

Cholera. Dlaczego w ogóle o tym myślę?

Przyglądam się jej rozchylonym ustom, a przez mój popaprany umysł zaczynają przebiegać dziwne pomysły. Duszę je w zarodku. Sam ze sobą zaczynam toczyć jakąś irracjonalną walkę. Powiniennem podjąć słuszne kroki.

– Jesteś cała rozpalona – mówię. Pulsowanie w skroniach daje o sobie znać. Co jest ze mną nie tak? Kiedy stoi tak blisko mnie, czuję, że chciałbym jej dotknąć. Zobaczyć, jak na to zareaguje. Muszę przestać. Podnoszę głowę, zerkając na nią z góry, a potem odwracam się twarzą do ściany. – Idź do dziecka – rozkazuję jej, przybierając najbardziej lodowaty ton, na jaki mnie stać. – Mała nie powinna leżeć tam sama. – A potem odwracam się i wychodzę na zewnątrz.

Przed południem przepływam promem na Sycylię. Kilkugodzinna podróż autem zwykle nie robi już na mnie wrażenia. Kursowanie pomiędzy Vieste a Katanią weszło mi w nawyk. Musiało, od kiedy *don* zapragnął przeprowadzki. Na pokładzie zdaję sobie jednak sprawę z tego, że akurat dzisiaj jestem zmęczony. Nie spałem nawet przez minutę, ale mogę o to obwiniać wyłącznie siebie.

Pół godziny żeglowania i razem z moją furą znowu stajemy na lądzie. Kiedy parkuję przed posiadłością rodziny Trovato, szybko zauważam nową fontannę stojącą w pobliżu wejścia. Ta rezydencja za każdym razem robi wrażenie, choć jestem tutaj przecież częstym gościem. Gdyby nie sentyment do rodzinnego domu, już dawno zainwestowałbym w coś podobnego. *Don* Fabio proponował mi nawet przekazanie w moje ręce swojej starej willi, ale, z tych samych, sentymentalnych powodów, odmówiłem przyjęcia tej hojnej oferty.

Chwilę później razem z *donem*, Sofią i ich dziećmi siedzę przy stole w ogrodzie i opycham się bruschettami, które pani tego domu robi absolutnie genialnie. To już stały rytuał. Kiedy bym się tutaj nie zjawił, Sofia bierze sobie za cel dokarmienie mnie, jakbym w jej opinii wyglądał co najmniej marnie. Doceniam jej gościnność i wcale nie narzekam.

– *Zio* Franco. – Eva, córka Fabia i Sofii, nazywa mnie wujkiem. Zdaje się, że jestem jedyną osobą z branży, którą *don* dopuszcza do swojej rodziny, a już na pewno do swoich dzieci. Bezgranicznie mi ufa, zresztą jest dla mnie jak brat. – Zapuszczasz brodę, jak *papà*? – pyta, wskazując na mój kilkudniowy zarost.

– Chyba będę musiał. Jestem tak biedny, że nie mam pieniędzy na golarkę. Chyba nie mam innego wyjścia – śmieję się, biorąc do ust kolejny kęs pomidorowej kanapki.

Don Fabio przewraca oczami.

– To ja ci, wujku, dam. Mam sporo kieszonkowych. – Eva zrywa się z krzesła, a zaraz za nią biegnie jej młodszy brat, Filippo.

– Ja tes – mówi niewyraźnie chłopiec.

– Przecież żartowałem – wołam za nimi. Gonię ich, bo widać, że śmiertelnie poważnie wzięli sobie do serca to, co powiedziałem.

– Nieładnie tak sobie żartować, *zio* – karczi mnie Eva. Zakłada ręce na piersi i robi nadąsaną minę. Jest oburzona moim żartem. I obrażona.

Chce mi się śmiać, ale udaję pokornego. Dziewczyna rośnie jak na drożdżach. Mam wrażenie, że dopiero co przyszła na świat.

Kiedy kończymy jeść, Sofia zabiera dzieciaki na spacer. Doskonale wie, że przyjechałem tutaj nie tylko ich odwiedzić, ale także porozmawiać z *donem* o sprawach, jakby to ująć, czysto biznesowych. Eva i Filippo są zbyt mali, by mogli w tym uczestniczyć. Choć jestem pewien, że za parę lat *don* będzie chciał zacząć szkolić syna tak, by wyrósł na jego godnego następcę.

– Sofia jak zawsze w formie. – Patrzę, jak kobieta znika za rogiem. Pomimo tego, że urodziła dwójkę dzieci, wciąż może się pochwalić zgrabną sylwetką.

– Skończ pieprzyć, Franco. Mógłbyś w końcu kogoś sobie znaleźć, a nie zerkać na tyłki cudzych żon. – *Don* kręci głową, choć doskonale wie, że jego życiowa partnerka jest dla mnie absolutnie nietykalną świętością. Nie jest na mnie zły. W końcu zdążył już dobrze poznać mój specyficzny charakter. – Dobra. Oglądaj. – Wyciąga w moją stronę rękę i podaje mi białą kopertę.

Otwieram ją i wyjmuję z niej plik zdjęć. Przedstawiają zakrwawione ciało z odciętą dłonią. To jakiś mężczyzna. Widzę tylko tyle, że ma rozwaloną czaszkę i że został potraktowany jakąś ostrzejszą amunicją. To fotki z egzekucji. Przyglądam się ofierze, ale nie potrafię rozpoznać, kim jest. Zerkam na kolejne zdjęcie, ale wciąż nie jestem przekonany.

– Kto to? – Zerkam na *dona* Fabia.

– Domenico Santo – odpowiada. – Nie poznałeś? A taką twarzową strzeliliśmy mu fotkę. – Uśmiecha się ironicznie.

– Nieźle. – Rzucam zdjęcia na stół. Facet robił nam syf już od dłuższego czasu. Kosił nam kasę, nie płacąc za towar tyle, ile powinien. Popadł w długi i nie miał z czego oddać. Dostawał ostrzeżenia, ale nic nie pomagało. Ostatnio znowu zalazł nam za skórę. – A przecież mógł współpracować. – Wzruszam ramionami.

Don potakuje, po czym wyjmuje z kieszeni spodni zapalniczkę. Zabiera zdjęcia, podpala róg jednego z nich i rzuca wszystkie na grilla. Obaj patrzymy, jak powoli trawi je ogień.

Rozdział 8

GIULIA

12 lat wcześniej

Zapisuję na kartce parę słów, ale szybko większość z nich wykreślam. Jestem naprawdę beznadziejna. *La maestra* zadała nam do domu wypracowanie. Mamy opisać swojego ulubionego literackiego bohatera. Nie musiałam długo się zastanawiać. Moim niewątpliwie jest Gianni Stoppani z książki *Il Giornalino di Gian Burrasca*²⁾. Zawsze potrafił mnie rozśmieszyć. To urwis, w przeciwieństwie do mnie, ale przydarzają mu się różne pechowe sytuacje. Czyli jednak mamy ze sobą coś wspólnego. Nie wiem tylko, jak zacząć. Jakoś ciężko mi się dzisiaj skupić. Sięgam do plecaka po wypożyczoną z biblioteki książkę. Czytałam ją już ze trzy albo cztery razy. Muszę coś sprawdzić.

2) Luigi Bertelli (ps. Vamba), *Il Giornalino di Gian Burrasca*. Książka opublikowana we Włoszech w latach 1907–1908. W Polsce wydana w 2004 roku pod tytułem *Pamiętnik szalonego Jasia*, tłum. i adapt. Małgorzata Mastrangelo, Wydawnictwo Skrzat, Kraków 2004 (przyt. aut.).

W tym momencie słyszę, że za moimi plecami otwierają się drzwi pokoju. Stoi w nich Vittorio, mój adopcyjny brat. Jest sporo starszy ode mnie i jest jedynym prawdziwym synem moich adopcyjnych rodziców. Nie mamy ze sobą dobrego kontaktu. Złego też nie. Po prostu zazwyczaj nie zwraca na mnie uwagi. Poza tym, że czasami dziwnie na mnie patrzy. Tak jak teraz.

– Rodzice kazali ci przekazać, że masz się iść kąpać i spać – mówi.

Potakuję.

– *Si, certo*. Dobrze. Powiedz im, że dopiszę parę słów i już idę – odpowiadam, ale szybko zaczynam tego żałować. Pewnie znowu będą się na mnie gniewać za to, że nie poszłam od razu. – Albo dobra. Idę już teraz – poprawiam się i wkładam książkę z powrotem do tornistra.

Ostatnio zabrali mi w ramach kary nocną lampkę. Musiałam spać w zupełnej ciemności, a tak bardzo się tego boję. A wszystko dlatego, że czytałam książkę zadaną nam przez nauczycielkę piętnaście minut dłużej, niż powinnam. Kilkanaście minut po czasie, który rodzice wyznaczyli mi jako porę do spania. Bardzo tego żałowałam.

– Nie ma ich. Pojechali załatwić swoje sprawy – mruczy Vittorio.

Zastanawiam się, jakie sprawy mogą załatwiać o ósmej wieczorem. Mój przybrany ojciec, pan Leo, często jeździ gdzieś o podobnych porach, ale bez żony. Tym razem zostawili mnie samą. Nieważne. Może to i lepiej. Nie mówię tego na głos, ale naprawdę się cieszę. Będę mogła na spokojnie dokończyć swoje obowiązki.

Czasami mam wrażenie, że to wszystko moja wina. Nie lubią mnie, bo coś jest ze mną nie tak. Nie potrafię okazywać wdzięczności za to, że przygarnęli mnie pod swój dach. Ale ich

twarze są zawsze takie zimne i lodowate. Rzadko kiedy się śmieją. Nawet kiedy chciałam opowiedzieć im coś zabawnego, nie zwracali na to uwagi. Teraz przestałam nawet próbować.

Mieszkam u nich prawie rok. Rok temu *mamma* i *papà* zginęli, a mój świat po prostu się zawalił. Przez ten czas zdążyłam zauważyć, że moi adopcyjni rodzice lekceważą nie tylko mnie. W stosunku do Vittoria są tacy sami. A przecież to ich prawdziwy syn. Może po prostu nie są zdolni do okazywania miłości. W tym problem. Nawet obiad musimy zjadać każde w swoim pokoju. Nigdy razem. W moim prawdziwym domu mieliśmy duży stół, na którym *mamma* z dumą stawiała przygotowane wcześniej posiłki. Nakładała nam na talerze wymyślne makarony. Pierwsza porcja dla mnie, druga dla *papy*. *Mamma* zawsze powtarzała, że jestem dla niej ważna. Tymczasem pan Leo twierdzi, że młasczę, a z kolei Vittorio według niego je zbyt łapczywie. Nie chcą się denerwować, więc spożywamy posiłki oddzielnie. Żeby ich nie prowokować. Moja prawdziwa *mamma* nigdy na mnie za to nie krzyczała. *Papà* zresztą też nie.

Zaciskam oczy. Smutno mi, że już nigdy ich nie zobaczę.

– Mam cię pilnować. – Vittorio przypomina mi o tym, że wciąż stoi w drzwiach mojego pokoju. Grzebie sobie palcami w oczach. Przeciera je. Są całe przekrwione. Szklane. Wygląda, jakby płakał. Choć jeszcze nigdy nie widziałam, by naprawdę to robił. Ostatnio zresztą ciągle takie ma. Może jest przemęczony. Powinien chodzić wcześniej spać, a nie włóczyć się po nocach. Robi, co uważa, i kiedy *mamma* na niego krzyczy, przypomina jej, że jest już dorosły. Ja też nie będę mu doradzać. Chyba byłby na mnie zły.

– No dobra – odpowiadam. To pewnie z mojego powodu musiał zostać wieczorem w domu.

Zamyka i wychodzi, a ja wracam do książki i do mojego wypracowania. Chciałabym dostać dziesiątkę³⁾. Ostatnio załapałam paskudną tróję z gramatyki. Nigdy nie byłam z niej dobra. Muszę to jakoś poprawić.

³⁾ We Włoszech zakres ocen obejmuje skalę od 0 do 10, z czego 6 to pierwsza ocena pozytywna (przyp. aut.).

Pół godziny później sprzątam biurko, pakuję szkolne rzeczy do plecaka i zabieram z szafki piżamę. Maszeruję do łazienki. Nie powinnam kusić losu. Kiedy pan Leo i jego żona wrócą, muszę już leżeć w łóżku. Inaczej znowu nie będą zadowoleni i wymyślą dla mnie nową karę. Źle się przez nie czuję. Jakbym była w więzieniu.

Patrzę w lustro i zdejmuję z siebie ubranie. Mam niebieskie oczy. I ciemne włosy. Chuderalawe ramiona. I jestem płaska jak deska. Koleżanki z mojej klasy noszą już staniki. Ja nie miałabym po co. Zresztą wstyd byłoby mi poprosić o nie moją nową mamę. Wchodzę pod prysznic i odkręcam wodę. Lodowaty strumień sprawia, że odskakuję na bok. Słuchawka wisi tak wysoko, że nie umiem jej dosięgnąć. Muszę czekać, aż woda w końcu zrobi się ciepła. Zaczynam mydlić ciało.

Lubię to robić. Lubię czuć się czysta, a ciepła woda jest tak przyjemna, że aż nie chce mi się wychodzić na zewnątrz. Nie mogę jednak stać tutaj zbyt długo. Moja nowa mama powie-

działa, że musimy oszczędzać wodę. Jej portfel nie lubi marnotrawstwa, a ja, póki co, nie zarabiam, więc muszę się jej słuchać.

Zakręcam kurek i otwieram kabinę. Czuję nieprzyjemny chłód. Gęsia skórka pojawia się na całym moim ciele. Pędzę w kierunku haczyka po ręcznik.

Wtedy słyszę dźwięk odmykanego zamka łazienkowych drzwi. Odwracam się w ich stronę i widzę poruszającą się klamkę.

Zaczynam się denerwować.

– Vittorio – mówię zaskoczona, gdy chłopak staje w otwartych drzwiach. Łapię za ręcznik i chcę się nim okryć. Jestem zupełnie goła. – Jeszcze nie skończyłam! – krzyczę na niego. Jest ślepy? Nie widzi tego? – Wyjdź! – Czuję się zażenowana. Przecież ja nigdy go nie podglądam.

Śmieje się i najwyraźniej nie ma zamiaru odejść. Ręcznik jest mały, ale udaje mi się nim owinąć. Nie powinien na mnie patrzeć. Poskarżę się na niego mamie. Będzie wściekła za to, co właśnie robi. Przegiął. Jeśli chciał mi zrobić na złość, powinien wybrać sobie inny sposób.

Nienawidzę go!

– *Uffa!* Idź sobie – ponaglam go raz jeszcze. – Muszę się ubrać! – Chce mi się płakać.

Vittorio zakłada ręce na piersi i staje w lekkim rozkroku.

– Muszę skontrolować, czy się dobrze umyłaś – stwierdza rozbawiony. Ta sytuacja go śmieszy. Nie ma pojęcia, jak podle się przez niego czuję. Nie potrzebuję kontroli w takich sprawach.

– Jestem już duża – wygarniam mu. – Mama nigdy tego nie robi. Ty też nie musisz. – Mój głos przechodzi w lament. Nie wiem, po co tutaj przyszedł. Nigdy go nie obchodziłam. Zawsze tylko mnie mijał. Rzadko się do mnie nawet odzywał. Nagle zaczął się o mnie troszczyć?

– Zdejmuj to. – Wskazuje palcem na ręcznik, który mam na sobie.

– Słucham? – Jestem w szoku. Serce podchodzi mi do gardła.

– Mówię, zdejmuj to. Czego nie zrozumiałaś? – Przystaje być miły. Podchodzi bliżej.

Cofam się. Moje nogi dygoczą, jakby były z galarety. Jestem przerażona. Ostatni raz bałam się tak w momencie, kiedy dowiedziałam się o śmierci *mammy* i *papy*.

Vittorio patrzy na mnie jakoś dziwnie. Jest z siebie zadowolony.

– Nie zdejmę – buntuję się. Próbuję być groźna. Nie może mi rozkazywać. Nie jest moim ojcem. – Powiem to wszystko tacie, kiedy wróci! – straszę go. – Spuści ci łomot! – Mam nadzieję, że to na niego zadziała. Wiem, że Vittorio się go boi. Nieraz słyszałam, jak się kłócili.

– Si? Tak? – Podnosi brwi. Sięga ręką do kieszeni i wyjmuje z niej jakiś mały przedmiot. Kawalek drewna. Ścisną go, a z drewna momentalnie wyłania się ostrze. To nóż.

– Nie, nie, nie... – zaczynam się jąkać, choć nigdy wcześniej nie miałam z tym problemu.

Podnosi przedmiot w górę i macha nim przed moimi oczami.

– Teraz też jesteś taka mądra? – przerywa mi. – Wiesz, co to jest? – pyta, choć przecież moja reakcja powinna być dla niego jasną odpowiedzią. Znowu zaczyna się śmiać. Widzi, jak

bardzo się boję. I sprawia mu to radość. Im bardziej jestem przerażona, tym on wydaje się z siebie dumniejszy.

– *Io so*. Wiem. To n... nóż – dukam.

– A wiesz, co taki nóż potrafi zrobić? – Przykłada go do swojego gardła i udaje, że przecina skórę. Wywała na wierzch język i przewraca oczami.

Wcale nie wygląda zabawnie. Jest straszny. Jego widok mnie paraliżuje.

Potem kieruje ostrze w moją stronę.

Kiwam głową, że wiem, co potrafi. Ale nie odpowiadam mu na głos. Nie potrafię. Łzy płyną mi z oczu. Marzę, by jak najprędzej stąd uciec, ale Vittorio blokuje mi drogę. Łazienka jest zbyt mała, bym miała jakąkolwiek szansę.

– To jak? Zdejmujesz to? – pyta ponownie.

Kręcę głową, że nie. Nie chcę tego robić.

To takie upokarzające, że nawet mimo jego gróźb się na to nie zdecyduję.

– Zdejmuj to, mała suko! – Podchodzi do mnie wściekły i szarpie za materiał ręcznika. Jednym ruchem pozbawia mnie jedyne okrycie, jakie miałam.

Stoję jak słup soli, zakrywając się rękami. Płaczę. Na cały głos. Krzyczę, błagając w myślach, by ktoś mnie usłyszał. Tak bardzo się boję. Znowu zauważam przed nosem błysk trzymanego przez chłopaka ostrza.

– Ale jesteś głupia! *La puttana*. Mała idiotka. Powinnaś była się mnie słuchać – wyzywa mnie. Szarpie moją ręką, przyglądając mi się obleśnie.

Dygoczę. Obawiam się tego, że zaraz zacznie mnie dotykać.

– Bez szału – komentuje. Jego niezadowolona mina to jedyne, co rzuca mi się w oczy.

Staram się nie myśleć o tym, co się właśnie dzieje. Uciekam wyobraźnią daleko. Do przygód mojego książkowego bohatera. Gdyby tutaj był, może razem wymyślilibyśmy jakieś rozwiązanie.

– Odwróć się. – Vittorio wydaje mi kolejne polecenie.

Nie reaguję.

– Odwróć się, nie słyszałaś? – Jest coraz bardziej wściekły.

Modłę się, żeby rodzice wrócili. „Boże, spraw, żeby tak było” – powtarzam w myślach. Lamentuję, ale mój głośny płacz go nie powstrzymuje. W ogóle nie zwraca na niego uwagi.

– Schyl się – mówi. Stoi zaraz za mną.

Nie widzę go. Nie słyszę. Nie słyszę w ogóle nic.

– No, może być – mruczy po chwili.

Stoję w miejscu, upokorzona jak nigdy wcześniej. Nie słyszę już słów, które padają w moją stronę. Jakby ktoś walnął mnie w głowę ciężkim butem. Wstyd nie pozwala mi się uspokoić.

Zamykam się. W sobie. Nie chcę już żyć. Marzę o tym, by zaraz umrzeć.

– Wiesz, co się stanie, jeśli powiesz o tym mamie albo tacie? – Vittorio staje w drzwiach łazienki. Odwraca się w moją stronę, jakby sobie o czymś przypominał. Nie czeka, aż mu odpo-

wiem. Domyśla się, że z obawy przed nim tego nie zrobię, tak jak teraz nie potrafię wydusić z siebie ani słowa. – Chyba nie chciałabyś zdechnąć jak twoi rodzice. – Uśmiecha się. – Prawda?

Potem zamyka drzwi.

Zostaję sama.

Nie ma racji. W tym momencie właśnie o tym marzę. Chciałabym śmierci. Chciałabym by *mamma* i *papà* zabrali mnie do siebie do nieba. Byłoby mi lżej.

Płaczę. Siadam na podłodze. Kręci mi się w głowie. Chowam głowę między kolanami i próbuję zapomnieć o tym, co się właśnie stało. Ale śmiech Vittoria wciąż dźwięczy mi w uszach. Nienawidzę go! Nienawidzę! Kiedyś go za to zabiję.

Nie potrafię się wytrzeć. Mam wrażenie, że ręcznik zaraz wypadnie mi z rąk.

Ubieram się, wybiegam z łazienki i pędzę do swojego łóżka. Jestem przerażona. Boję się, że znowu się na niego natknę, ale na szczęście nie spotykam go po drodze. Nie mam pojęcia, gdzie jest. W domu panuje zupełna cisza. Przykrywam się kołdrą po sam nos i patrzę na drzwi. Martwię się, że w każdej chwili może wejść do środka. Żałuję, że nie mam klucza. Mogłabym się zamknąć.

Modłę się. Tak, jak nauczyła mnie tego kiedyś *mamma*. Chodziłyśmy razem do kościoła, kiedy jeszcze żyła. Modłę się do Boga, żeby moi adopcyjni rodzice wrócili. Ale to nie następuje. Przez bardzo długi czas.

W końcu zaczyna świtać. Mam wrażenie, że ta noc miała długość co najmniej kilku razem wziętych. Na szczęście Vittorio nie pojawia się w moim pokoju.

Uświadamiam sobie jedno. Nie miałam pojęcia, że ludzie mogą być aż tak źli i że świat może być aż tak strasznym miejscem.

Rozdział 9

FRANCO

– Franco, *tesoro*, ja naprawdę nie wiem, jak ci dziękować. – *Signora* Giorgia nazywa mnie skarbem, jakby zapomniała, że zdążyłem już dorosnąć, i to, cholera, dość dawno temu. Wiekowa, ale wiecznie uśmiechnięta kierowniczką sierocińca podaje mi swoją pulchną dłoń. Zna mnie od dziecka, w końcu *nonna* przyprowadziła mnie tu po raz pierwszy, kiedy miałem może z pięć lat.

Siedzę naprzeciwko niej przy wysłużonym, drewnianym biurku. Jest tak stare, że pamięta chyba czasy Juliusza Cezara. Nie przypominam sobie, żebym widział tutaj kiedykolwiek jakiegokolwiek innego. Ale jeśli pojawiają się już jakieś środki, są wydawane na szlachetniejsze cele. Wychowankowie na tym zyskują.

– Dzięki temu, co dla nas robisz, te dzieciaki naprawdę mają warunki, by uczyć się tak samo godnie, jak ich rówieśnicy, którym w życiu po prostu bardziej się poszczęściło. Mają porządne kredki, zeszyty, farby... – wymienia. – Pokażę ci faktury z ostatnich zakupów, żebyś widział, że te pieniądze naprawdę nie idą na marne. – Otwiera szufladę i zaczyna w niej grzebać.

– *Signora* Giorgia – powstrzymuję ją. – Niech pani niczego nie szuka, to nie jest konieczne. Ja wiem, że te pieniądze są wykorzystane w najlepszy możliwy sposób.

– Miasto też nas wspomaga. Niewiele, bo niewiele, ale każdy cent jest ważny. Jedzenie, środki czystości, sam wiesz, Franco, potrzeby są duże. – Kręci głową przygnębiona.

Zawsze podziwiałem serce, z jakim podchodzi do swojej pracy. Jej poświęcenie i zaangażowanie kosztują ją sporo emocji. Nigdy nie potrafiła się do tego wszystkiego zdystansować.

– Rozumiem.

– Cieszę się, że wpadłeś, *tesoro*, w odwiedzin. – Uśmiecha się do mnie i łapie mnie za rękę. Ścisną ją.

Czasami mam wrażenie, że traktuje mnie jak swojego wnuka. Od roku trochę zaniedbywałem to miejsce – nie miałem czasu, by wpadać tutaj na dłużej. Przez ostatnie miesiące wysługiwałem się Biagiem, który przychodził tu co parę tygodni z odliczonym przeze mnie plikiem pieniędzy.

– Pewnie jesteś zapracowany. – Kobieta zdaje się to jednak rozumieć. – A jak twoja *nonna*? Dawno jej nie widziałam.

– *Nonna* przeżyje nas wszystkich. – Macham ręką. – Ciągle przechwala się tym, że wcale nie musi korzystać z usług lekarza, choć ma już tyle lat. Radzi sobie sama.

– To cudownie. Skoro nogi nie odmawiają jej posłuszeństwa, mogłaby odwiedzić dawną znajomą.

– Przekażę jej – deklaruję, po czym wstaję z krzesła i je odsuwam. – Będę się już zbierał.

Signora Giorgia robi to samo i parę sekund później staje dokładnie przede mną. Poprawia kołnierz mojej czarnej koszuli. Mam ochotę parsknąć śmiechem, ale z grzeczności tego nie robię. Niektóre rzeczy, pomimo upływu lat, wcale się nie zmieniają.

– Wypocznij, Franco, bo widać, że jesteś przepracowany. – Wygląda na zmartwioną. – Nie samą robotą człowiek żyje. – Głaszcz mnie po ramieniu.

– *Certo*. Oczywiście – odpowiadam automatycznie. – Pędzę do domu nabierać sił. – Żegnaj się z nią i wychodź na zewnątrz.

Nie ma pojęcia, jak wiele spraw, niekoniecznie stawiających mnie w dobrym świetle, mam jeszcze dzisiaj do załatwienia. Wsiadam do auta i zostawiam za sobą czteropiętrowy, kilkudziesięcioletni gmach.

Kiedy wreszcie wjeżdżam do swojego garażu, zerkam jeszcze tylko na komórkę, bo urządzenie daje mi krótki sygnał przychodzącej wiadomości.

Przepraszam, trochę mnie poniosło.

Dorotea. A któżby inny.

Kręcę głową z politowaniem. Przez chwilę zastanawiam się, czy jakkolwiek zareagować. Ostatecznie nie odpisuję nic i wkładam komórkę do kieszeni.

Otwieram drzwi wejściowe. Witam się z *nonną* i zamieniam z nią parę słów. Ponoć poszła dzisiaj do Giulii i zaoferowała jej swoją pomoc. Widzę, jak bardzo przeżywa tę sytuację, choć nikt nie oczekuje od niej zaangażowania. Przekazała Giulii parę rad, a prawda jest taka, że *nonna* faktycznie ma doświadczenie i bezcenną wiedzę na temat opieki nad dziećmi. Mogłem się spodziewać, że wizyta mojego gościa nie da jej spokoju. Na nic zdaje się mój plan zamówienia dzisiaj cateringu z pobliskiej restauracji. *Nonna* zrobiła swoje popisowe danie, czyli makaron z warzywami. W takiej ilości, że wystarczyłoby chyba dla co najmniej połowy moich żołnierzy. Ale Giulia grzecznie odmówiła jedzenia, twierdząc, że nie chce sprawiać problemu. A co to, strajk głodowy? *Porca miseria!* Wkurzam się, bo przecież powinna jeść. Nie chcę jej mieć na sumieniu.

Wchodzę po schodach do siebie. Odpinam guziki przy mankietach koszuli. W salonie panuje cisza, jak zresztą prawie zawsze. Nie wiem, czego się spodziewałem. Może po prostu tego, że usłyszę głos płaczącego dziecka? Z tym zawsze kojarzyły mi się małe, rozwrzeszczane niemowlaki.

Zerkam na drzwi sypialni, którą odstępiałem Giulii. W końcu staję przed nimi i pukam, ale nikt nie odpowiada. Robię to ponownie, nieco głośniejsze, choć obawiam się, że mogę tym obudzić małą. Jeśli w ogóle śpi. Nadal bez odzewu. Naciskam na klamkę i zaglądam do środka.

– *Buongiorno* – witam się półgłosem.

Giulia milczy. I chyba nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że wcale nie leży w łóżku. Siedzi zwrócona do mnie tyłem, chociaż się nie rusza. Udaje, że mnie nie słyszy? To jakaś nowa zagrywka?

Co jest? Ogarnia mnie dziwne przeczucie.

Zbliżam się do niej, by sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Bo mam cholerne wrażenie, że niekoniecznie. Staję naprzeciwko niej.

Dziewczyna ma zamknięte oczy, a jej głowa zwisa bezwładnie w stronę prawego ramienia, którym opiera się o podłokietnik. Oddycha. Miarowo i spokojnie. No nieźle. Wygląda na to, że zasnęła na siedząco. Z malutkim dzieckiem na rękach. Musiała być naprawdę wyczerpana.

Jej córka ma zamknięte oczy, choć delikatnie porusza ustami. Uświadamiam sobie, że tak naprawdę jeszcze ani razu nie miałem okazji zobaczyć jej z bliska. Jest całkiem urocza. Do diabła, robię się sentymentalny. A to zupełnie nie w moim stylu.

Cud, że nic się jej nie stało, przecież mogła wypaść matce z rąk. Widać, że Giulia odpłynęła na dobre. Chyba powinienem jakoś zareagować. Drapię się po głowie. Robiłem w życiu wiele rzeczy, ale jeszcze nigdy nie trzymałem na rękach tak małego dziecka. Nie wiem, jak się za to zabrać. Nachyliam się i wkładam rękę pod główkę noworodka. Mam zamiar go zabrać i przełożyć do łóżka. W myślach modłę się o to, by mała nie zaczęła ryczeć.

– *Santo Cielo!* O mój Boże!

Jestem tak skupiony, że westchnienie Giulii prawie przyprawia mnie o zawał. Nie spodziewałem się tego. Para niebieskich, przelęknionych oczu patrzy prosto na mnie. Dziewczyna instynktownie przytrzymuje malucha, nie pozwalając mi go zabrać.

– Co się dzieje? – pyta zdezorientowana.

– Spokojnie. – Próbuję opanować kołatanie serca. – Zasnął z małą na rękach. – Wskazuję na dziecko.

– Wypadła mi? – pyta, najwyraźniej wciąż kompletnie oszołomiona, bo przecież ma dziecko przy sobie. Zdaje się, że nie rozbudziła się na dobre i nie kontaktuje tak, jak powinna.

– Na szczęście nie. – Ostrożnie wyjmuję spod głowy malucha swoją dłoń.

Ale wtedy mój wzrok zatrzymuje się nieco wyżej. Tuż nad noworodkiem prężnie sterczy brązowy sutek Giulii. Najwyraźniej karmiła. Moja konsternacja nie umyka jej uwadze.

– Tylko nie to – szepcze zduszonym głosem. Zerka w dół i próbuje poradzić sobie z podwiniętym materiałem odsłaniającym część jej biustu.

Domyślam się, że to dla niej krępujące, choć niech mi wierzy, widziałem już niejedne cycki i ich widok nie robi na mnie ponadprzeciętnego wrażenia. Zdążyłem się przyzwyczaić.

Niezdarnie szamocze się jedną ręką. Odwracam głowę w bok, żeby zapewnić jej minimalny komfort.

– Bluzka zaczęła mi się o zapinkę z ramiączka – jęczy, jakby zmagająca się z problemem rangi przepłynięcia całego oceanu.

– Poczekaj. – Kucam, żeby jej pomóc.

– Lepiej nie! – Reaguje prawie krzykiem, a przecież nie mam zamiaru zrobić jej żadnej krzywdy. – Błagam, nie! – powtarza.

Widzę, że niepotrzebnie panikuje. Dziwię się, bo jeszcze żadna kobieta nie czuła się przy mnie aż tak zawstydzona. Wręcz przeciwnie.

– Giulia – mówię do niej najspokojniej, jak tylko potrafię. – Nic się nie dzieje. – Odsuwam się o krok, żeby udowodnić jej, że naprawdę nie musi się mnie obawiać. – Chciałem tylko pomóc. – Jestem zdezorientowany, widząc jej przelęczony wyraz twarzy. Nie wiem, jak mam się zachować.

– *Perdonami. Ti prego.* Przepraszam – odpowiada ze smutkiem. Zaciska oczy, jakby próbowała powstrzymać się od łez. – Możesz przytrzymać Elenę? – pyta, niezdarnie zakrywając pierś dłonią. – Poradzę sobie.

Schylam się po dziecko. Już mam zamiar je zabrać, kiedy przed oczami miga mi coś, co absorbuje całą moją uwagę. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

– Co to jest? – Wskazuję na fragment jej ciała znajdujący się tuż nad zakrytym przez nią sutkiem. Podwijający się materiał bluzki odsłania skórę doszczętnie pokrytą bliznami.

Jej oczy rosną. Nie odpowiada. Rozwiera usta, ale nie potrafi wykrzesać z siebie słowa.

Jestem w szoku. Tracę kontrolę nad rozsądkiem. Łapię materiał jej koszulki i podciągam go jeszcze wyżej.

– Proszę, nie! – zawodzi, jakbym chciał ją co najmniej uderzyć.

Od obojczyka w dół ciągnie się nierówna linia różowych blizn. Większość z nich przypomina kształtem kółka. Jakby ktoś przypalał jej ciało rozżarzoną fajką. Dotykam palcem ich powierzchni i zerkam na twarz Giulii. Syczy z bólu, jakbym to właśnie ja zadawał jej teraz te rany. Mimo to już się nie broni. Siedzi sztywno z zamkniętymi oczami. Jej broda drży.

Jestem przerażony. Uwalniam materiał jej koszulki od zapięcia, o które się zahaczył, i pociągam w dół, zakrywając wszystko tak, jak tego chciała. Serce wali mi jak młotem. Czuję frustrację i nagły napływ adrenaliny. Nie potrafię się opanować. Pocieram dłonią czoło. Mam ochotę wyjść i rozpierdolić tego typa, który jej to zrobił. Kimkolwiek jest. Ale teraz powinienem skupić się na niej.

Tymczasem Giulia oddycha dziwnie płytko. I nienaturalnie szybko. Wokół panuje cholerna, wymowna cisza. Nagle pojawiło się tak wiele pieprzonych znaków zapytania.

– Giulia, to... – Kucam przy niej, nie wiedząc, co właściwie powiedzieć. Musiała przeżyć piekło. Podnoszę rękę i wierzchem dłoni ocieram jedną połowę jej wilgotnej od łez twarzy. Bardzo ostrożnie, by nie odebrała tego w niewłaściwy sposób. Nie patrzy na mnie, ale mam nadzieję, że mnie słucha. – Kto ci to zrobił? – pytam, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co przed chwilą widziałem. Kto, do kurwy, mógłby w taki sposób potraktować kobietę? – To był ojciec twojej córki, prawda? Twój adopcyjny brat. – Stwierdzam, bo nietrudno się tego domyślić.

Jeszcze mocniej zaciska usta, a potem bezgłośnie potakuje, potwierdzając tylko to, czego byłem już absolutnie pewien.

– Zgłaszałaś to gdzieś? – zadaję jej kluczowe pytanie. Ludzie żyjący w zgodzie z prawem tak właśnie robią. Zwyczajni obywatele, z czystym sumieniem, wierzący w prawdziwość i sens

istnienia wymiaru sprawiedliwości.

– No. Nie. – Ciche zaprzeczenie to pierwsze słowa, jakie wypowiada od kilkudziesięciu sekund. Otwiera oczy. Są szklane. Nieufne. Odwraca się w drugą stronę, by na mnie nie patrzeć.

A ja nie mam zamiaru wypytywać o nic więcej. Widzę, jak bardzo jej ciężko. Skurwysyn, który jej to zrobił, musi za to zapłacić. Ponieść konsekwencje swoich czynów. Nie powinienem się w to mieszać, w końcu to nie mój biznes. Ale już teraz jestem przekonany, że ciężko będzie mi przejść obok tego obojętnie.

– Dlaczego nigdzie z tym nie poszłaś? – Wbrew zamierzeniom, brnę w to dalej. Jeśli mam cokolwiek zrobić, muszę poznać jej punkt widzenia.

Pewnie była zastraszana. Ludzie przebywający w warunkach pozbawiających ich resztek komfortu funkcjonują zupełnie inaczej, niż postąpiliby na co dzień. Kto jak kto, ale ja chyba coś o tym wiem. Nie więzimy jeńców tylko po to, żeby zapełnić cele podziemi. Strach, jaki wzbudzą w nich niepewność, ciemność i własna wyobraźnia, uaktywnia w psychice zupełnie nieznanne im dotąd pierwiastki. Wzbudzenie lęku jest jak złamanie czyjejs tarczy. To konieczny wstęp pozwalający zrobić z człowieka pieprzoną plastelinę. A z niej można uformować potem, cokolwiek się chce. Dlaczego to wszystko wydaje mi się teraz tak cholernie niewłaściwe?

– To i tak nic by nie dało – odpowiada z rezygnacją. Patrzy na mnie tak, jakby liczyła na to, że ją zrozumie, kiwam więc głową, próbując okazać jej jakieś wsparcie, a ona kontynuuje: – Vittorio był zły. To nie był przeciętny człowiek. – Pierwszy raz wypowiada jego imię. – Kiedyś miał wiele znajomości. Powiedział mi, że jeśli gdzieś z tym pójde, zabije mnie. – Milknie, wycierając policzek w rękaw koszulki. Mówi o nim tak, jakby był jakimś cholernym, rzymskim cesarzem. Władcą. A przecież podobne groźby to klasyk. Nie trzeba być geniuszem, by coś takiego wymyślić.

– No tak... – odpowiadam. – Ale chyba go przeceniałaś. Teraz już go tutaj nie ma – zapewniam ją.

– To chyba kwestia czasu. – Wciąż nie wierzy w to, że może być tutaj bezpieczna. Nie ufa mi, choć przecież się staram.

– Zapewniam cię, że nie. – Jestem poirytowany. Prostuję się. W tym domu, nad którym czuwa ochrona i w którym znajduje się chyba więcej amunicji niż w całym Vieste, nic się jej nie stanie.

Przechadzam się po pokoju. Zerkam przez okno. Jestem o krok od tego, by powiedzieć jej, kim tak naprawdę jestem, ale to chyba nie byłoby dobre posunięcie. Zwłaszcza w obecnej sytuacji. Moja własna wiedza rozrywa mnie od środka. Wtedy Giulia odzywa się jako pierwsza.

– Vittorio... – Przerywa, jakby zastanawiała się, czy kontynuować. – On był członkiem mafii – dodaje po chwili.

Mija sekunda. Potem kolejna. Jej słowa zawisają w powietrzu. To jedno zdanie dosłownie ścina mnie z nóg.

Giulia przetyka ślinę.

– Co, kurwa? – Odwracam się w jej stronę i staję naprzeciwko niej. Biorę się pod boki. Chyba się przesłyszałem.

– Si. Tak. – Potakuje głową tak szybko, jakby bała się, że jej nie uwierzę. Przygląda się mojej reakcji. – Wiem, jak to niewiarygodnie brzmi. Ale on naprawdę był bandytą. Z zimną krwią zabijał innych ludzi. Dlaczego miałabym nie uwierzyć, że ze mną postąpi tak samo? – Zakrywa oczy palcami. – Groził, że jeśli urodzę dziecko, sprzeda je... Sprzeda tym, którzy ją wykorzystają, moją małą Elenę – dodaje ledwo słyszalnym głosem.

– Jak ten skurwiel ma na imię? – Słyszę swój głos, ale go nie rozpoznaję. Brzmi, jakbym tracił nad nim panowanie. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz targały mną tak niekontrolowane emocje.

Skoro znalazłem Giulię na przystanku w Peschici, musieli mieszkać niedaleko. Nie mogła przecież w taką zawieruchę, w ciąży, przejść nie wiadomo ilu kilometrów. Zatem facet, o którym gada, to zapewne ktoś, kogo znam. *Cazzo!*

Robi mi się duszno, kiedy czekam na odpowiedź. Tymczasem ona milczy. Zabiera ze stolika swój portfel, otwiera go i wyjmuje jakąś plakietkę. To dowód osobisty. Przecież już wcześniej chciała mi go pokazać. Chcę jej o tym przypomnieć.

– To jego dokument – mówi. – Kiedy uciekałam, zabrałam mu portfel. Nie chciałam go okraść, przysięgam – panikuje, choć przecież wcale jej nie oskarżam. – Ale tutaj, w środku, znajdował się także i mój dowód. Nigdy mi go nie dawał – tłumaczy się, jakby, do diabła, zrobiła coś bardzo złego.

Sięgam po prostokącik. Przyglądam się zdjęciu typu, którego raczej nie kojarzę. Jest łysy i ma podwójny podbródek. To raczej nikt z moich ludzi. A przynajmniej nikt z tych, z którymi mam bliższy kontakt.

– Vittorio Bianchi – czytam na głos. To nazwisko słyszałem już wiele razy, ale zdaje się, że to chyba jedno z najpopularniejszych we Włoszech. Nic konkretnego mi zatem nie mówi.

Zerkam na Giulię i widzę, że chce mi coś powiedzieć. Mała zaczyna kwilić na jej rękach. Kołysze ją, próbując zapanować nad jej płaczem.

– Pamiętasz, jak prosiłam cię o fałszywe dokumenty? – pyta.

Kiwam głową na potwierdzenie. Oczywiście, że pamiętam. Powinna wiedzieć, że od samego początku, kiedy się tutaj zjawiała, uważnie jej słuchałem.

– Wiem, że da się takie załatwić, bo on, Vittorio, wcale się tak nie nazywa – kontynuuje. – Zmienił nazwisko. Kiedy przyjechaliśmy do Peschici z Bari, mojego rodzinnego miasteczka, rozegrała się tutaj prawdziwa masakra. – Przerywa na chwilę przejęta własnymi słowami. – Moi adopcyjni rodzice zginęli, tak jak straciło wtedy życie wielu innych ludzi. Zostałam tylko ja i on, Vittorio. – Milknie.

Marszczę brwi. To, co mówi, zaczyna mi coś przypominać. Splatam dłonie i kolejny raz przykucam u jej boku, zastanawiając się nad jednym, cholernie istotnym elementem tej całej układanki.

– To jakie jest jego prawdziwe nazwisko? – pytam, patrząc jej prosto w oczy.
Zapada dziwna cisza. Giulia milczy, jakby bała się odpowiedzieć.
A potem podnosi na mnie wzrok.
– Sicario. Vittorio Sicario.

Rozdział 10

FRANCO

– Vittorio Sicario? O czym ty, Franco, pierdolisz? – Z telefonu rozlega się poirytowany głos *dona*. Gada, jakbym właśnie próbował mu sprzedać jakąś wysaną z palca bajkę, a przecież sobie tego nie wymyśliłem. – Parę lat temu widzieliśmy ich zdjęcia – tłumaczy, choć doskonale o tym wiem. Nie musi mi przypominać. – Wszyscy wystrzelani jak kaczki. Co do jednego – próbuje negocjować wszystkie fakty, jakie mu dotychczas przedstawiłem.

– Najwyraźniej nie wszyscy. Dziewczyna powiedziała mi, że przeżyła tylko ona i Vittorio. Ten kretyn więził ją przez lata. Czuł się bezkarny, bo zmienił tożsamość – przypominam mu, bo w tym momencie nie mam ochoty na zbędne gadki. Krew we mnie aż wrze, a to znak, że chcę tylko jednego. Sprawiedliwości.

Widziałem przecież, co zrobił niewinnej kobiecie, która pozostawała przy nim bez żadnych szans na obronę. Mam nadzieję, że *don* Fabio sam wyjdzie z inicjatywą udania się do domu Sicario. W takich sprawach nie powinienem działać na własną rękę, poza jego wiedzą. *La famiglia* wymaga przemyślanych decyzji, które zawsze prowadzą do jakichś celów. I spójności w działaniu. Tutaj nic nie może się dziać poza kontrolą.

– Kurwa! – komentuje. W słuchawce zapada cisza. – Posłuchaj mnie – odzywa się po dłuższej chwili. Najwyraźniej potrzebował czasu na przemyślenie. Wiem, że to wszystko wydaje mu się równie niejasne i pochrзанione jak mnie. W końcu, zdaje się, przytrafiła się nam mocno niecodzienna sytuacja. – Jeśli jakimś cudem faktycznie jakiś wolny elektron tej pieprzonej rodziny przetrwał, skąd możesz mieć pewność, że ta cała Giulia to nie jest jego wtyka? Wpuściłeś ją pod swój dach – robi mi wyrzuty. – Zachowałeś się cholernie nieodpowiedzialnie, Franco.

Myślałem o tym. Wielokrotnie. Niech mi Bóg będzie świadkiem, że jeszcze do niedawna naprawdę jej nie ufałem. Ale nie da się tak dobrze udawać. A bliźni na jej ciele są prawdziwe. Nie zrobiłaby ich sobie sama.

– *Don*... – Milknę na chwilę. – Jeszcze nigdy cię nie zawiodłem. Gdybyś słyszał o tym, przez co przeszła, i gdybyś zobaczył jej pokaleczone ciało...

– Tutaj nie chodzi o zaufanie, Franco – przerywa mi. – Wiem, że nie masz złych intencji. Próbuję cię opamiętać, bo widzę, że zachowujesz się jak zaślepiony typ, który w danym momencie myśli tylko futem.

Dannazione! Szlag by to! Przecież nie mam zamiaru zaciągać jej do łóżka. Wiem, że dotąd nie byłem wylewny, jeśli chodzi o uczucia, i nieraz traciłem głowę w towarzystwie atrakcyjnych kobiet, ale nigdy, przysięgam, kosztem *la famiglia*.

– Nie wiesz, co mówisz, Fabio – upominam go, by sobie uświadomił, że sprawa jest poważna. Że Giulia nie jest moim kaprysem, któremu po prostu chwilowo uległem. Do cholery! Na

pewno nie wplątałbym się w jakieś gówno tylko dla paru chwil przyjemności. Nie jestem już nastolatkiem wężącym byle okazji do ruchania. Powinien to zrozumieć. – A co, jeśli tym razem mam rację? Mogłaby przecież nas do niego zaprowadzić – drążę, próbując nakierować temat w stronę konfrontacji z Sicario.

– Nie potrzeba nam dodatkowych problemów – odpowiada niezbyt zadowolony.

Ta rozmowa zdecydowanie nie toczy się tak, jakbym sobie tego życzył.

– Nudzisz się, Franco, czy co? Wiesz, ile życia zmarnowaliśmy przez tych pierdolonych skurwysynów?! – wybucha.

Mogę sobie wyobrazić, jaki jest teraz wściekły. Wiele razy widziałem jego wybuchy furii na żywo.

– Myślisz, że znowu chcę się w to mieszać? – Nie spuszcza z tonu. – Jeden cholerny Sicario nie odbuduje nowej rodziny, więc nie musimy się nim przejmować. Zwłaszcza że nie próbuje nadepnąć nam na odcisk. Wybacz, ale z powodu obcej kobiety nie będziemy organizować całej akcji. Nie uratujesz całego świata, *mio fratello* – nazywa mnie bratem i powoli się uspokaja, ale słyszę, jak ciężko oddycha.

Do diabła, przecież doskonale wiem, co przeżywa. Jego złość jest uzasadniona. Przez Sicario rodzina Trovato musiała uciekać. Gdyby nie oni, historia *dona* i jego żony nie kryłaby tylu dramatycznych wspomnień.

– Mam ją oddać w jego ręce? – Mimo wszystko nie potrafię mu przytaknąć. – To chcesz mi powiedzieć? Jeśli wywalę ją na bruk, on ją znajdzie. – *Don* nie jest przecież bez serca. Krzywda wyrządzana kobietom zawsze robiła na nim wrażenie, a że ta sprawa dotyczy rodziny Sicario, to już nie jest wina Giulii.

– Nie powiedziałem, że na bruk. Jest wiele instytucji, które się nią zajmą. Ty będziesz miał czyste sumienie, a my wszyscy zasłużony spokój – stwierdza. – Mam nadzieję, że postąpisz rozsądnie, Franco. – W tle słychać śmiech jego dzieci. *Don* mówi im, żeby chwilę poczekały. Najwyraźniej gdzieś się razem wybierają.

– *Certo*, Fabio – potwierdzam.

Kiedy połączenie zostaje przerwane, rzucam komórkę na sofę i siadam obok niej kompletnie bezradny. Jestem wściekły, ale wcale nie na Fabia. Na samego siebie, bo już naprawdę nie wiem, w co powinienem wierzyć. Kiedy życie stawia na drodze wyjątkowy przypadek, człowiek naprawdę ma ochotę popełnić odstępstwo od pieprzonych reguł. Tych reguł, którym zawsze hołdował.

Jestem Franco Meli. *Capo* apulijskiej mafii.

Ale w tym wszystkim jestem też człowiekiem. I w tym momencie ta właśnie rola wydaje się dla mnie najtrudniejsza.

Rozdział 11

GIULIA

Otwieram reklamówkę wypełnioną dziecięcymi ubrankami. Malutkie śpioszki, kaftaniki i różowe spódniczki musiały kosztować fortunę. Przyglądam się cenom wypisanym na metkach i kolejny raz zastanawiam się nad tym, czym zajmuje się Franco. Jedno już wiem – na pewno nie robi zakupów w sklepach dla zwyczajnych śmiertelników. I że dziś kolejny raz okazał mi wielkie serce. Nie chciałam tego przyjąć, ale nalegał. A prawda jest taka, że nie miałam wyjścia. Teraz jestem od niego zależna, a ubranka naprawdę były nam potrzebne.

Biorę do ręki drugą papierową torbę i sięgam po kolejne ubrania. Pod palcami czuję koronkowy materiał, a kiedy go rozciągam, moim oczom ukazuje się coś zdecydowanie niepasującego na małą istotę, jaką jest moja córka. Przegrzebuję wnętrze reklamówki ręką i widzę, że zawartość tego opakowania stanowią ciuchy przeznaczone dla kobiety. Robi mi się gorąco, bo czuję, że właśnie wydarzyło się coś bardzo niestosownego. Mam wrażenie, że zwyczajnie kogoś okradam. To zapewne nie miało trafić w moje ręce. Wkładam bluzkę z powrotem do reklamówki i wstaję. Zabieram torbę, by czym prędzej załatwić tę sprawę.

Otwieram drzwi i wchodzę do salonu. Franco właśnie kładzie na stół kolejny talerz z jakimś jedzeniem. Zauważa, że czegoś od niego chce, więc prostuje się i podchodzi w moją stronę. Zerka na rzeczy, które mu przekazuję.

– Co to jest? – pyta, jakby widział tę torbę pierwszy raz w życiu.

Jestem zmieszana i już nic z tego nie rozumiem.

– Właśnie nie wiem. Ale to na pewno nie było przeznaczone dla mnie. W środku nie ma dziecięcych ubrań – tłumaczę, choć on sam nie fatyguje się, by przejść ode mnie pakunek.

– Naprawdę? W takim razie musiało dojść do jakiejś pomyłki. Trudno. – Macha ręką, wciąż nie spuszczając ze mnie wzroku. – Przykro mi, ale mi się to nie przyda. Z pewnością skorzystasz z tego lepiej niż ja – dodaje, choć mam nieodparte wrażenie, że to jednak wcale nie był przypadek. Wkłada ręce w kieszenie i czeka na mój ruch.

Opuszczam głowę, bo nie wiem, jak powinnam się zachować.

Czuję, że zaczynam się czerwienić. Ze skrzepowania i dlatego, że mężczyzna stojący przede mną ma w oczach błysk, który po prostu mnie onieśmiela. Ale który budzi też we mnie jakieś dziwne emocje. Jakbym chciała mu zaufać. A to ostatnie, na co mogłabym sobie pozwolić.

– *Grazie*. Dziękuję – mówię cicho i odwracam się na pięcie, by wrócić do śpiącej w sypialni Eleny.

– Załóż coś z tych rzeczy i przyjdź na kolację – odzywa się za moimi plecami i w tym momencie mam już stuprocentową pewność, że Franco naprawdę kupił te ubrania celowo. I że kupił je właśnie z myślą o mnie.

Sunę palcami po białej koronce bluzki, a jej struktura wydaje mi się tak delikatna, jakby została utkana z pajęczej nici. Już dawno nie widziałam czegoś tak pięknego. Nigdy nie miałam okazji nosić takich ubrań. Nie są przeznaczone dla osób takich jak ja. A jednak, nie wychodząc z zachwyty, postanawiam spróbować. Naciągam bluzkę przez głowę i, ku mojemu zdziwieniu, koronka wcale nie ulega zniszczeniu. Wbrew pozorom jest bardzo wytrzymała. Rozciągliwa. Materiał przylega do mojego ciała i wydaje się tak lekki, jakby wcale go nie było.

Zerkam w dół, podziwiając swój strój. Uśmiecham się. Po raz pierwszy od bardzo dawna czuję w sobie radość, której nie towarzyszy żaden lęk. To niespotykane uczucie. Ale tak bardzo przyjemne. Zdejmuję z włosów gumkę i potrząsam głową. Rozsypują się po moich ramionach. Są naprawdę długie. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz odwiedzałam fryzjera. Przez ostatnich kilkanaście lat nie mogłam robić tego wcale. ON, Vittorio, twierdził, że jest mi to niepotrzebne. Czasami brał nożyczki i ciął mi włosy wedle własnego uznania. A nie potrafił tego robić fachowo.

Przed oczami znowu staje mi JEGO twarz. Biorę głęboki oddech. Jeden. Drugi. Nie mogę pozwolić panice zdominować tej chwili. Zasługuję na spokój. Chociażby miał trwać tylko przez jeden wieczór. Nie tak łatwo wygrać w starciu ze wspomnieniami. Siedząc w miejscu i wgapiając się w sufit, na pewno sobie nie poradzę.

Wstaję, wyglądam nowe ubranie, zerkam na śpiącą córeczkę i z mocno bijącym sercem łapię za klamkę drzwi. A potem popycham je cicho i sunąc niemalże na palcach, wchodzę do salonu.

Widzę, że Franco już czeka. Wstaje, kiedy mnie zauważa. Zerka na mnie przelotnie i odwraca się w drugą stronę, ale bardzo szybko wraca do mnie spojrzeniem. Tym razem obserwuje mnie od stóp po czubek głowy. Wydaje się zaskoczony. Jakby nigdy dotąd nie miał ze mną styczności.

Krępię się, bo nie jestem przyzwyczajona do męskich spojrzeń. Zakładam włosy za ucho. Jestem zmieszana.

– Ładnie wyglądasz – mówi.

Nie mam pojęcia, jak przyjąć jego komplement. Zaciskam usta i chrząkam, zastanawiając się, czy mu podziękować, czy też zaprzeczyć temu, co powiedział. Nie jestem ładna. U boku Vittoria marzyłam o tym, by zbrzydnąć jeszcze mocniej. Wierzyłam w to, że tym sposobem przestanie zwracać na mnie uwagę. Ale tak się nie stało. Pomimo bezkształtnych sukienek, które zakładałam na co dzień, on i tak mnie widział.

– *Santo Cielo* – przywołuję Boga nadaremno, zerkając na zastawiony daniami stół. – Tyle jedzenia nie widziałam chyba nigdy – wyrzucam z siebie słowa niedowierzania. – *Nonna* musiała gotować to chyba przez cały tydzień. – Otwieram usta ze zdziwienia.

Franco zaczyna się śmiać. Mruży oczy i przygryza wargę. A potem kręci głową, jakby próbował się opanować. Najwyraźniej coś go rozbawiłam, ale jego reakcja wcale nie wywołuje we mnie oburzenia. Wręcz przeciwnie.

– To nie *nonna*, Giulia, a ekipa cateringowa. Nie miałbym serca oczekiwać od niej takiej uczyty. Ma już swoje lata.

Potakuję, bo przecież jego odpowiedź wydaje się całkiem oczywista. Potem siadam przy stole, zastanawiając się, z jakiej okazji Franco postanowił wydać takie przyjęcie.

– Masz dzisiaj urodziny? – pytam nieśmiało, kładąc splecione ręce na swoich udach. To wszystko, co dzieje się dookoła, po prostu mnie przerasta. Nie znam świata, w którym nagle przyszło mi się znaleźć.

– Nie. – Marszczy brwi. – Dlaczego o tym pomyślałaś?

Przez moment patrzę prosto w jego oczy. Niemalże błękitne. Kącik jego ust nieznacznie podnosi się w górę. Nie odpowiadam.

– Jedz, Giulia – przerywa ciszę, widząc, że nie potrafię się wysłowić. Jestem mu za to wdzięczna. – *Buon appetito*. Smacznego. Wiesz, że ty i zależne od ciebie dziecko tego potrzebujecie – dodaje, a potem nakłada na swój talerz solidną porcję makaronu.

Robię tak, jak powiedział, i zaczynam jeść. A kolorowe dania, które mam przed oczami, skutecznie pobudzają mój apetyt. Chciałabym skosztować wszystkiego. Ze wzruszenia chce mi się płakać. Ostatni raz przeżywałam coś podobnego, kiedy byłam małą dziewczynką. Właśnie wtedy, jak wielu innych ludzi, spożywałam posiłki przy jednym stole z bliskimi, bez strachu i lęku. Z moimi rodzicami. Wtedy jeszcze żyli. *Mamma* i *papà*. Już zapomniałam, jak to jest delectować się jedzeniem. Jak dobrze może smakować.

– Posłuchaj mnie. – Głos Franca rozbrzmiewa wśród dźwięków wydawanych przez nasze sztućce i przykuwa moją pełną uwagę.

Odkładam widelec na bok, próbując przełknąć to, co mam w ustach.

– Nie przerywaj sobie. – Wskazuje na mój talerz. Opiera łokcie na stole i uważnie mi się przypatruje. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że w przyszłym tygodniu będę miał twoje papiery. Z zupełnie nowym nazwiskiem. Dla ciebie i dla dziecka.

Zapiera mi dech w piersiach. A więc udało mu się to załatwić. Naprawdę to zrobił.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Otwieram usta zszokowana tym, co usłyszałam. Próbuję się nie rozplakać. – To wspaniale! – Nie kryję entuzjazmu. – *Grazie*. Bardzo dziękuję. – Kładę ręce na sercu, czując, jak mocno bije. Jestem szczęśliwa. Choć wizja nowego rozdziału w życiu wydaje się tak bardzo odległa. Dziwna i obca. Nikt nie nauczył mnie, jak być wolną.

– Wyjedziesz do Turynu i tam zaczniecie wszystko od nowa – kontynuuje. A więc wszystko dla mnie zaplanował.

– Jeśli tylko zacznę pracować – mówię pod wpływem emocji – oddam każdy grosz, który na mnie wydałeś. Przysięgam. Odwdzięczę się za wszystko, co dla nas zrobiłeś, kiedy tylko stanę na nogi.

– Nie potrzebuję pieniędzy. – Poważnieje. – I nie oczekuję od ciebie wdzięczności – dodaje. – Dość już przeszłaś, więc nie zwracaj sobie tym głowy. – Łapie za kieliszek z winem i wypija jego zawartość do dna.

Zapada cisza, ale tylko pozorna. Bo w mojej głowie jego słowa wciąż odbijają się głośnym echem.

– Kiedy zginęli moi rodzice, zawalił mi się świat – zaczynam. Opuszczam głowę, nie widzę więc, czy wciąż na mnie patrzy. – Nie przypuszczałam, że spotkam jeszcze kogoś, kto zrobi dla mnie tak wiele. Nie wierzyłam, że są jeszcze tacy ludzie jak ty – mówię to, co czuję. Wcale nie chcę mu się przypodobać.

Milczy. Jakby chciał się upewnić, czy na pewno skończyłam. Podnoszę na niego wzrok. Przeszywa mnie dreszcz, kiedy nasze spojrzenia się krzyżują. Zerkam na jego usta. Przed oczami, jak na zawołanie, staje mi scena, której niedawno byłam świadkiem. Ta noc, kiedy Franco był z inną kobietą. Próbuję o tym nie myśleć. Robi mi się duszno.

– Wiem, że śmierć bliskich jest naprawdę bolesna.

Jego niski głos pomaga mi się opamiętać. Podnosi brwi, jakby dziwił się, że odpłynęłam myślami gdzieś indziej. Kolejny raz czuję uderzenie gorąca.

– Tak. – Kiwam głową. – Jest. – Nieudolnie próbuję kontynuować obrany wcześniej temat. Jestem zakłopotana. Chcę coś jeszcze dodać, kiedy nagle w domu rozlega się dźwięk dzwonka.

Franco podnosi telefon i rozświetla ekran. Patrzy na godzinę.

– Spodziewałeś się kogoś? – pytam.

– Si. Tak – przyznaje – ale nieco później. To zapewne Dorotea – wzdycha. Jakby nie był z tego powodu szczególnie zadowolony. Zabiera ze sobą komórkę i zmierza w kierunku drzwi. Poprawiam bluzkę i wstaję z miejsca.

– Jeszcze raz dziękuję. *Grazie mille*. Dziękuję bardzo – mówię, mając zamiar opuścić salon.

– Siedź. Zaczekaj. – Gestem ręki prosi mnie, bym wróciła do stołu.

– *No, no...* Nie – zaprzeczam. – Nie chcę przeszkadzać. – Domyślam się, że z grzeczności nie chce mnie wypraszać, ale przecież będę tylko piątym kołem u wozu.

– Jeszcze nie skończyliśmy. – Tym razem przybiera ostrzejszy ton. Taki, któremu nie zamierzam się sprzeciwić. Jego słowa brzmią jak rozkaz.

Siadam z powrotem i patrzę, jak niespieszным krokiem rusza w kierunku schodów.

Mija kilkanaście minut, od kiedy urodziwa blondynka – dokładnie ta sama, którą wcześniej miałam już okazję spotkać przy okazji niezręcznej sytuacji – zajęła miejsce przy stole, tuż obok Franca.

Nie przestaje mówić, nie dopuszczając nikogo do głosu. Jest swobodna, pewna siebie, a jej gesty świadczą o tym, że ona i Franco są blisko. Właśnie w tym momencie trzyma rękę na jego ramieniu.

Czuję dziwne ukłucie zazdrości, kiedy kolejny raz zanoszą się śmiechem. Życie bywa niesprawiedliwe i nie obdziela wszystkich po równo, choć wcześniej nie zdarzało mi się snuć takich refleksji. Dorotea musi być modelką. Dawno nie widziałam tak atrakcyjnej kobiety. Ma duże piersi, wąską talię i długie nogi. A na sobie dopasowaną sukienkę, która podkreśla każdy

jej kształt. Sięga po ostrygę i spija ją jednym pociągnięciem. Sama nie miałam pojęcia, jak zjeść tak egzotyczną potrawę, więc by się nie kompromitować, nawet jej nie spróbowałam.

Franco stara się włączyć mnie do rozmowy, ale moje życie w porównaniu z jej codziennością jest na tyle beznadziejne, że lepiej o sobie nie opowiadać. Dorotea też tak uważa, bo zdaje się skutecznie ignorować moją osobę. Jakby wcale mnie tutaj nie było.

Powinłam już iść.

– Dziękuję wam za towarzystwo – mówię, kiedy udaje mi się upolować bardzo krótki moment ciszy. – Pójdę już do Eleny. Za chwilę powinna jeść – dukam. Wstaję i zakłopotana próbuję wrócić do sypialni.

– Zostań.

Ku mojemu zdziwieniu te słowa wcale nie padają z ust Franca. Dorotea niespodziewanie zaczyna się do mnie uśmiechać. Wyciąga rękę w moim kierunku, jakby tym gestem próbowała mnie zatrzymać.

– *Allora*. Jeszcze nie opowiedziałas mi o maluchu. Jak tam córeczka? *Sana*, zdrowa? – zagaduje. – Gdyby nie to, że jest już noc i śpi, chętnie bym ją zobaczyła. Dzieci są takie urocze – rozczuła się.

Jestem zdziwiona. Mimowolnie siadam, by nie wyjść na gbura. Jeszcze przed chwilą nie wydawała się mną zainteresowana. Wręcz przeciwnie – miałam wrażenie, że nie pała do mnie sympatią. Zresztą, trudno się jej dziwić. W końcu mieszkam pod jednym dachem z jej chłopakiem. Choć to logiczne, że mając taką dziewczynę, Franco nigdy nie zwróciłby na mnie uwagi. Musiałby być ślepcem.

Czuję rosnącą w gardle gulę.

– *Si*, zdrowa – odpowiadam. Milknę na moment, zastanawiając się, co powinłam dodać. Przecież nie mogę zakończyć swojej wypowiedzi na marnym przytaknięciu. – Sporo śpi i ma ogromny apetyt – kontynuuję, choć nie mam pojęcia, czy w ogóle ją to obchodzi.

– A jak tam poród? – Odslania śnieżnobiałe zęby.

Zerkam na Franca. Nie wiem, czy powinłam o tym opowiadać.

– Słyszałam, że nieźle go urządziłaś. – Wskazuje ręką na siedzącego obok niej mężczyznę. Potem odchyła głowę do tyłu i śmieje się wniebogłose, jakby ten temat naprawdę mocno ją bawił.

Może dla niej cała ta sytuacja jest powodem do drwin, ale ja widzę to zupełnie inaczej.

Oblewam się purpurą. To wspomnienie wzbudza we mnie poczucie wstydu. Sporo o tym myślałam. Z perspektywy czasu wszystko wygląda inaczej. Wtedy, w momencie, kiedy ból nie pozwalał mi na normalne funkcjonowanie, nie liczyło się nic poza ulgą.

– To... – jąkam się, szukając odpowiednich słów. – To było straszne. – Jestem zażenowana. Naprawdę żałuję, że o tym wspomniała. Najwyraźniej Franco musiał jej o tym opowiadać. W zasadzie nie powinno mnie to dziwić. Ludzie, którzy są ze sobą blisko, rozmawiają o wszystkim. – Przepraszam cię, Franco, za tamtą noc. Wiem, jaki szok musiałeś przeze mnie

przeżyć. – Będąc tutaj, w jego domu, jeszcze ani razu nie podjęłam tego tematu. Nie miałam odwagi. Szkoda, że muszę to zrobić właśnie teraz, w towarzystwie jego kobiety, której obecność dodatkowo mnie peszy. – Gdybym miała inne wyjście, na pewno postąpiłabym inaczej. Oszczędziłabym ci tego. – Nie potrafię spojrzeć na żadne z nich.

– Przestańcie! – Franco wstaje od stołu, górując nad nami obiema. Jest wyraźnie zły. Gro mi wzrokiem Dorotę, która jednak w tym momencie swoją pełną uwagę skupia tylko na mnie.

Czuję się osaczona.

– Daj spokój, Franco – odpowiada mu pewna siebie. – To babskie sprawy. Po prostu jestem ciekawa, jak to wygląda. Wiesz, jakoś nie wyobrażam sobie leżeć z rozłożonymi nogami przed obcym facetem – kontynuuje niezrażona, jakby wzięła sobie za cel upokorzenie mnie. Jeśli taki miała zamiar, właśnie jej się to udało. – Zresztą, w ogóle nie wyobrażam sobie, żebym mogła być w ciąży. A przynajmniej nie teraz. Ostatnie, o czym marzę, to pieluchy. Współczuję ci, dziewczyno.

Nie ma pojęcia, do jakiego upodlenia jest w stanie zmusić człowieka życie.

– *Cazzo!* – syczy Franco, jeszcze bardziej wyprowadzony z równowagi. – Powinnaś mieć większe wyczucie taktu – zwraca się do swojej dziewczyny. Jego dobry humor znika do reszty dosłownie w okamgnieniu.

Jest mroczny. Wściekły. Jego złość budzi we mnie strach, z którym nie potrafię sobie poradzić. Chcę coś powiedzieć, ale żadne słowo i tak nie przecisnie mi się przez gardło. Nie podejmuję nawet próby. Czuję za to, jak bardzo chce mi się płakać.

– Powinnaś już iść do siebie. – Tym razem Franco patrzy prosto na mnie.

Potakuję. Nie czekając na nic więcej, wstaję od stołu i zmierzam prosto do przeznaczonych mi sypialni.

Rozdział 12

FRANCO

Dorotea przeciąga się w mojej czarnej pościeli. Zapewne zdaje sobie sprawę z tego, że nasze spotkanie powoli dobiega końca. Widzę, że miałaby ochotę na kolejną rundę, ale jutro mam cholernie zabiegany dzień. I potrzebuję tych marnych czterech godzin snu, żeby móc potem jakoś funkcjonować.

– Chyba mogłabym się w tobie zakochać, *mio orsacchiotto* – mruczy mi nad uchem.

Przewracam oczami. Mogłaby sobie darować. Wie, że tylko mnie tym rozdrażni.

– Chyba już się zakochałaś – odpowiadam, choć na pewno jest świadoma, że nie powinna tego robić. Nigdy nie dostanie ode mnie tego, czego naprawdę by chciała. Małżeństwa. Mimo wszystko mam do Dorotei słabość. Gdyby nie to, już dawno zabrakłoby mi do niej cierpliwości. Bywa uparta i szalenie wkurzająca.

– Może trochę tak. – Zerka na mnie spod długich rzęs. Przewraca się na bok i tuli do mojego ciała.

Nie chcę jej urazić, żeby kolejny raz z rzędu nie wyjść na kompletnego dupka, ale naprawdę powinna już sobie iść.

– Twój problem – ucinam temat w zarodku, zanim zabrnę zbyt daleko i znowu zdążymy się pokłócić.

– Ale jesteś chłodny – fuka.

– Przed paroma minutami mówiłaś coś zupełnie innego – udaję zaskoczonego. – I zapewniam, że nam obojgu było całkiem gorąco.

Śmieje się. Zresztą, w przeciwieństwie do Giulii, robi to dosyć często. Życie od zawsze ją rozpieszczało. Zamożny ojciec przetaił jej ścieżki pośród ludzi obracających się w branży eventowej. A Dorotea uczciwie z tego skorzystała.

– *Uffa*. Z tobą to nigdy nie można porozmawiać poważnie – mamrocze niezadowolona. – Spadaj. – Szturcza mnie prowokacyjnie i się podnosi. Bez skrępowania pręży swoje ponętne ciało.

Nie sposób nie zerknąć na jej atrakcyjne cycki, choć przecież doskonale znam ich widok. W każdym razie nie próbuję jej zatrzymywać.

– Jesteś palantem – dodaje.

– Schlebiasz mi. – Pomagam jej zapiąć koronkowy, czerwony stanik.

Dopiero potem zakłada majtki. Podaję jej sukienkę, która leży pomięta gdzieś w okolicach moich stóp. Wstaję razem z nią i naprawdę czuję, jak dopada mnie zmęczenie. Zakładam spodnie, bo muszę ją odprowadzić, by zamknąć drzwi na klucz.

– Jak mogę zadawać się z kimś takim – ciągnie.

Naprawdę nie chce mi się już bawić w te dziecinne, słowne przepychanki.

– Jutro znowu wrócisz – gaszę jej pewność siebie, bo przecież nie mam zamiaru pozostawić jej dłużnym.

Kręci głową niezadowolona.

– Jesteś gorszy niż mój eks. – Siada na skraju łóżka i zakłada rajstopy.

– W takim razie następnym razem powinnaś pójść do niego. – Wkładam ręce w kieszenie i czekam, aż założy na nogi wysokie kozaki.

Żegnamy się namiętnym pocałunkiem. Chwilę później wychodzi. Szybko zamykam drzwi, bo chłodny powiew wiatru wpada do wnętrza domu. Całe moje ręce pokrywa gęsia skórka.

Wracam do salonu. Zerkam na syf, jaki pozostał na stole. Jeśli *nonna* to zobaczy, znowu będzie miała powód, by sobie ponarzekać. Ale zwyczajnie nie mam już sił, by posprzątać. Zrobię to jutro. Sięgam po swój kieliszek z resztką wina, bo przecież zmarnowanie choćby jednej kropli Brunello di Montalcino, rocznik dwa tysiące trzynaście, jest jak profanacja w najczystszej postaci. Wlewam zawartość do gardła i odkładam puste naczynie na stół. Przecieram oczy i idę do łazienki. Mam nadzieję, że szybki prysznic nie rozbudzi mnie na dobre. Cholerne już późno.

Wtedy jednak dzieje się coś, co wprawia mnie w kompletne osłupienie. Odwracam się i zerkam na drzwi sypialni Giulii, bo właśnie stamtąd dochodzi do mnie jakiś stłumiony dźwięk.

Podchodzę bliżej, próbując się skupić, by cokolwiek usłyszeć.

– *No. Ti prego, no...* Nie, błagam... – Powtarzane w kółko słowa mieszają się z płaczem dziecka.

Przystawiam ucho do drewnianego skrzydła drzwi. Jest wygłuszone specjalną pianką, a mimo to lament Giulii jest całkiem wyraźny. Czekam kilkanaście sekund, ale krzyk wcale nie ustaje. Podobnie jak płacz dziecka.

Co tam, do diabła, się dzieje?

Łapię za klamkę i popycham drzwi. Jestem przecież u siebie.

Rozpaczliwy płacz Giulii na moment ustaje, po to tylko, by za chwilę powrócić ze zdwojoną siłą. Słabe światło emitowane przez nocną lampkę pozwala mi się rozejrzeć. Kobieta szamocze się na łóżku, jakby była opętana. Podchodzę bliżej i widzę, że przez cały czas ma zamknięte powieki.

– *Lasciami in pace!* Zostaw mnie! – krzyczy, nie otwierając oczu. Zaraz robi małej krzywdę.

Nachylam się nad nią i unieruchamiam jej dłoń. Trzymam ją za nadgarstki. Mimo drobnej postury wydaje się całkiem silna.

– Giulia! Obudź się. Giulia! – Potrząsam nią, wołając coraz głośniej. Bezskutecznie, ale się nie poddaję.

W końcu nieruchomieje. Otwiera oczy. Patrzy w jeden punkt, nie mówiąc kompletnie nic.

Brawo! *Bene*. Wypuszczam powietrze z płuc. Nieźle mnie nastraszyła. A niewiele się to udaje.

Mała wciąż płacze. Sięgam po dziecko, nieporadnie zabierając je na ręce.

– Ciiii – mówię do Eleny, nie mając bladego pojęcia, jak obchodzić się z kimś tak małym. Ale, ku mojemu zdziwieniu, dziewczynka się uspokaja. Jakby w tym momencie dostała to, czego było jej trzeba. Bliskości.

– Co się dzieje? – Giulia patrzy na mnie kompletnie oszołomiona. Powoli podnosi się z miejsca, rozglądając się po całym pokoju. Dopiero teraz zauważa, że trzymam na rękach jej dziecko.

– Chyba lepiej ty mi powiedz. – Oczekuję, że jakoś odniesie się do tego, co się właśnie wydarzyło. Kilkadziesiąt sekund wcześniej miotła się po pościeli jak byk na rodeo.

Siada i podciąga kolana pod brodę. Nie próbuje odebrać mi małej. Jej drobnym ciałem wstrząsa szloch. Płacze na cały głos, nawet nie próbując się z tym kryć.

Wpatruję się w nią zupełnie zdezorientowany. Rewelacja. Jeszcze tego było mi dzisiaj trzeba. Odkładam dziecko na łóżko najostrożniej, jak tylko potrafię i kucam obok Giulii.

– Posłuchaj – zaczynam, bo naprawdę chciałbym już zakończyć tę noc i rzucić się na materac. – Miałaś koszmar. Już wszystko jest w porządku, rozumiesz? – Nie widzę jej twarzy, bo wciąż przykrywa ją dłońmi. – Co ci się śniło? Opowiesz? – pytam. Mam nadzieję, że chociaż to jej pomoże. Wygada się, zrozumie, że to tylko zły sen i będzie po sprawie.

Milczy przez dłuższą chwilę, ale w końcu się odsłania.

– On tutaj był – mówi ledwo słyszalnie. Jakby naprawdę w to wierzyła.

– Giulia – wzdycham. – Jesteś tutaj sama – tłumaczę, choć to przecież tak cholernie oczywiste.

– Wiem – potakuje. – Wiem, ale... – Jej broda drży.

Nie mogę już dłużej na to patrzeć. Naprawdę jej współczuję.

Kładę pod jej podbródek dwa palce i podnoszę jej głowę tak, by w końcu na mnie spojrzała. Nie ma wyjścia – robi to, a jej oczy rosną. Są szklane, przełknięte, a mimo to naprawdę piękne. Porażająco autentyczne. Przechodzi mnie dziwny dreszcz.

– Nikogo tutaj nie było. Gwarantuję ci. – Znow próbuję do niej dotrzeć.

Nie ucieka wzrokiem. Oddycha coraz głębiej. I coraz wolniej. Przyglądam się jej łagodniejącym rysom, a przestrzeń pomiędzy nami robi się ciasniejsza.

– Tak bardzo mi wstyd – szepcze.

Nie wiem, o czym mówi, ale nie powinna się tak czuć. Nie zastanawiam się nad tym, czy postępuję właściwie. Siadam obok niej i obejmuję ją, otaczając ramionami jej wątłe ciało. Nie wrywa się, tylko opiera głowę na moim barku. Jest taka drobna. Przysuwam ją bliżej, bo widzę, że to działa, a ona kładzie rękę na moich plecach, jakby chciała się mnie ucześcić. Jej dotyk przyjemnie łaskocze moją skórę. Głaszczę jej rozpuszczone włosy.

Czuję jej zapach. Słodki. Kwiatowy. Na moment zamykam oczy.

– *Grazie*. Dziękuję – mówi nieśmiało. Delikatnie odrywa głowę od mojego ramienia, a ja wcale nie chcę, żeby mnie puszczała.

Ta myśl mnie przeraża. Nie poznaję samego siebie.

Patrzę na niewinny wyraz jej twarzy. Na oczy wpatrzone we mnie. Na piekielnie kuszące, lekko rozwarte usta, które właśnie wypowiadają moje imię.

Szlag! Kolejny już raz uświadamiam sobie, że jej bliskość robi ze mną coś bardzo niewłaściwego. Jestem idiotą, że sobie na to pozwalam, bo przecież nic dobrego z tego nie wyniknie. I tak wystawiam już zaufanie *dona* Fabia na naprawdę wielką próbę.

– Śpij już – mówię, nim moje myśli zdążą zabrnąć zbyt daleko. Już teraz potrzebuję zimnego kubła wylanego prosto na głowę. Choć nie wiem, czy nawet to da radę skutecznie mnie ostudzić.

Kiedy zmierzam w kierunku drzwi, słyszę jej cichy głos:

– Dobranoc.

Nie odpowiadam.

Rozdział 13

GIULIA

Kilka miesięcy wcześniej

Leżę na twardej kozetce. Lekarz odziany w biały kitel wkłada pomiędzy moje nogi jakieś urządzenie. Staram się nie myśleć o tym, co dzieje się dookoła. Skupiam wzrok na ścianach pomalowanych na kolor kawy z mlekiem. Na wprost wisi jakiś plakat z grafiką prezentującą ważne miejsca kobiecego ciała z oznaczeniem nazw.

Jestem zestresowana. Jeszcze bardziej niż zwykle. Dwóch mężczyzn przygląda się monitorowi wiszącemu nad moim brzuchem. Jeden z nich to ON, Vittorio. Jest niecierpliwy i po raz pierwszy w życiu bardziej nerwowy ode mnie. Ta sytuacja skutecznie wyprowadza go z równowagi.

– *Presto, presto* – pogania lekarza, przestępując z nogi na nogę.

Musi go skądś znać. Tak wywnioskowałam z ich rozmowy. Zresztą, gdyby było inaczej, z pewnością by mnie tutaj nie zabrał. Nie zaryzykowałby, bo przecież mogłabym powiedzieć o parę słów za dużo.

– Gadaj coś! – Tylko potęguje napięcie, które już i tak sięga zenitu.

Il dottore ma czoło mokre od potu. Jakby stres nie ominął także jego.

– Zamknij się! – Lekarz w końcu nie wytrzymuje. To starszy facet, z włosami pokrytymi siwizną. Ma długi, spiczasty nos, na którym niedbale spoczywają opadające w dół okulary z zielonymi oprawkami. – Cięża – wydaje werdykt, po którym zapada głucha cisza, choć jego słowa odbijają się echem w mojej głowie. Wskazuje palcem na monitor, pokazując kształt, który ma być potwierdzeniem jego słów.

Ja nie dostrzegam tam nic więcej poza małą, pulsującą kropką.

– Pięknie, kurwa! – Vittorio zaczyna krzyczeć. Patrzy na mnie z wyrzutem, jakbym to ja była temu winna.

– Ciszej, idioto. W poczekalni są ludzie. Przestraszysz ich – karci go ponownie lekarz. Najwyraźniej zaczyna brakować mu cierpliwości. – Zobaczcie – dodaje już spokojniej. – Tutaj bije serce. – Znow wskazuje na monitor.

Serce?

Kręci mi się w głowie.

Moje dziecko ma już własne serduszko? Z emocji ściska mnie w gardle.

– I co teraz? – pyta Vittorio, patrząc wyczekująco na lekarza.

Celowo odwracam się w drugą stronę, żeby go nie widzieć. Gardzę nim.

– Można to jakoś usunąć? – wychodzi z propozycją, od której zaczyna mnie mdlić.

Mimowolnie znowu na niego zerkam. Bierze się pod boki i nerwowo przechadza się po gabinecie.

Il dottore patrzy na mnie tylko przez moment. Potem przenosi wzrok na Vittoria. Wzrusza ramionami, jakby słowo *usunąć* nie stanowiło dla niego żadnego problemu.

– Można – odpowiada beznamiętnie. – Ale to będzie kosztować.

Brzydę się tym, co słyszę. Brzydę się ludźmi, z którymi przyszło mi przebywać. Jestem tutaj, a jednak nikt nie pyta mnie o zdanie. Decydują za mnie. O moim ciele i o małej istocie, która z pewnością chciałaby żyć. Gdyby tylko miała wybór. Zbiera mi się na płacz. Ponoszą mnie nerwy.

– Nie usunę ciąży – odzywam się, ściągając na siebie uwagę obu mężczyzn.

Vittorio wścieka się jeszcze bardziej. Robi się czerwony, jakby miał za chwilę wybuchnąć. Dobrze mi z tym, że choć raz to właśnie on czuje się niekomfortowo. Że ma teraz namiastkę mojej codzienności, w której nic nie jest takie oczywiste i łatwe. Marny jej ochłap, ale zawsze coś.

– Co powiedziałaś, suko? – Zbliży się w moją stronę. Nie przebiera w słowach, nawet w towarzystwie lekarza.

Kulę się, zasłaniając głowę rękami. Wiem, że byłby zdolny mnie uderzyć. Robił to przecież nieraz.

– Powtarzam ci, uspokój się. Bo wezwę ochronę. – Lekarz nie wytrzymuje. Grozi mu i odpycha go ręką, na powrót tworząc pomiędzy nami wolną przestrzeń. Jest zdezorientowany. Rozpina guzik koszuli, bo najwyraźniej zrobiło mu się gorąco. Potem majstruje coś przy sprzęcie i wyjmuje z maszyny ciemną kartkę, którą mi podaje. – To zdjęcie płodu – oznajmia.

Wyciągam po nie rękę. Zerkam na czarne, zadrukowane tło. Niewiele z tego rozumiem. Oznaczona pośrodku kropka to chyba ciąża.

Jestem rozbita. Noszę w sobie JEGO dziecko. Ale to także moje dziecko. Część mnie. Nowa istota, która nie jest niczemu winna.

– *Allora...* Możesz to usunąć teraz? – Vittorio nie zamierza ustąpić. Chce się pozbyć niewygodnego problemu na poczekaniu. W tym momencie. Kuje żelazo, póki gorące.

– Nie – odpowiada bez wahania mężczyzna w białym kitlu. Jasno daje do zrozumienia, że nie ma na to żadnych szans. – *Sei pazzo?* Zwariowałeś? Musiałbym przygotować sprzęt, potem wyczyścić gabinet. Mam umówionych pacjentów, chyba widziałeś. – Wskazuje na drzwi, za którymi siedzą inni ludzie. – Trzeba się ugadać.

– To kiedy? – Vittorio robi się jeszcze bardziej niecierpliwy. Wciąż przechadza się po gabinecie. Nie potrafi ustać w jednym miejscu.

– Najpierw potrzebuję jej zgody – lekarz akcentuje przedostatnie słowo. Wskazuje na mnie jednym skinieniem głowy.

Mam wrażenie, że się przesłyszałam. Powiedział, że potrzebuje mojej zgody. Mojej własnej. A więc mam jakiś wybór.

Zapada cisza. Widzę, jak Vittorio zaciska pięści. Wiem, co by się stało, gdybyśmy nie byli tutaj w trójkę. Pewnie ślady tej „rozmowy” nosiłabym na twarzy jeszcze przez parę długich dni.

– No mów coś, kretynko! *Cogliona!* – wybucha. Nie wytrzymuje napięcia. Widzę, jak cały się spina.

Wyczuwam bicie własnego serca pod samą czaszką. Nerwy zaraz rozsadzają mi mózg. Zaciśkam oczy, by opanować nagły ból głowy. Staram się głęboko oddychać, żeby nie stracić przytomności, bo mam wrażenie, że naprawdę niewiele mi do tego brakuje. W końcu zbieram się na odwagę.

– Nie zgadzam się – mówię twardo.

Starszy doktor jeszcze przez chwilę patrzy na mnie beznamiętnie. Jego twarz nie wyraża żadnych emocji. Zastanawiam się, co czuje. Do czego jest się w stanie posunąć? Czy jest dokładnie taki sam jak ON? Jak Vittorio? Być może wszyscy mężczyźni tacy właśnie są.

– Co? – Mój oprawca łapie się za głowę, jakby sam miał za chwilę osunąć się na kolana. Dawno nie widziałam go w takim stanie. Liczy na to, że jeszcze wszystko da się naprawić.

Ja nie liczę już na nic. Wiem, co mnie czeka. Być może dziś zakatuje mnie na śmierć. Przez kolejny tydzień nie będę w stanie podnieść się z łóżka. Może umrę. Chyba wszystko mi już jedno. Druga opcja z pewnością okazałaby się złejsza. Ukróciłaby moje męczarnie.

– Słyszałeś? – pyta lekarz. – No. Nie. – Jego słowa przecinają powietrze jak błyskawica.

– Pierdol się! – odpowiada mu Vittorio. Szarpie moje ramię, jakby chciał je oderwać od reszty.

Prawie spadam z łóżka. Jestem zaskoczona jego atakiem. Lekarz również.

– A ty, mała kurwo, gorzko tego pożałujesz. – Grozi mi palcem, kiedy próbuję się podnieść. – Jeszcze się przekonasz, że tego śmiecia, którego nosisz w sobie, mogą spotkać znacznie gorsze rzeczy niż śmierć.

Rozdział 14

FRANCO

Stoję przed lustrem w łazience i widzę w nim wycieńczonego i niemalże padającego na kolana człowieka widmo. Ostatnio narzuciłem sobie niezłe tempo i powinienem przyznać sam przed sobą, że powoli zaczynam nie wyrabiać. Myję zęby, analizując plan dzisiejszego dnia. Czekam wizyta w dwóch hotelach, rozmowa z właścicielem nowej restauracji w Pugnuchiuso i wieczorne spotkanie w klubie z typem handlującym dragami na francuskim rynku. Ponoć ma nowy, niezły towar, a ja jestem otwarty na propozycje. Resztą roboty zajmie się Biagio.

Łapię się brzegów umywalki i płuczę usta. Wycieram twarz ręcznikiem i wychodzę, kierując się w stronę salonu. Włączam telewizor, by posłuchać wiadomości. Ale, do diabła, nie leci nic nowego. Kolejne polityczne spory ludzi, którzy zapewnniają, że w podejmowanych działaniach mają na celu wyłącznie dobro obywateli. Już lepiej było słuchać bzdurnych tłumaczeń policji zbierającej z ulic ciała po niespodziewanej wymianie strzałów rok temu. Moi ludzie tylko się bronili, kiedy młodociane dupki zamiast płacić za towar chciały poczęstować ich kulką w łeb. Przeliczyli się. A że media wywęszyły sprawę zbyt szybko, zanim cały ten syf został sprzątnięty, trzeba było potem wymyślić jakąś bajkę, tak, żeby nikomu nie zaszkodzić. Czasami sprawy lubią się komplikować. Grunt to zawsze zachowywać zimną krew.

Idę do swojej sypialni, biorę jedną z wielu czarnych koszul i wkładam ją na siebie. Od razu wracam jednak do salonu, bo słyszę, że ktoś puka.

– Wejź! – wołam, bo przecież o tej porze może to być tylko jedna osoba.

– *Buongiorno*, Franco. – *Nonna* wyłania się zza drzwi. Trzyma w rękach tacę z talerzem pełnym *biscotti* i *cornetto*, ciastek i rogalików.

– *Buongiorno*. – Podbiegam do niej, żeby przejąć to wszystko. – *Nonna*, tyle razy mówiłem ci, że nie musisz tego przygotowywać. – Od kiedy przebywa u nas Giulia, babcia wkłada dwa razy więcej serca w przyrządzanie posiłków. – Stać nas na jadać w restauracji. Mogłabyś odpocząć. – Wielokrotnie sugerowałem, że możemy coś zamówić. Przynajmniej co jakiś czas, ale nigdy nie dała się do tego przekonać.

– A czy ty wiesz, z jakich produktów oni to robią? W domu masz wszystko naturalne, zdrowe. – Jej stara, ale przekonująca śpiewka. Brak dla niej kontrargumentów, zwłaszcza gdy *nonna* zaczyna nerwowo gestykulować rękami.

Nie chcę jej martwić. Czasami mam wrażenie, że dzięki gotowaniu i tej całej otoczce czuje się bardziej potrzebna. Może właśnie dlatego upiera się, by to robić.

– Masz rację – przytakuję jej. – Zjesz z nami?

– *No, no*, Franco – zaprzecza. – Już jadłam. Dwie godziny temu – zaznacza. Wstaje wcześniej niż *allodola*, skowronek. – Zresztą właśnie wybieram się do kościoła. Brat Antonio ma

dzisiaj urodziny – tłumaczy, po czym poprawia siwe włosy i odchodzi.

Zapinam guziki mankietów i pukam w drzwi sypialni Giulii.

– Si? – odzywa się po drugiej stronie.

Otwieram i widzę, że zajmuje się małą.

– *Salve* – witam się z nią krótko i przechodzę do rzeczy. – Jak skończysz, to przyjdź na śniadanie – mówię, po czym, nie czekając na nią, wracam do salonu, siadam przy stole i zaczynam jeść.

W międzyczasie włączam telefon i przeglądam wiadomości nadesłane przez moich żołnierzy. Pisane są wypracowanym wcześniej slangiem, by w razie jakichś problemów ktoś niepowołany nie skorzystał na naszej rozmowie. Zdaje się, że wszystko idzie po mojej myśli.

Kiedy przychodzi Giulia, wyłączam urządzenie. Włosy związała w wysoki kucyk, dziecko trzyma blisko siebie. Nie podnosi na mnie wzroku. Przyglądam się jej, bo jestem ciekaw, czy nawiąże do wczorajszej nocy. Powinienem już wychodzić, mimo to daję sobie jeszcze chwilę.

Siada na beżowej kanapie i zerka prosto w telewizor.

– Częstuj się – przypominam jej, bo przecież chyba po to tutaj przyszła.

Kiwa głową i sięga po niewielki rogalik. Stawiam jej przed nosem *il caffè d'orzo*, przygotowaną specjalnie dla niej kawę zbożową, przy której *nonna* zdaje się upierać.

– Nie krępuj się. – Choć jest tutaj już od paru dni, wciąż do wszystkiego trzeba ją przekonywać.

– Ja się nie krępuję – zaprzecza.

Wtedy podłapuję jej spojrzenie. Giulia zamiera. Podnosi brwi. Jej źrenice wyraźnie rosną, a oczy dosłownie lśnią. Tym razem jednak nie od łez. Nie mogę przestać się w nią wpatrywać. Jest tak cholernie pociągająca. Jak to możliwe, że nie zauważyłem tego wcześniej? Nabiera kolorów, a jej policzki stają się czerwone. Zmieszana odwraca się w drugą stronę, pozostawiając mnie w stanie kompletnego szoku. Jakby ktoś odurzył mnie prochami.

Coś jednak odwraca moją uwagę.

Marszczę czoło, nasłuchując dźwięków dochodzących z parteru. Ciszę przerywa trzaśnięcie zewnętrznych drzwi domu. Słyszę czyjeś kroki na schodach.

Wstaję, bo nie spodziewałem się gości. Nie było słyhać dzwonka. To pewnie ktoś znajomy. Biagio? *Nonna* musiała otworzyć, zanim zadzwonił. Ufa mu, bo wie, że może. Mimo to zerkam na szafkę z bronią, która powinna być zawsze pod ręką. Powstrzymuję się przed tym, żeby po nią sięgnąć, bo nie chcę przestraszyć Giulii. Nie ma pojęcia, kim jestem. To złamałoby ją do reszty. Nie czułaby się tutaj bezpiecznie po tym, co przeżyła.

– Czy coś się dzieje? – pyta zdezorientowana. Wyczuwa moją niepewność.

Podchodzę do drzwi oddzielających salon od klatki schodowej, ale nim w ogóle zdążam złapać za klamkę, otwierają się z impetem.

A wtedy wszystko staje się cholernie jasne.

Cazzo!

– Fabio? – dukam zupełnie skołowany.

Don, ubrany w dobrze skrojony garnitur, rozgląda się po pokoju i ściąga brwi. Na chwilę zatrzymuje wzrok na Giulii i powraca do mnie. Nie miałem, kurwa, pojęcia, że dzisiaj się tutaj zjawi. Prawie zawsze się zapowiadał. Nie przypominam sobie, żebyśmy się umawiali.

Głośno wypuszczam z siebie powietrze. Giulia milczy, widząc, że coś jest nie tak.

– Niech cię piekło pochłonie, Franco. Czy to jest właśnie Giulia? – Fabio kiwa głową w kierunku dziewczyny.

– *Si* – odpowiadam, bo przecież nie jestem szczeniakiem, by próbować go okłamywać. Potrafię ponosić odpowiedzialność za swoje decyzje, a jej pobyt tutaj jest właśnie jedną z nich.

Don opuszcza wzrok. Parska niezadowolony, jakby sam nie wierzył w to, co widzi.

– Wiedziałem – dopowiada.

– Czemu zawdzięczam twoją wizytę? – Nie zamierzam chować głowy w piach. Postąpiłem tak, jak uważałem za słuszne. Pomagam jej, owszem, ale przecież nie wyrządzam mu tym żadnej krzywdy.

– Właśnie dlatego – zwraca się do mnie – że doskonale cię znam, Franco, i wiem, że jak już wdepniesz w jakieś gówno, to nie będzie ci tak łatwo z niego wyjść.

Zastanawiam się, co mu odpowiedzieć. Zawsze mieliśmy ze sobą dobry kontakt. *Don* miał do mnie zaufanie. Nie chciałem, żeby to się zmieniło. Staram się go zrozumieć. Wiem, jak wiele kosztowała go sprawa z Sicariem. Próbowałem mu tego oszczędzić. Nie miałem pojęcia, że sam się tutaj zjawi.

– Posłuchaj – zaczynam. – Naprawdę wiem, co robię. Załatwiam jej fałszywe papiery. Będą za parę dni. Giulia i jej córka wyjadą do Turynu – tłumaczę, nie patrząc na kobietę, która staje się obiektem naszej rozmowy. Jakby wcale jej tutaj nie było. Dla Giulii tak będzie lepiej. Nie powinna słyszeć zbyt wiele. Mógłbym ją teraz wyprosić, choć mam wrażenie, że to już i tak niczego nie zmieni.

– *Certo*. Jasne. – Fabio wkłada ręce w kieszenie i patrzy mi prosto w oczy. Jakby próbował mnie przejrzeć, choć przecież niczego przed nim nie ukrywam.

Marszczę czoło, bo nie potrafię zinterpretować jego miny. Wzruszam ramionami, kiedy ironicznie się uśmiecha. A potem przybiera zupełnie inny wyraz twarzy, bo kiedy odwraca się w kierunku Giulii, jest maksymalnie skupiony. O co w tym wszystkim, do cholery, chodzi?

– Ubieraj się – rozkazuje jej, choć dziewczyna nie ma bladego pojęcia, z kim ma do czynienia. Wygląda na przerażoną. Przyciska do siebie dziecko, jakby chciała je przed nim obronić. – Pokażesz nam, gdzie mieszka ten skurwiel. – Nie dodaje nic więcej.

Patrzę na *dona* niemniej zaskoczony niż sama Giulia. Co przed momentem powiedział? Moje oczy rosną i on to widzi. Jest wyraźnie usatysfakcjonowany swoim krótkim przemówieniem.

Czyżby zmienił zdanie? Jeszcze podczas ostatniej rozmowy, kiedy próbowałem nakierować go na ten temat, skutecznie się od niego odcinał.

Mam mętlik w głowie. Jeden wielki, chrzaniiony bajzel.

– Co za zaskakujący obrót spraw – komentuję, zwracając się bardziej do samego siebie niż do niego.

Jeszcze parę minut temu miałem ambitne plany na ten dzień. Zdaje się, że wszystkie poszły się rypać.

– Niektóre sprawy warto doprowadzić do końca – odpowiada *don* absolutnie poważnie, a ja mogę mu tylko przytaknąć.

Kiwam Giulii, by go posłuchała. Wskazuję ręką sypialnię, do której powinna się teraz udać. Kiedy to robi, korzystając z okazji, sięgam do szafki z gnatem. Spluwa może okazać się dzisiaj potrzebna. Potem zakładam marynarkę, by skutecznie zakryć broń. Siadam obok Fabia, który już zdążył się rozgościć, i wspólnie obgadujemy nowy schemat działania. Nie mamy zbyt wiele czasu na opracowanie przykładowych scenariuszy. To będzie mocna improwizacja. Ale wszystko wskazuje na to, że dziś, nie pierwszy już raz, *la famiglia* znów zadba o to, by sprawiedliwości stało się zadość.

Rozdział 15

GIULIA

Stoję przed dużym, czarny autem, zastanawiając się nad tym, czy nie zerwać się na równe nogi i nie zacząć uciekać. Z dzieckiem na rękach moje szanse są jednak zerowe. Albo nawet gorzej. Spodziewają się, że wsiądę do środka. Franco i jego znajomy patrzą na mnie wyczekująco. Kiedy człowiek czuje się bezsilny, wszystko traci sens. Chcą, żebym pokazała im dom Vittoria. Skąd mam pewność, że mnie tam nie zostawią? Co zamierzają zrobić?

– Giulia, nie mamy czasu. Musisz mi zaufać – ponagla mnie Franco. Potem zerka na swojego znajomego.

Już mu nie ufam, wcale. Nie potrafię. Nie wiem, co planuje, bo prawie niczego mi nie tłumaczy.

– Siądę obok ciebie – zapewnia, jakby to miało rozwiać wszystkie moje wątpliwości.

Wcale mnie nie uspokaja. Zbiera mi się na wymioty.

– Nie chcę tego robić. Nie chcę tam wracać – zaczynam błagać po raz kolejny. Tak trudno mu to zrozumieć?

Elena wyczuwa mój niepokój. Płacze, a ja nie potrafię opanować drżenia własnych dłoni. Mogę paść na kolana, jeśli tego będą ode mnie oczekiwać. Mogę zrobić wszystko, byle nie to.

– Przecież nikt nie powiedział, że tam zostaniesz. Wskażesz tylko konkretny budynek, z okna samochodu – mówi Franco.

– Mogę wam podać adres. Znam go na pamięć – rzucam rozpaczliwie, bo przecież znajdzie się inne wyjście. Nie jestem im tam do niczego potrzebna.

Franco odwraca się w stronę kumpla, jakby ten pomysł nie wydawał mu się najgorszy.

Czekam. Widzę, że obaj się wahają. Jest jakaś nadzieja.

– A jeśli będzie kręcił się gdzieś po okolicy, rozpoznasz go? Jesteś przekonany, że zdjęcie z dowodu ci wystarczy? – Mężczyzna o imieniu Fabio stawia pytanie, na które Franco nie potrafi odpowiedzieć. – Zdaje się, że tylko ona jedna jest w stanie to zrobić.

Muszę go rozpoznać. Tego chcę. Na samą myśl tracę grunt pod nogami. Nie chcę go widzieć. Nie wytrzymam tego. Nie przeżyję, jeśli kolejny raz będę musiała się z nim skonfrontować.

– Giulia – zwraca się do mnie Franco. – On ma rację. Nie mamy wyjścia. Obiecuję, że nic ci się nie stanie.

– Nie wierzę ci – odpowiadam gorzko.

Skąd może mieć taką pewność? I kim jest ten cały Fabio? To policjant? Jeśli tak, już jestem trupem. Nie mają pojęcia, z kim zadzierają. Vittorio to bestia pozbawiona serca. Zabije ich, a kolejna będę ja. Wybierając się pod jego dom, tylko kuszą los. Dlaczego nikt nie chce mnie słuchać?

Franco traci cierpliwość. Podchodzi do mnie.

– Wchodź – rozkazuje, nie pozostawiając mi już żadnego wyboru. Robię to i zajmuję miejsce za jakimś łysym mężczyzną, który najwyraźniej będzie nam dzisiaj towarzyszył i zawiezie nas do wyznaczonego przeze mnie celu.

Ruszamy z miejsca, krętą, przybrzeżną drogą prosto do przeklętego miasta Peschici, które stało się moim prywatnym piekłem na ziemi.

– Błagam was. Nie róbcie mi tego – mówię kolejny raz, kiedy w samochodzie panuje absolutna cisza. – Franco – zwracam się do niego, bo tak, jak obiecał, siedzi tuż obok mnie. – Ufałam ci. – Przetykam ślinę. – Mówiłeś, że nam pomożesz. Dlaczego mi to robisz?

Nie odpowiada. Jest skupiony, poważny i podenerwowany. Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Do czego to zmierza?

– Ucisz ją. – Siedzący na przednim siedzeniu Fabio nie wytrzymuje i odwraca się w moją stronę. – Bo jeszcze chwila i potraktuję ją chloroformem.

Śmiech kierowcy rozładowuje ich napięcie. Tylko na chwilę. Mnie nie jest wesoło. Ani trochę. Nie wiem, czym jest chloroform, ale boję się, że zrobią mi krzywdę. Zaciskam usta. Czuję na sobie wzrok Franca. Nie chcę na niego patrzeć.

– Nie pomagasz – odpowiada mu Franco i łapie moją dłoń.

Wyrywam się, bo nie chcę, żeby mnie dotykał. Jeszcze dzisiaj rano miałam nadzieję, że może jest dla mnie jakaś szansa na przyszłość. Teraz nie wiem już nic.

Czterdzieści minut później docieramy do miejsca, które jest naszym celem.

– To tutaj. – Zaciskam oczy, ale nie potrafię powstrzymać płynących z nich łez. Opuszczam głowę, by więcej nie zerkać przez szyby.

Franco zapewnia mnie, że są przyciemniane, więc nikt mnie nie zobaczy. Nie ufam mu, bo nie mam żadnych podstaw, by to robić. Właśnie powróciłam do miejsca, z którego tak usilnie próbowałam uciec. Walczyłam jak lwica o szansę dla mojego dziecka. Ale ta szansa zniknęła. Wszystko na nic.

– Zatrzymaj się – zwraca się do kierowcy Fabio. – Pilnuj jej – rozkazuje, wskazując na mnie, a potem obaj z Frankiem wychodzą.

Głaszczę główkę swojej córeczki, próbując nie myśleć o tym, co właśnie się dzieje. Zostaję w samochodzie z obcym facetem, który przed momentem zerkał na mnie w lusterku. Nie wygląda zbyt przyjaźnie. Nie zdziwiłabym się, gdyby okazał się takim samym potworem jak Vittorio.

– Bez nerwów – odzywa się, ruszając z miejsca. – Zaparkujemy trochę dalej i poczekamy – tłumaczy, ale nie odpowiadam. – Za chwilę wrócą i pojedziemy do Vieste. – Brzmi przekonująco.

Mimo to nadal milczę. Skąd mam mieć pewność, że mówi prawdę. Nie potrafię się otrząsnąć. Obcieram mokre policzki, ze wszystkich sił starając się nie spoglądać w okna. Już

i tak powraca do mnie dostatecznie wiele wspomnień. Każde kolejne na nowo otwiera wszystkie rany – te, które noszę na swojej psychice.

Stajemy nieopodal zarośli. W moim oknie widać tylko zielone krzaki. Opieram głowę o samochodowy fotel i wtedy dostrzegam, że kierowca patrzy na mnie po raz kolejny.

Żołądek nieprzyjemnie skręca mi się w supel. Jesteśmy w dość tłumnie uczęszczanym miejscu, ale to wcale mnie nie uspokaja. Jeśli będzie chciał, z łatwością może wyrzucić nam teraz jakąś krzywdę. Paraliżuje mnie lęk. Udamę, że go nie widzę.

– Fajnego ma pani dzieciaka. Jak ma na imię? – odzywa się.

Nie chcę mu odpowiadać. Marzę tylko o tym, by zniknąć z powierzchni ziemi.

– Elena – odzywam się wbrew sobie. Jakby na odczepne.

– *Splendidamente*. Pięknie – reaguje entuzjastycznie. Nie zamierza się poddawać. – Moja babka miała tak na imię. Też mam córkę. A właściwie dwie. Zeta i Bria.

Czuję, że mimo mojego oporu próbuje wciągnąć mnie do rozmowy. Widzę, że czegoś szuka. Parę sekund później podaje w moim kierunku zdjęcie dwóch uśmiechniętych dziewczynek. Mają co najwyżej cztery, może pięć lat.

Bardzo ładne.

A więc ma dzieci. Wyraźnie zmienia mu się głos, kiedy o nich mówi. Musi je bardzo kochać.

– Bliźniaczki? – pytam, bo sprawiają takie wrażenie.

– *Si* – potwierdza. – Ale dwa skrajnie różne temperamenty. Bria jest spokojna i ułożona. Zeta to istny żywioł. Wszędzie jej pełno – wzdycha. – *Allora*. Tak poza tym, Carlo – przedstawia się.

– Giulia – mówię. Próbuję się uśmiechnąć, bo zaczyna schodzić ze mnie napięcie. Nie chcę tracić czujności, ale chyba źle go oceniłam.

Chwilę później dzwoni do swoich córek, jakby na potwierdzenie swoich słów, i obiecuje im, że wkrótce się zobaczą. Brzmi bardzo pozytywnie, a jego osobowość zupełnie nie pasuje do wyglądu bandyty. Pozory bywają jednak mylące. Kiedy kończy, rozmawiamy, a właściwie Carlo mówi, a ja słucham. Konkretnie historii o małej rozrabiace Zecie. Opowiada dopóty, dopóki nie zauważy czegoś w oknie.

– Wracają. – Poważnie i rusza z miejsca.

Santo Cielo.

Znów zaczyna łomotać mi serce. Boję się tego, co przyjdzie mi zobaczyć. Moment niepewności ciągnie się w nieskończoność, jakby trwał co najmniej godzinę. Przytrzymuję Elenę i zapinam pasy. Przyglądam się wsiadającym do auta mężczyznom. Są sami. Zdenerwowani. Fabio rozpina marynarkę i jednym ruchem ręki poprawia czarne, gęste włosy. Zerka w okno, jakby nadal kogoś szukał.

– Nie było go – mówi Franco, ale nie wiem, czy kieruje te słowa do mnie, czy raczej do kierowcy. Jest zdyszany, jakby przed chwilą biegał. – Rozejrzyj się, Giulia, czy gdzieś go nie wi-

dzisz – zleca mi.

Jeszcze przez chwilę na niego patrzę, upewniając się, czy to na pewno konieczne. Ale moja zwłoka tylko pogarsza jego nastrój.

– Nie pomagasz – karcę mnie. Jest zły.

Patrzę więc przez okna. Widzę tylko obcych, zupełnie mi nieznanymi ludzi. Znaczna część z nich to zapewne mieszkańcy tej ulicy. Moi sąsiedzi. Ale nie będą mnie kojarzyć. To nie ja robiłam zakupy. Nie ja załatwiałam urzędowe sprawy. Nie wychodziłam pospacerować z psem. Nie siedziałam swobodnie w ogrodzie i nie popijałam smacznej kawy. To była rola Vittoria. Przywłaszczył ją sobie w całości. Ja byłam tylko więźniem czterech ścian tego przeklętego domu.

– Nie ma go tutaj – mówię, jakby z poczuciem winy. Widzę, że nie jest im to na rękę. Wciąż zastanawiam się, co chcę z nim zrobić. – Nie ma – powtarzam.

A potem milknę. Do domu Franca wracamy w zupełnej ciszy.

Rozdział 16

GIULIA

Odgłosy zza ściany cichną. Odsuwam się od drzwi i siadam na łóżku, bojąc się, że zostanę przyłapana na gorącym uczynku. Próbowałam ich podsłuchiwać, bo kiedy wróciliśmy do domu Franca, zostałam oddelegowana do sypialni. Nie usłyszałam prawie nic. Wiem tylko tyle, że w salonie odbywały się jakieś obrady, w których uczestniczyli nie tylko trzej mężczyźni z samochodu, ale ktoś jeszcze. Ktoś czwarty o imieniu Biagio.

Coś chcą przede mną ukryć. Mogliby mi powiedzieć. W końcu wszystko wskazuje na to, że stałam się istotnym elementem tych wszystkich wydarzeń. Brak wiedzy zżera mnie od środka. Boli mnie głowa. Mam wrażenie, że znowu stałam się zakładniczką. Mówią mi, co mam robić. Choć wedle złożonej mi obietnicy już wkrótce rozpocznę życie na wolności.

Jedno jest pewne. Dzisiaj Franco dotrzymał słowa. Wróciłam do domu i nic mi się nie stało. Żaden z jego znajomych nie miał względem mnie złych zamiarów.

Otwierają się drzwi mojej sypialni.

Odwracam się w ich stronę i widzę wpatrzone we mnie oczy człowieka, który wyciągnął w moim kierunku pomocną dłoń.

– Myślałem, że śpisz – mówi półszepem. – Jeśli możesz, chodź porozmawiać. – Nie czeka na moją odpowiedź. Odchodząc, nie zamyka za sobą drzwi, choć wcale nie powiedziałam, że przyjdę. Najwyraźniej uznał to za rozkaz.

Przykrywam Elenę kołderką. Ustawiam obok niej rząd poduszek, choć i tak nie byłaby w stanie spaść z łóżka. Nie potrafi jeszcze aż tak intensywnie się poruszać. Gdyby jednak coś jej się przeze mnie stało, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła.

Czasami zastanawiam się, czy będę umiała być dobrą matką. Czy te wszystkie doświadczenia, jakimi zostałam naznaczona, nie napiętnowały mnie na tyle, że już nigdy nie będę w stanie wypracować w sobie... normalności.

Wchodzę do salonu. Przemykam oczy, bo jasne światło je razi. W sypialni panował półmrok, rozświetlony jedynie delikatnym blaskiem ustawionej na szafce nocnej lampki. Franco to zauważył, sięga po pilota i ściemnia wiszący nad naszymi głowami, złoty żyrandol. Nie wiedziałam, że tak się da. Kolejne sprytne urządzenie, jakich wiele w tym domu.

Siadam w fotelu, naprzeciwko niego. Kładę ręce na kolanach. Czekam, aż zacznie. Tymczasem on wcale na mnie nie spogląda. Jakbym w ciągu tego dnia zdążyła wzbudzić w nim sporą odrazę.

– Przepraszam – zaczynam. – Za to, co mówiłam w samochodzie. Nie wierzyłam... – Przerwywam na chwilę. – Nie wierzyłam, że jeszcze tu wrócę. Myślałam, że mnie tam zostawicie... – Łamie mi się głos. – Że już zabrakło ci do mnie cierpliwości.

Kręci głową. Opuszcza ją i podpira czoło kciukami obu rąk. Jego łokcie spoczywają na kolanach, dłonie są splecione. Wzdycha. Potem sięga po stojącą przed nim szklankę z jakimś brązowym trunkiem. Upija łyk i odstawia naczynie na blat. W końcu na mnie zerka. Jest zmęczony, ale nie to przyciąga moją uwagę. Jego oczy są smutne. I mam nieodparte wrażenie, jakbym to ja była tego powodem.

Nie chciałam mu zaufać.

Tak bardzo mi przykro.

– Domyślam się, co miałaś prawo czuć. Nie znałaś tych ludzi, nie wiedziałaś, kim są – stwierdza. Mimo to mam wrażenie, że myśli coś zupełnie innego. – Ale sądziłem, że mi wierzysz. Jak widać, chyba jeszcze na to nie zasłużyłem.

– To nie tak, Franco. – Mój głos nie brzmi naturalnie. Jest zduszony. Mam ściśnięte gardło. – Ja... po tym, co przeszłam – dukam. – Z bagażem moich doświadczeń nie jest tak łatwo. Widzę, jak wiele dla nas robisz. Nie zasługuję na twoją pomoc. – W oczach zbierają mi się łzy. Próbuję nie pozwolić im wypłynąć. Nie powinnam teraz płakać i na razie jeszcze mi się to udaje.

– Rozumiem – ucina. Moje słowa niewiele mu wyjaśniły. Czuję, że wciąż jest mną rozczarowany. – W każdym razie to się już więcej nie powtórzy. Nie będziesz musiała jechać do domu Vittoria ani jutro, ani nigdy. Mogę ci to obiecać, o ile moje słowo wciąż coś dla ciebie znaczy, Giulia. – Odwraca wzrok. Jest zagubiony.

Pierwszy raz dostrzegam w nim chłopca, a nie mrocznego mężczyznę, którym jest na co dzień. Serce znowu drze mi się na kawałki. Nie wiem, dlaczego tak bardzo zależy mi na tym, by zobaczyć na jego twarzy pewność siebie. Energię, która dotychczas od niego biła. W tym momencie nie jest sobą. To nie jest Franco, którego znam.

– A ty? – pytam.

Znów sięga po szklankę z trunkiem. Wypija jej zawartość do dna.

– Ja zrobię to, co do mnie należy. Ty już na pewno nie będziesz o tym wiedzieć. – Głos ma wypruty z emocji. – Jutro po południu przyjdą twoje papiery. Wieczorem kierowca zabierze was w podróż do Turynu.

Zastygam bez ruchu.

– Jutro? – dopytuję. Przecież dokumenty miały być dopiero za tydzień.

Kiwa głową. Wie, że dobrze usłyszałam. Nie musi powtarzać.

– Przygotują ci pokój w klasztorze sióstr zakonnych. One pomogą ci odzyskać równowagę i dobrze się wami zajmą. A kiedy dojdiesz do siebie, będziesz mogła robić, co tylko zechcesz – opowiada, jakby to wszystko nie robiło na nim żadnego wrażenia.

A ja? Co czuję?

Nie wiem. Wizja tej nagłej zmiany, tak długo wyczekiwanej wolności, wcale nie cieszy mnie tak, jakbym tego chciała. Próbuję się uśmiechać, ale to śmiech przez łzy.

– Grazie. Dziękuję. – Próbuję opanować wibracje przenikające moje słowa, by nie zdradzać zbyt wielu emocji.

Sama nie wierzę w to, co się ze mną dzieje. Nachodzi mnie jakiś żal. Tęsknota. To niemożliwe, by w tym wszystkim chodziło o niego. O Franca, i o ten dom. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, że po raz pierwszy od bardzo dawna poczułam gdzieś odrobinę bezpieczeństwa. Wbrew temu, co myślałam jeszcze przed paroma godzinami.

– Nie cieszysz się? – Zatrzymuje na mnie wzrok. Tym razem na trochę dłużej.

Nie chcę, by o to pytał. Tylko utrudnia. Co mam mu powiedzieć? Że chcę tutaj zostać? Że mam ochotę dłużej być darmozjadem na jego utrzymaniu? Że po raz pierwszy w życiu w towarzystwie mężczyzny poczułam, że na sercu robi mi się ciepłej? To mam mu powiedzieć?

– Cieszę się – odpowiadam więc po prostu. – Pójdę się już spakować. – Zrywam się z miejsca. Nie mogę dłużej z nim rozmawiać. Nie jestem w stanie. Jeśli zerknie mi prosto w oczy, zobaczy w nich zbyt wiele.

– Zaczekaj! – woła za mną, kiedy zamierzam przekroczyć próg mojej tymczasowej sypialni. Mojej, przez ostatnią już noc.

Zatrzymuję się, ale się nie odwracam. Łapię za drewnianą ościeżnicę i zamykam powieki. Mija parę sekund wypełnionych ciszą. Nie po to chyba kazał mi zostać, żeby teraz milczeć.

– Chcesz mi coś jeszcze powiedzieć? – pyta.

Słyszę, że podnosi się ze skórzanej kanapy. Słyszę jego kroki. Otwieram oczy, czując, że jest gdzieś blisko. Wiem, że stoi za mną. Kiwam głową, że nie. Że już wszystko zostało powiedziane.

– Zrobiłem coś nie tak? – Nie daje za wygraną.

Nie miałam pojęcia, że w męskim głosie może drzemać taki ogrom emocji. Zaciskam drżące usta.

– Wszystko jest w porządku – odpowiadam.

– Nie kłam, Giulia. – Jest rozgoryczony. – Przecież słyszę.

Serce za moment wyskoczy mi z piersi. Kiedyś przepelnione było tylko strachem, teraz pretensją do samej siebie. Nie chciałam, by Franco był przeze mnie smutny.

Odwracam się. Stoi tak blisko mnie. Jego wyzbyta radości twarz wydaje się taka ludzka. Prawdziwa.

– Nie chciałam cię zawieść. Nie zaufałam ci, to był mój błąd – przyznaję sama przed sobą. Gdybym tylko mogła cofnąć czas... – Przynoszę ci tylko cierpienie.

– Nie cierpię. – Nie jest ze mną szczerzy. Próbuje manipulować głosem. Ale oczy nie kłamia. – Zatem czego chcesz, Giulia? Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić, żebyś czuła się tu dobrze chociaż przez ten jeden, pieprzony, ostatni dzień? – Marszczy czoło. Otwiera lekko usta, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć. Ale milknie.

Boję się. Ta bardzo się boję. Ale wcale nie jego. Nie przeszłości. Boję się tego, co dzieje się wewnątrz mnie. W mojej głowie. W moim sercu.

– Pocałuj mnie – szepczę, nie uciekając spojrzeniem.

Nie odpowiada. Zamurowało go. Jego brwi się podnoszą. Nie to spodziewał się usłyszeć. Ja sama nie spodziewałam się, że będę w stanie powiedzieć mu coś takiego. Że będę w stanie poczuć pragnienie, które jeszcze parę dni temu było dla mnie jakimś surrealistycznym zjawiskiem. Nieprzeznaczonym dla mnie.

Co ja narobiłam... Opuszczam głowę. Czuję wstyd. Upokorzenie. Już nigdy nie będę umiała spojrzeć mu prosto w twarz.

Chcę odejść. Teraz już na pewno mnie nie zatrzyma.

Wtedy nagle czuję na swoim policzku jego dłoń. Podnoszę wzrok. Franco stoi tuż nade mną, nie pozwalając mi zerknąć gdziekolwiek indziej niż na niego. Jakby chciał się upewnić, czy to, co powiedziałam, było prawdziwe. Kładzie na moim drugim policzku palce drugiej dłoni. Jego dotyk jest tak delikatny. Nie wiedziałam, że męskie ręce mogą dotykać z takim wyczuwaniem. Rozchyłam usta, przez moje ciało przebiega przyjemny dreszcz. A wtedy on zdecydowanym ruchem przyciąga mnie do siebie. Jego usta stykają się z moimi. Nie mam pojęcia, jak całować. Nigdy tego nie robiłam. Ale on dyktuje tutaj warunki. Poddaję się jego ruchom, czując, jak uginają się pode mną nogi. To wszystko wydaje się najpiękniejszym snem, jaki mi się przyśnił.

Przestaje. Odchyła się. Zerka na moje usta. Widzę jego poszerzone nozdrza. Jest oszołomiony i nic nie mówi.

Powoli wyciągam przed siebie rękę. Z wrażenia zaraz zatrzyma mi się serce. Opuszki moich palców stykają się ze skórą jego szyi. Dotykam go. Tak jak normalna kobieta może dotykać mężczyzny. To nie takie trudne. Sunę nimi wyżej, docierając do jego włosów. Są krótkie, ale bardzo gęste. Pod palcami czuję ich strukturę. Franco wciąga powietrze. Nie jest na mnie zły. Nie każe mi przestać. Stoi przede mną, pozwalając mi siebie odkrywać. Pomiędzy nami dzieje się coś, czego nie jestem w stanie opisać. Łapie mnie w tali i przysuwa do siebie. Całuje mnie. Kolejny raz. Intensywniej niż przed chwilą i wcale nie dlatego, że go o to prosiłam. Wodzi rękami po moich plecach. Dociera do brzegu koszulki. Podnosi ją, a jedna z jego dłoni wkrada się pod materiał. Gładzi moją skórę, ostrożnie i wolno. Przerzywa pocałunek, wciąż nachylając się tak, by nasze czoła pozostawały zetknięte. Patrzy mi prosto w oczy, kiedy sunie rękami wyżej, a jego kciuk zahacza o jedną z moich piersi. Wzdycham i na moment zamykam oczy. Ale nie chcę, żeby przerywał. Widzi to. Uśmiecha się nieznacznie, kiedy jeden z jego palców styka się z moim sutkiem. Wydaję z siebie cichy jęk, nie będąc w stanie opanować własnego głosu.

– Tego chcesz, Giulia? – pyta szeptem, ale wcale nie oczekuje, że mu odpowiem. Muska moje usta. Tylko przez krótką chwilę. Wyciąga rękę spod mojej koszulki, wciąż pozostawiając na ciele uczucie żaru. Jakby zapalił we mnie ogień. – Powinniśmy przestać, nim zabrnijemy za daleko – mówi cicho, ale ja wcale nie chcę, by przestawał.

Nasze spojrzenia znów się krzyżują. Już nie wstydzę się tego, co czuję. U jego boku przekroczyłam granicę, która wydawała się nie do przebycia.

– Muszę już iść. – Całuje mnie w czoło. Opuszcza głowę, jeszcze przez parę sekund nie wykonując żadnego ruchu. Potem zmierza w stronę kanapy, zabiera marynarkę leżącą na jej oparciu i kieruje się do drzwi prowadzących na schody. – *Allora, a domani*. Do jutra – mówi na pożegnanie, kiedy łapie za klamkę.

A potem znika.

Rozdział 17

FRANCO

Wchodzę do domu, prawie słaniając się na nogach. Mój własny mózg odmawia mi posłuszeństwa. I to wcale nie dlatego, że za dużo wypilem. Biorąc pod uwagę fakt, że przez ostatnie noce niewiele spałem, a w minioną nie zmrużyłem oka nawet na sekundę, organizm zwyczajnie się buntuje.

Spotkanie z dilerem prochów na francuskim rynku mogłoby być całkiem owocne w nowe doświadczenia, gdyby nie to, że przez cały ten cholerny czas myślami krążyłem zupełnie gdzie indziej. Nie potrafię przepracować w głowie tego, co wydarzyło się wczoraj pomiędzy mną a Giulia. Chciałem wierzyć, że poniosła nas chwila. Ale nie byłbym ze sobą szczerzy, gdybym powiedział, że tak właśnie czuję.

Szlag! Do diabła z tym wszystkim. Staję na pierwszym stopniu prowadzącym na piętro, kiedy słyszę wychodzącą z kuchni *nonnę*. Nie chcę jej lekceważyć, choć rozmowa z nią to naprawdę ostatnie, na co mam teraz ochotę.

– Franco, wyglądasz jak siedem nieszczęść – wita mnie, jakbym sam nie mógł się tego domyślić. – Nie lubię oglądać cię tak przemęczonego. Nie dbasz o zdrowie, wcale. – Jest zła. Bierze się pod boki.

– *Grazie, nonna* – burczę pod nosem. – Dlatego chcę się położyć, żeby sprostać twoim standardom. – Robię kolejny krok w górę.

– Posłuchaj. – Zatrzymuje mnie. – Wczoraj ksiądz Antonio mówił o nowo narodzonym dziecku z naszej parafii, które urodziło się z poważną wadą serca.

Czekam, czy coś dopowie, ale nie zamierza. To koniec jej opowieści?

– To przykre, ale co ja mam z tym wspólnego? Nie jestem lekarzem. – Męczy mnie ta rozmowa. Naprawdę boli mnie głowa. Mogłaby w końcu przejść do sedna.

– Może mógłbyś go jakoś wspomóc. Finansowo.

Mogłem się tego domyślić. To najlepszy dowód na to, że zasypiam na stojąco.

– Tak, *nonna*. Mógłbym. Pogadamy o tym, jak wstanę – odpowiadam.

– *Bene, bene*. – Macha ręką i odchodzi.

Jestem jej naprawdę wdzięczny. Wlokę się po schodach, docieram do salonu i z impetem siadam na kanapie. To przerażające, że moje marzenia skromnie ograniczają się teraz tylko do miejsca, w którym właśnie jestem. Do mojego salonu. Widok własnego domu dawno nie cieszył mnie tak, jak dziś.

Włączam telewizor.

Ale jakoś strasznie mi niewygodnie. Coś mnie gniecie. Szamoczę się i sięgam po spluwę. Zabezpieczam ją i kładę obok siebie. Muszę ją zaraz schować.

Moje powieki robią się cholernie ciężkie. Czuję szarpnięcie. To moja głowa. Opadła. Dźwigam ją i przez parę sekund próbuję utrzymać w pionie. Ale znowu powoli się przechyla. Obraz dookoła mnie robi się zamglony.

Odpywam na dobre.

– Franco! Franco! Franco!

Otwieram oczy. Zdaje się, że ktoś mnie wołał.

Odrywam plecy od oparcia kanapy i rozglądam się wokół. Serce dudni mi jak młot. Łapię się za czoło. Próbuję sobie przypomnieć, co ja tutaj robię. Zasnąłem. Na siedząco. Na swojej kanapie. To chyba nic takiego. Uspokajam się na moment. Dlaczego ktoś tak krzyczy?

Mój wzrok zatrzymuje się w jednym miejscu. Na Giulii. Przerażony wyraz jej twarzy na powrót wprawia mnie w stan niepokoju. Może mówiłem coś przez sen... Nie wiem, nigdy mi się to nie zdarzało.

Stoi jak sparaliżowana. Ale nie patrzy na mnie. Zerka na kanapę.

Cazzo!

Spluwa. Jeszcze nim na nią spoglądam, przypominam sobie, że jej nie schowałem. Krew momentalnie odpywa mi z twarzy.

– To broń? – pyta Giulia, wskazując palcem na gnata.

Potwierdzam skinieniem głowy.

– To prawdziwy pistolet, Franco? Prawdziwy? – Z jej ust wypływa cała rzeka słów. – Po co ci on? Dlaczego masz go przy sobie? – Cofa się o krok. A potem o kolejny. Nie chce być blisko mnie. Obejmuje się obiema rękami. Zamyka się, tworząc pomiędzy nami dystans.

– Do samoobrony – mówię jedyną sensowną rzecz, jaka przychodzi mi do głowy.

– Przed kim masz zamiar się bronić? Przed Vittoriem? – Wygina usta w grymasie rozpacz. – Przed nim? Przecież wcale nie musisz tam jechać. *Chi accidenti sei tu?* Kim, do diabła, jesteś, Franco? Kim są twoi znajomi? Skąd masz to wszystko? – Zatacza ręką dookoła. – Nie jesteś zwykłym śmiertelnikiem, prawda? Te obrazy, złote meble, pieniądze, których ci nie brakuje. Przeciętnego Włocha nie stać na takie standardy.

Opuszczam głowę. Chowam ją w dłoniach. Nie wiem, co mam jej powiedzieć. Przez głowę przebiegają mi setki pomysłów, ale każdy jeden wydaje się tak cholernie głupi. Jeśli ją okłamię, już nigdy nie będzie w stanie mi zaufać. Od początku powinienem był powiedzieć jej całą prawdę.

Zerkam na nią. Wciąż patrzy na mnie wyczekująco. Po wczorajszym, wieczornym nastroju nie pozostał żaden ślad. Ani jedna pieprzona krztyna. Widzę, że się mnie boi. Wstaję.

– Giulia – zaczynam – *ascoltami, per favore*. Posłuchaj mnie, proszę. – Podchodzę bliżej, ale wtedy ona wycofuje się w stronę drzwi. Wyciągam przed siebie ręce w obronnym geście, by pokazać jej, że nie mam zamiaru jej dotykać.

– Stój tam! – Prawie krzyczy.

Zatrzymuję się, pomimo tego, że przecież jestem w swoim własnym domu.

W tym momencie słowa stają się tak cholernie skomplikowane. Wypowiedzenie ich jeszcze nigdy nie przychodziło mi z takim trudem.

– Słusznie zauważyłaś, mam broń. Stać mnie na wiele rzeczy, ale jestem zwykłym śmiertelnikiem, jak to ujęłaś. Zwyczajnym człowiekiem, który ma swoje słabości i który wykonuje swoją pracę po to, by godziwie żyć.

To jej nie wystarcza.

– Nie powiedziałaś, czym się zajmujesz. Wciąż kręcisz, Franco. Dlaczego? Co masz do ukrycia? – Oskarża mnie, choć nie wyrządziłem jej żadnej krzywdy.

– Widzisz... – Milknę na chwilę. – Wiele wycierpiałaś. Gdybym...

– Tu nie chodzi teraz o mnie. Tutaj chodzi tylko o ciebie – przerywa mi i wskazuje na mnie palcem. Jest coraz bardziej sfrustrowana.

Jeśli chce znać odpowiedź, powinna pozwolić mi ją powiedzieć. Zaczyna brakować mi cierpliwości.

– *Bene*. Dobrze – gramię. – A co byś zrobiła, gdybym wtedy, u progu tych cholernych drzwi, powiedział ci, że jestem *capo* włoskiej mafii? Że cały ten pieprzony szajs, którym handlują na ulicach, wychodzi właśnie ode mnie? Zaufałabyś mi wtedy? – Nie dbam o swój ton. Skoro tego chce, nie mam zamiaru być delikatny. Teraz już wie. Wreszcie poznała całą prawdę.

Kręci głową. Coraz szybciej. Jakby nie mogła w to uwierzyć.

– Mafii? – dopytuje. Zaslania ręką usta, jakby miała za moment zwymiotować. Jest przerażona. Rozgląda się na boki. W okamgnieniu traci do mnie całe zaufanie.

Wiedziałem, że tak właśnie będzie.

Poczucie bezsilności jeszcze nigdy tak bardzo nie dawało mi się we znaki. Chcę ją objąć.

– Zostaw mnie! – krzyczy, kiedy się do niej zbliżam, więc znowu się zatrzymuję. Wtedy łapie za klamkę salonowych drzwi, otwiera je i wybiega prosto na schody. – Jesteś kłamcą! – zarzuca mi, choć tak naprawdę nigdy jej nie okłamałem. Dotąd po prostu nie zadawała mi takich pytań.

– Co robisz? – Biegnę za nią. Oszałała? Dokąd się wybiera? Próbuję ją zatrzymać, ale moje prośby nie pomagają. – Wracaj, zrozumiałaś? – Łapię jej rękę, kiedy staje przy wyjściu prowadzącym do ogrodu.

Odwraca się w moją stronę. Widzę, że jej twarz zalana jest łzami.

– Na górze została Elena. – Staram się ją przekonać. Szukam argumentów, które sprowadziłyby ją z powrotem. – Porozmawiaj ze mną, przecież nie jestem nim. Gardzę ludźmi takimi jak Vittorio, rozumiesz? – Jej nieufność sprawia, że ściska mnie w gardle. Gdybym schował tę pierdoloną broń, wszystko byłoby inaczej.

– Nie wierzę w to, że człowiek zdolny do zabicia innych może mieć dobre serce – mówiąc to, nie odwraca wzroku. Tak właśnie myśli. Szarpie za klamkę i wychodzi na zewnątrz.

Chłodny powiew powietrza uderza mnie prosto w twarz.

Jeszcze przez chwilę stoję nieruchomo. I tak naprawdę nie czuję już nic. Pieprzona pustka wyżera mi wszystkie myśli. W tym momencie, kiedy jej słowa okazały się gorsze od siarczyste-go policzka, już chyba nic nie jest takie, jak przypuszczałem.

Świat jest kurewsko niesprawiedliwy.

Opuszczam głowę. Mijają kolejne sekundy. Moje dumanie w niczym tutaj nie pomoże. W końcu zamykam drzwi. Widzę, że *nonna* stoi na końcu niewielkiego korytarza i patrzy na mnie smutno.

– Ona wróci – mówi mi na pocieszenie.

Niczego nie rozumiem. Wiem, że wróci. Ale nie cofnię słów, które zostały wypowiedziane. I choć mam gdzieś to, co mówią o mnie inni, Giulia wpakowała mi nóż prosto w serce. Bo dopiero niedawno, po wielu latach, odkryłem, że jednak wciąż je w sobie noszę.

Rozdział 18

GIULIA

Biegnę przed siebie tak szybko, jak tylko potrafię. Na oślep. Brzegiem morza, od którego wieje zimny wiatr. Te same słowa w kółko kołaczą mi w głowie.

Włoska mafia.

Capo.

Włoska mafia.

Nie wierzę, że znowu mi się to przytrafia. To nie może być prawda. Czemu życie znowu miałoby ze mnie zadrwić? Takie rzeczy nie dzieją się w prawdziwym świecie. Może to wszystko JEGO sprawka? Vittoria.

Moje nogi przestają wytrzymywać tempo, jakie sobie narzuciłam. Mimo to nadal biegnę, co chwila potykając się o wyrzucone na piasek patyki. Włosy opadają mi na twarz. Kleją się do mojego spoconego czoła. Mam je w oczach, w ustach. Nieważne. Nie odgarniam ich.

Dostaję zadyszki. Kłujący ból ściska mnie pod żebrami. Jęczę, ale nie przystaję.

– *Perche? Perche?* Dlaczego?! – wołam sama do siebie.

Mija mnie paru ludzi, choć o tej porze roku wybrzeże powinno chyba raczej świecić pustkami. Nieważne, co o mnie myślą. Nie znają mojej historii. Nie mają prawa mnie oceniać.

Dlaczego otworzyłam się przed człowiekiem, który przez cały czas mnie oszukiwał? Znowu dałam się nabrać. Jestem głupia.

Jeszcze wczoraj nie mogłam przelknąć tego, że tak niesprawiedliwie go potraktowałam. Dziś okazało się, że miałam rację. Nie powinnam była pozwalać sobie na zaufanie. Franco mnie złamał. Teraz już na zawsze. Kiedy w końcu udało mi zacząć składać siebie na nowo, znowu zostałam rozbita.

Rozpaczam. Coraz głośniejsze. Próbuję wykrzyknąć swój żal. Ale to nie jest takie proste.

Zatrzymuję się. Opuszczam głowę, zdając sobie sprawę, że nie potrafię w pełni zaczerpnąć powietrza. Duszę się, a każdy wdech przynosi moim płucom potworny ból. Przez parę sekund zastanawiam się, czy nie umieram. Przed oczami przelatują mi sceny z kilku ostatnich dni. Moment, w którym po raz pierwszy zobaczyłam Franca. Jego pocałunek. Chwile, w których obok mnie leżała moja córeczka.

Raz, dwa, trzy... Odliczam w myślach.

Zaczynam powoli się uspokajać. Ucisk w klatce piersiowej znika.

Tak bardzo chciałabym wymazać z pamięci ten dzień. Ale to niemożliwe. Muszę się otrząsnąć. Dam radę. Wytrzymam. Jeszcze tylko trochę.

Zerkam na morze. Czuję, że robi mi się zimno. Stojąc w miejscu, w krótkim rękawie, w styczniowy dzień, dopiero teraz zaczynam odczuwać niską temperaturę. Stygnę.

Nie mam kurtki, ale to nie jest takie ważne. Rozglądam się dookoła i stwierdzam, że pomiędzy stojącymi nieopodal plaży kamieniczkami wiatr pewnie nie będzie odczuwalny aż tak mocno. Schodzę z piasku i przecieram mokrą twarz. Jest bardzo chłodna.

Miałam rację, bo pomiędzy murami robi się odrobinę znośniej.

Muszę znaleźć dom Franca. Nie chcę tam wracać. Nie chcę z nim rozmawiać. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Ale wierzę, że mimo wszystko spełni swoją obietnicę. A obiecał, że dziś będę mogła wyjechać. Mam nadzieję, że dotrzyma słowa.

Zrobię to. Zostawię to przeklęte miasto za sobą raz na zawsze. Zacznę wszystko od nowa. Z dala od mężczyzn. Tylko Elena i ja. Tylko my dwie.

Włoska mafia.

Capo.

W głowie znowu rozbrzmiewają mi słowa Franca.

Nie powinnam dać się im zdominować. Moja córka u niego została.

Wchodzę w wąską uliczkę. Mijam jakiegoś mężczyznę jadącego na skuterze. Patrzy na mnie jak na dziwolągą i odjeżdża. Muszę się skupić. Rozglądam się dookoła. Podnoszę głowę, patrząc na nazwy ulic, ale nic mi nie mówią. Nie ma tutaj tej, na której mieszka Franco. Powinnam jednak wrócić i pójść plażą. Tak będzie łatwiej. Oglądam się za siebie, ale jestem tu sama. Dziwnie się czuję. Powinnam wrócić do Eleny.

Wychylam głowę zza rogu stojącego obok mnie budynku. Uliczka jest pusta. Zastanawiam się, którędy tutaj przyszłam. To przecież proste, ale bałagan panujący w mojej głowie skutecznie utrudnia mi myślenie. Zerkam w lewo. To chyba tam. Tam powinna być plaża. Pójdę wzdłuż niej i trafię w miejsce, z którego przyszłam. Zmarzną, ale to przecież nie jest najważniejsze. Ruszam biegiem, by choć trochę się rozgrzać.

Słyszę za sobą jakieś kroki. Zerkam w bok, ale nikogo nie widzę. Biegnę szybciej.

To chyba strach. Ale naprawdę czuję się tak, jakby ktoś za mną szedł. To pewnie ludzie Franca. Szukają mnie. W końcu zostawiłam go samego z dzieckiem. Snuję teorie, które pozwalają mi się opanować.

Ktoś za mną dyszy. Coraz bliżej. To już nie jest tylko wyobraźnia. *Non so che succede.* Nie wiem, co jest grane. Moje ciało przeszywa nieprzyjemny dreszcz. Zagryzam zęby i chcę się odwrócić. Nim jednak udaje mi się to zrobić, głowę przeszywa mi niewyobrażalny ból. Słyszę trzask. Jakby właśnie pękła mi czaszka. Padam na kolana, a potem na twarz. Zerkam na bruk znajdujący się tuż obok mojego nosa. Jest wyraźny. Ostry. Ale szybko zaczyna się rozmywać.

Ktoś się nade mną nachyla. Sapie. Ale nie widzę, kto to. Obolała potylicza zaczyna odpuszczać. Całe szczęście. Cierpienie staje się mniej dotkliwe. Chcę się dźwignąć, ale to mnie przeraża. Leżę nieruchomo, widząc już tylko białą mgłę. Otwieram usta, żeby coś powiedzieć. Poruszam nimi.

Aiuto. Aiuto. Pomocy.

Chcę krzyczeć, ale z mojego gardła nie wydobywa się żaden dźwięk.

Potem zapada ciemność.

Rozdział 19

FRANCO

– Nie ma jej, szefie. Szukaliśmy już chyba w całym Vieste – relacjonuje przez telefon jeden z moich ochroniarzy.

Nie tego, do cholery, się spodziewałem! Mijają cztery godziny, odkąd Giulia wybiegła z domu. Do teraz nie wróciła.

– To najwyraźniej, kurwa, źle szukacie. Byliście w kościele? Pytaliście w sklepach?! – krzyczę do słuchawki.

– Byliśmy, ale nikt jej nie widział. To nie lato. Na ulicach miasta jest pusto. Nietrudno byłoby ją przeoczyć – mówi oczywistości. Tłumaczy się, choć przecież rozsądek podpowiada mi, że na pewno robią, co mogą.

Daleko z pewnością nie uszła. Nie miała ze sobą kurtki. Poza tym nie miałyby dokąd się udać.

– W takim razie załatwcie nagrania z monitoringu. Do dwóch godzin chcę je mieć w domu. Z każdej pieprzonej, monitorowanej ulicy Vieste, rozumiecie? – Jestem wściekły. Rozłączam się.

Znajdę ją, a potem niech zabiera małą i wypierdala. Nie chcę jej dłużej oglądać. I pomyśleć, że jeszcze wczoraj byłbym w stanie uwierzyć w istnienie jakichś głupich uczuć. Ta myśl mnie dobija.

Patrzę na *nonnę*, która siedzi na kanapie i głaszcze po policzku małą Elenę. Jak Giulia mogła zostawić dziecko na tak długi czas? Jej córka płakała, bo była głodna. *Nonna* nakarmiła ją rozcieńczonym, naturalnym, kozim mlekiem, które kupuje od gospodarza dostarczającego butelki pod same drzwi. Teraz mała śpi. Sam nie wiedziałbym, co robić. Giulia postawiła nas wszystkich w cholernie trudnej sytuacji. Rozumiem jej przerażenie. Jej bunt. Ale przez tyle dni nie stała się jej tutaj żadna krzywda. Czy to, że dowiedziała się, kim jestem, zmieniło coś w jej własnym życiu? Swoją ucieczką ukarała nie tylko mnie, ale przede wszystkim swoje własne dziecko.

– *Merde!* – Rzucam telefon na blat stołu. Siadam w fotelu i opieram głowę o rękę. Mam wrażenie, że pod czaszką ktoś właśnie detonuje mi ładunek wybuchowy. – Co z niej za matka! – Zaciskam zęby.

Gdyby teraz wróciła, rozszarpałbym ją na kawałki. Wszystkie inne sprawy leżą, bo cała moja ekipa musiała zostać postawiona w stan gotowości. Przez nierozsądne zagrania jednej osoby. Kobiety, o którą dbałem i która wczoraj mnie zbałamuciła.

– Ciszej, Franco. – *Nonna* nie jest zadowolona z mojego wybuchu.

Nie powinienem dokładać jej trosk. Moje zrządzenie jest tutaj całkowicie zbędne. Widzę też, ile nerwów kosztuje ją ta cała sytuacja. Żal jej dziecka. Do diabła! Ono akurat jest Bogu

ducha winne.

Wstaję i podchodzę bliżej Eleny. Dopiero niedawno przyszła na świat, a już tak wiele musiała przejść. Ma małą, okrągłą buzię, nos, który wygląda, jakby był do niej przyklejony, i słabo zarysowane brwi. Ale jest urocza. Słodka. Jej widok wcale nie pomaga. Kiedy na nią zerkam, przed oczami od razu staje mi Giulia.

– *Ragazzo*. – *Nonna* nazywa mnie chłopcem, jak za dawnych lat.

Podnoszę głowę i czekam na to, co chce mi powiedzieć. Martwi się. Widzę to. Na jej pokrytej zmarszczkami twarzy maluje się teraz tylko czysta troska.

– A jeśli coś jej się stało?

Jej pytanie zawisa w powietrzu. Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie przeszło mi to przez myśl. Ale nie mówiłem tego na głos, bo miałem wrażenie, że wypierając tę wizję, stanie się ona mniej realna.

Nie odpowiadam, bo przecież już niczego nie mogę być pewien.

Wstaję, podchodzę do oparcia kanapy i zabieram stamtąd kurtkę. Muszę coś ze sobą zrobić. Czymś się zająć. Nie wytrzymam, jeśli będę tylko beczynn timerem czekał na wieści. Czas, najwyraźniej, niczego nie naprawi, wbrew temu, czego oczekiwałem.

– Idę jej szukać – obwieszczam. – Będę do dwóch godzin – dodaję, po czym zostawiam *nonnę* i Elenę same.

Wychodzę z domu i wsiadam do auta. Jadę prosto do starej posiadłości Fabia, który obiecał zostać tutaj, w Vieste, na parę dni. Dopóty, dopóki nie rozwiąże się sprawa z Sicariem. Nim jednak docieram do jego willi, zamierzam się zapowiedzieć. *Don* przecież jeszcze nie wie, że nasze plany właśnie ulegają zmianie.

– *Cos'è successo?* Co się stało? – pyta, odbierając telefon, jakby przeczuwał, że nie kontaktuję się z nim po nic.

– Za chwilę u ciebie będę. Zbieraj się, bo musimy pojechać do Peschici.

– *Adesso?* Teraz? – Jest zaskoczony, ale spodziewałem się tego. – Po co?

– Tak, teraz. – Milknę, bo tak cholernie trudno wypowiedzieć mi te słowa. Mija parę sekund, nim udaje mi się zapanować nad własnym głosem. – Giulia zniknęła.

– Nie ma go. – *Don* patrzy na mnie, kiedy trzeci raz walę pięścią w drzwi.

Czekamy jeszcze przez chwilę. Stara, zaniedbana rudera należąca do Vittoria Sicaria wygląda tak, jakby za moment miała się zwyczajnie rozpaść. Schody wyłożone jakimiś odpadającymi płytkami nie były myte chyba przez dobrych kilka lat.

– Takie samo gówno jak ostatnio – komentuje Fabio, patrząc tam, gdzie ja. – Chodźmy na tył. Ty z prawej, ja z lewej.

Potakuję.

Obchodzimy dom dookoła, ale w ogrodzie nie ma żywego ducha. W rogu działki stoi tylko drewniana wiata, obok której rośnie kilka strzelistych cyprysów. Marny wystrój. Widać, że ra-

czej mało kto tutaj przesiadywał.

Zerkam na swoje buty. Są pokryte błotem. Rozbabrana, podmokła ziemia tylko utrudnia sprawę. Człapię, próbując wytrzeć nogi w wyschnięte chaszczce znajdujące się nieopodal budynku.

– Patrz. – Wskazuję miejsce przed sobą. – Świeże ślady opon. – Kiepski ze mnie detektyw, skoro wcześniej tego nie zauważyłem. Prowadzą prosto w kierunku jednej z dwóch bram.

– Co robimy? – pyta *don*, stając obok mnie. Bierze się pod boki i zerka na budynek.

Nie mam żadnej konkretnej koncepcji. Nie wiem. Ale nie chcę tak po prostu odjeżdżać. Gdyby się okazało, że przez ten cały czas Giulia przebywała w środku, a ja nie spróbowałem jej odszukać, zalałaby mnie krew.

– Chyba musimy dostać się do środka.

– A jeśli jej tutaj nie ma? Jeśli ona zwyczajnie od ciebie zwiła? – wtrąca Fabio. – Cholera, Franco, wcale jej nie znasz. Przecież mogła tak zrobić – próbuje przemówić mi do rozumu.

Wiem, że mogła tak postąpić. Nie zakładam, że przez cały ten czas była ze mną absolutnie szczerą.

– A dziecko? Myślisz, że po tym, jak o nie walczyła, tak po prostu by je zostawiła? – Sam nie znam odpowiedzi na to pytanie. A tak bardzo chciałbym ją mieć. Wiele by ułatwiła. Wiedziałbym przynajmniej, co robić. W jakim kierunku zacząć działać.

– W takim razie... – Waha się. – Moglibyśmy wybić szybę – oznajmia po chwili zastanowienia. – Ale najniżej położone okno ma zamontowane kraty. – Nie uchodzi to jego uwadze. – Musimy poradzić sobie z drzwiami.

Nie czekam ani sekundy. Ruszam w stronę wejścia.

Dziesięć minut później wchodzimy do środka. Kiedy dopada mnie charakterystyczny zapach stęchlizny, podnoszę broń i zmierzam prosto w kierunku pierwszych zamkniętych drzwi. Mijam długi korytarz. Poruszam się cicho i tylko od czasu do czasu słysząc skrzypnięcie podłogi uginającej się pod ciężarem naszych ciał. Łapię za klamkę i otwieram jednym, mocnym szarpnięciem. Zerkam do środka, ale to tylko kuchnia. Na stole leżą brudne talerze i szklanka z niedopitym napojem. Jakby ktoś dopiero co odszedł od stołu. Albo jakby komuś nie przeszkadzał syf, który zalega tutaj już od jakiegoś czasu.

– Pusto – szepczę, kiedy *don* wchodzi za mną. – To kuchnia.

– Idziemy dalej. – Fabio wycofuje się i obiera nowy kierunek.

Ruszam tuż za nim.

Nagle przystaje, jakby coś usłyszał. Zerka na mnie, marszcząc brwi. Obaj milkniemy, ale dookoła nas panuje zupełna cisza. I tylko nasze oddechy świadczą o tym, że jest tutaj ktoś żywy – my sami. Ruszamy dalej. Cicho i zwinnie. Fabio, z gnatem wycelowanym przed siebie, szturcha nogą kolejne drzwi. Łatwo ustępują. Wchodzi do środka jako pierwszy.

– Ja pierdołę – mówi. – Kurwa, Franco, chodź tutaj szybko.

Ciarki przechodzą mi po plecach. Po tonie jego głosu nie powinienem spodziewać się niczego dobrego. Wyobraźnia zaczyna mi pracować. Przekraczam próg drzwi, za którymi stoi.

– *Merde!* – przeklinam pod nosem, bo widok, który mam przed oczami, trudno skomentować jakimkolwiek innym słowem.

Na pomalowanych na zielono ścianach wiszą zdjęcia Giulii. Setki, a nawet tysiące zdjęć. Mniejsze i większe, zrobione podczas jedzenia i kiedy śpi. Obracam się dookoła, nie mogąc uwierzyć w to, co widzę. Na niektórych ujęciach jest zupełnie naga. Wszystkie łączy jedno: na żadnym się nie uśmiecha.

– To naprawdę chory pojeb – mruczy Fabio.

Pomieszczenie robi na nim nie mniej szokujące wrażenie niż na mnie. Pierwszy raz widzę coś takiego.

– Musiał mieć na jej punkcie cholerną obsesję. – To jedyne, co przychodzi mi do głowy. Prawie zapominam, po co tutaj przyszedłem. W mojej głowie pojawia się tylko jedno słowo. Zemsta. Czuję adrenalinę, która buzuje mi w żyłach.

– Idziemy na górę. – Fabio sprowadza mnie na ziemię. Chce coś dodać, ale nie kończy, bo z mojej kieszeni dochodzi dźwięk dzwoniącego telefonu.

Wyjmuję urządzenie, chcąc je wyciszyć. Ale wtedy zauważam, że to Biagio.

– *Parlare*. Mów. Tylko szybko – rzucam nerwowo do słuchawki, bo to nie są odpowiednie miejsce i czas na dłuższe pogawędki.

– Pani Giulia została porwana – obwieszcza. – Na nagraniach z monitoringu widać, jak jakiś facet uderza ją w głowę. Kiedy traci przytomność, on wlecze ją do auta.

Podpieram się o ścianę. Opuszczam telefon, z którego wciąż słychać głos Biagia. Nie zdążyłem się rozłączyć. Franco wyjmuje mi urządzenie z ręki i kontynuuje rozmowę za mnie.

Robi mi się gorąco, jeszcze bardziej niż przed momentem. Zrywam się z miejsca.

A więc musi tutaj być. Porwał ją i pewnie gdzieś ją przetrzymuje. Giulia musi być w pobliżu. Zabiję skurwysyna, kiedy stanie na mojej drodze, i nie będę potrzebował do tego broni. Uduśzę go gołymi rękami.

– Franco. – *Don* Fabio wybiega zaraz za mną. – Czeka – rozkazuje ostrym tonem, ale ja wiem, że nie będzie w stanie mnie powstrzymać.

Nie słyszę, co jeszcze do mnie mówi. W tej chwili myślę tylko o jednym i mam tylko jeden cel. Muszę ich znaleźć. Sicario zapłaci za wszystko, co robił jej przez tyle lat. I za to, co zrobił jej teraz.

Rozdział 20

GIULIA

Moja głowa waży tonę. Nie umiem jej poderwać. Z trudem podnoszę powieki. Obraz migocze mi przed oczami. Mozolnie przenoszę wzrok na okno.

Jestem w samochodzie. Na tylnym siedzeniu. Co ja tutaj robię? Włosy kleją mi się do twarzy. Chcę je odgarnąć, ale mam unieruchomione ręce. Ktoś je związał.

Czuję ucisk w żołądku. Jęczę, kiedy kolejny raz próbuję poruszyć głowę.

Co się dzieje? Franco znowu mnie gdzieś zabrał? Dlaczego wszystko mnie boli?

Zaczynam być coraz bardziej świadoma. I coraz bardziej przerażona.

Auto zwalnia, obrazy w szybie nie migają już tak szybko. Wreszcie pojazd się zatrzymuje. Ból rozchodzący się z tyłu mojej głowy przechodzi do całego mojego ciała. Jakby ktoś właśnie je rozczłonkował. Podnoszę wzrok na kierowcę. W końcu mi się to udaje.

– Noooooooooo! – Z moich ust wyrywa się donośny wrzask.

– *Ciao, Bella.* – To głos samego diabła. Rechocze jak żaba. Obrzydliwa ropucha.

To na pewno tylko sen. Tylko sen.

– I co, kochanie? – Uśmiecha się do mnie w taki sposób, że wymioty podchodzą mi do gardła. – Nie spodziewałaś się chyba, że znowu się spotkamy. A więc niespodzianka się udała.

Zaczynam się szamotać. Muszę uciec. Czym prędzej wysiąść. Na pewno mam szansę. Uda mi się. Podrywam związane sznurkiem ręce, chcę złapać za klamkę. Ale nie dosięgam.

– Wypuść mnie! Wypuść – powtarzam jak mantrę.

Parska śmiechem.

– Sądziłem, że będziesz grzeczniejsza. – Przekrzywia głowę i jeszcze przez chwilę mi się przygląda. Potem sięga po coś leżącego na fotelu pasażera.

To dla mnie szansa. Wyginam się w kierunku klamki, prawie skręcając sobie przy tym nadgarstki.

Łapie mnie za bluzkę. Przed oczami widzę kawałek białego materiału. Przyciska mi go do twarzy. Odpływam...

Zimno mi. Szczękam zębami. Budzę się, a wraz z powolnym otwarciem powiek robi się jeszcze bardziej lodowato. Czuję chłód. Nie tylko na ciele. Jest dookoła mnie.

Pulsują mi skronie, dotkliwie, z każdym drgnięciem zadając mi coraz większe cierpienie. Rozglądam się po pomieszczeniu.

Nie znam tego miejsca. Jest mi zupełnie obce. I brudne. Jak stara kotłownia, do której nikt nie zaglądał już od wielu lat.

Wpatruję się w jeden punkt, w zagraconą stertę starych mebli, próbując sobie przypomnieć, co się stało. Czerwone, połamane krzesła wydają mi się jakieś znajome. Jakbym je już

kiedyś widziała. A może tylko mi się wydaje?

Przykładam rękę do potylicy. Klei się od jakiejś mazi. Patrzę na przybrudzone nią palce. To krew. Najwyraźniej moja.

Podrywam się z miejsca, słaniając się na nogach. Ale druga ręka stawia opór. Na moim lewym nadgarstku znajduje się szeroka bransoleta, która z każdym szarpnięciem mocniej wbija mi się w skórę. Przytwierdzony do niej łańcuch, przypięty do jednej z przybrudzonych ścian, dźwięczy przy każdym ruchu

Jest krótki, góra dwumetrowy. Zostałam nim skuta.

Już wiem, co się stało.

Przypominam sobie twarz Vittoria siedzącego za kierownicą. To on musiał mnie tutaj przywieźć.

– Nie! Nie! Nieeeee! – wyję. Choć pewnie lepiej byłoby dla mnie, gdybym siedziała cicho. Nie potrafię. Może ktoś mnie usłyszy. – *Aiuto!* Pomocy! – krzyczę tak długo, aż treść żołądkowa podchodzi mi do gardła. Zaczynam wymiotować. A potem kaszlę, prawie dusząc się własnymi rzygami.

Nie mogę się teraz poddać.

Pomagam sobie wolną ręką i przytrzymuję bransoletę umieszczoną na moim nadgarstku. Próbuje wydostać dłoń, ale to niemożliwe. Musiałabym chyba połamać sobie w niej wszystkie kości.

– *Dio*, Boże, pomóż mi – łkam, czując, jak opuszcza mnie energia.

Ale Bóg nie daje o sobie znać. Nie widzi mnie. Albo nie chce widzieć. Jestem tutaj sama.

Siadam pod ścianą. Podciągam kolana pod klatkę piersiową, próbując się jakoś ogrzać. Muszę nabrać sił, by wymyślić coś sensownego. Musi być jakaś droga ucieczki. Teraz nie mam już nic do stracenia.

Kiedy zapada zupełna cisza, nagle rozlega się jakiś zgrzyt. Słyszę trzask i szuranie otwieranych z oporem drzwi. Trą po ziemi, jakby coś stało im na przeszkodzie.

Dygoczę jeszcze mocniej, zerkając przed siebie.

Widzę GO. Vittorio. Stoi do mnie tyłem. Właśnie ciągnie metalową zasuwę, żeby zamknąć pomieszczenie, w którym się znajdujemy. Charakterystyczny zgrzyt rygła przyprawia mnie o ciarki na plecach.

Zaciskam zęby tak mocno, że zaczynają mnie boleć.

Jest jeszcze ohydniejszy i bardziej przerażający niż w mojej wyobraźni. Jakby w ciągu tych paru dni postarzał się co najmniej o sto lat.

– Rozgościłaś się już? – Zatacza ręką dookoła. – Może to nie jest pięciogwiazdkowy Hilton, ale każdy ma to, na co zasługuje. Prawda, *gattina*? – Szczerzy zaniedbane zęby.

Przypomina mi się jego cuchnący oddech.

Podchodzi trochę bliżej.

– Cieszysz się, że wróciłaś? – pyta.

Kręcę głową, choć to nie jest zamierzony gest. To drżenie, które wstrząsa całym moim ciałem. Nie panuję nad nim. Vittorio wzbudza we mnie taki lęk, że wołałabym od razu umrzeć.

– Gdzie jest moje dziecko? – W końcu udaje mi się coś z siebie wydusić.

Milczy. Przez moment wpatruje się w podłogę, po to tylko, by po chwili zmierzyć mnie świdrującym spojrzeniem. Nie odpowiada.

– Gdzie jest moje dziecko?! – krzyczę.

Schyła się i z trudem zachowując równowagę, przykuca tuż obok mojej twarzy. Gdyby nie był aż tak gruby, z pewnością przyszedłoby mu to łatwiej.

– Dziecko? – Wykrzywia usta w niepokojącym uśmiechu.

Przypomina mi klauna, a tych zawsze się bałam. Pod maską i fałszywym wyrazem twarzy kryły swoje prawdziwe oblicza. Zachłanność. Żerowanie na ludzkiej naiwności. ON też taki jest. Dokładnie taki sam.

– Tam, gdzie jego miejsce.

– Co zrobiłeś z Eleną? – łkam. Mój głos przeradza się w lament. Ryczę na cały głos. – Co z nią zrobiłeś, ty gnoju?!

– Stul pysk, szmato! – Robi się czerwony. Wyprowadziłam go z równowagi. Już nie jest tak spokojny, jakim starał się być jeszcze przed chwilą. – Bękart jest daleko stąd – odpowiada po chwili. – Już nigdy go nie zobaczysz. Jakie to uczucie? – Bawi go mój strach. Żywi się nim. To nic nowego. – Przykre, kiedy uświadamiasz sobie, że osoba, o którą tyle czasu się starałaś, przepada.

Mam nieodparte wrażenie, że mówi o mnie.

Zaciskam powieki. Nie chcę na niego patrzeć. Piecze mnie w gardle. Wybucham płaczem.

– Gdzie ona jest? Jak ją znalazłeś? – dopytuję w amoku. Przecież wybiegłam z domu bez niej.

Nie odpowiada. Do głowy przychodzą mi najgorsze wizje. Tyle razy odgrażał się, że odda ją złym ludziom. Ludziom, którzy wykorzystają ją tak, jak on wykorzystywał mnie. Albo jeszcze gorzej.

Wbijam zęby w wargi. Czuję w ustach metaliczny posmak krwi. Zaciskam pięści.

Chcę umrzeć. Nie mam już siły się bronić.

– Ty gnoju! – wrzeszczę. – Zabij mnie! – Szarpie się. Pomieszczenie wypełnia dźwięk uderzającego o podłogę łańcucha. Patrzę na Vittoria z nadzieją, bo choć jest moim przekleństwem, w tej chwili tylko on może spełnić moją prośbę. – Zabij mnie – błagam po raz kolejny.

Odchyła głowę w tył i śmieje się do rozpuku. Moja prośba go bawi, jakby właśnie patrzył na rozgrywającą się przed nim komedię.

– Nie będzie tak łatwo, moja droga. O nie. – Kiwa palcem przed moją twarzą. Potem łapie moją głowę w obie dłonie. Unieruchamia ją tak, bym musiała na niego spojrzeć.

Jego dotyk boli. Jego palce przypominają zaciskające się imadło. Próbuję się wyrwać, ale to tylko pogarsza sprawę. Kiedy jestem już na skraju wytrzymałości, puszcza, wyraźnie z siebie

zadowolony. Zbieram w ustach ślinę i pluję mu prosto w twarz.

Jest zszokowany. Podnosi brwi, by po chwili maksymalnie je ściągnąć. Jego nozdrza falują od zaciąganego powietrza. Wydaje się wściekły. Ociera nadgarstkiem ciągnącą się po jego policzku ślinę. Bierze zamach.

Mój instynkt nie daje o sobie znać – skutecznie go uciszam. Nie wyrywam się, bo przecież pragnę śmierci.

Mocne uderzenie powala mnie na ziemię. Mam wrażenie, że głowa pęka mi na pół.

– Aaaa! – krzyczę mimowolnie, choć tak bardzo nie chciałam dać mu tej satysfakcji. Chciałam skonać w ciszy, by mógł się przekonać o tym, że już nie dam mu się złamać. Może ze mną wygrać, ale nie tak, jak zaplanował.

Spod przymrużonych powiek patrzę na to, co robi. Jestem ledwo świadoma, bo cały obraz dookoła zaczyna wirować.

Vittorio sięga ręką do skórzanego paska i rozpina wymięte spodnie.

Nie... Nie... Tylko nie to. Resztkami sił staram się zaciskać uda.

Wie, co w tym momencie zaboli mnie najbardziej. Wie, jak może mnie dobić, pozostawiając mnie przy tym tak dotkliwie żywą.

Nie mogę się podnieść, choć usilnie próbuję to zrobić. Nie starcza mi sił, by unieść choćby rękę. Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale głos grzęźnie mi w gardle.

– Jestem w połogu. Nie mogę – wyduszam z siebie ledwo słyszalnie. Choć doskonale wiem, że to i tak niczego nie zmieni.

A potem zaciskam oczy i zaczynam wyobrażać sobie, że jestem bardzo daleko stąd. Daleko. W zupełnie innym miejscu...

Rozdział 21

FRANCO

– Franco, co robisz? – *Don Fabio* patrzy na mnie, kiedy w szale podnoszę kolejny dywanik z podłogi domu *Sicaria*.

Kłęczę na brudnej ziemi, a kłęby kurzu roznoszą się dookoła nas. Kaszlę jak najęty.

– Zwariowałeś? – Szarpie mnie za ubranie, powstrzymując przed dalszymi poszukiwaniami.

Wstaję, dosłownie kipiąc ze złości.

– Szukam wejścia, nie widać? Cholera, musi tu gdzieś być jakaś pieprzona kłapa! – Jestem zły. Czy to takie trudne do zrozumienia? Może ten świr przetrzymuje *Giulię* w jakiejś ukrytej piwnicy. – Sprawdziliśmy przecież wszystkie pokoje. Wszystko. – Milknę na chwilę. – *Giulia!* – wołam kolejny raz. Ale nikt się nie odzywa.

– Właśnie, Franco, wszystko. Nie ma jej tutaj, zrozum to wreszcie! – *Don* podnosi głos, próbując do mnie dotrzeć. Patrzy na mnie tak, jakbym był niespełna rozumu. – *Sicario* zostawił otwarte półki, bo najwyraźniej się spieszył. W dużej szafie nie ma prawie żadnych jego ciuchów. Zabrał je. Zastanów się, po co? – powtarza to, co przecież wspólnie odkryliśmy.

Nie chcę o tym nawet myśleć.

Wgapiam się w jakiś punkt na ścianie. *Cazzo!* Nie mogę uwierzyć w to, że pozwoliłem jej wybiec samej. Łapię się za głowę. Gdybym ją wtedy zatrzymał, teraz byłoby inaczej. Obiecałem jej, że nic się jej nie stanie.

– Mogłem... – zaczynam, łamiąc się jak pieprzony mięczak. – Tu nie chodzi o nią, tutaj chodzi o to dziecko, które teraz zostało samo – tłumaczę, kłamiąc przed samym sobą. – *Elena* jest taka mała. Co ja mam teraz zrobić?

– Przestań! – *Don* kładzie rękę na moim ramieniu. Patrzy na mnie współczująco. – Nieważne, o kogo chodzi. To nie jest twoja wina – przekonuje, choć wcale nie ma racji. Uciekła, bo powiedziałem jej, kim jestem. – Chodźmy stąd. – Klepie mnie po plecach. – W tym momencie niczego tutaj nie wskóramy. Zlecimy ludziom, żeby na wszelki wypadek obserwowali to miejsce. – *Fabio* staje się moim głosem rozsądku.

– Mam tak po prostu usiąść i czekać, aż okaże się, że ten skurwiel naprawdę ją zabił? – buntuję się, choć przecież to ja powinienem mieć teraz przygotowane cholerne rozwiązanie. Nie mam go, bo nawaliłem. Okazałem się zbyt słaby. Za mało przewidujący.

– A masz lepsze wyjście, Franco? Masz? – mówi donośnie. Jego głos niesie się echem po całym domu.

Wiem, że ma rację. Mimo to nie odpowiadam.

Nonna kładzie mi na rękę śpiące dziecko.

– Dlaczego nie dasz jej na łóżko? – Nie jestem przekonany, czy w takim stanie powinienem się nią zajmować. – Nie trzeba cały czas jej nosić.

– Ona potrzebuje teraz bliskości, *ragazzo*. Zapomniałeś, ile razy tuliłeś się do mojego fartucha, kiedy było ci ciężko?

Zerkam na *dona* Fabia, który przygląda się całej tej scenie. Jeszcze chyba nigdy nie widział mnie w takiej rozsypce. Pewnie ma mnie teraz za pieprzonego lamusa. Nieważne. I tak jestem wdzięczny za to, że tutaj jest.

– Zrobię wam kanapki, chłopcy. Pewnie jesteście głodni. – Babcia wychodzi, choć nie zdążyłem jej odpowiedzieć.

Ja sam prędejsz się zrzygam, niż będę w stanie coś w siebie wcisnąć.

Fabio przygląda się złotej kuszy, którą jakiś czas temu od niego dostałem. A potem siada na kanapie. Rozpina marynarkę i opiera się o poduszki. Przypatruje mi się, kiedy nieporadnie próbuję zająć miejsce naprzeciwko niego. Ostrożnie, by nie obudzić Eleny. O zajmowaniu się dziećmi wiem tyle, ile pracownik korporacji o robocie w kamieniołomach. Wolałbym więc, żeby się nie obudziła.

– Historia zatacza koło, Franco – zagaduje, zwracając na siebie moją uwagę. – W pewnym momencie naszego życia obaj trzymaliśmy na rękach nie swoje dziecko. – Wzdycha.

Początkowo nie wiem, o czym mówi, ale szybko zaczynam rozumieć. Wychowuje małą Evę jak swoją własną córkę, a przecież nie jest jej biologicznym ojcem.

– Nie wiem, co mam robić. – Jestem załamany, choć to najgorszy moment na to, by się poddawać. – Nie będę jej tu przecież mógł trzymać w nieskończoność. – Staram się myśleć trzeźwo. – *Nonna* ma swoje lata. Nie da rady zajmować się noworodkiem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. A ja? – Parskam nerwowo. Patrząc na małą i ten widok ściska mnie za serce. Przetykam ślinę, by pozbyć się uciążliwego uczucia suchości w gardle. – Jeśli oddałbym ją do domu dziecka, mówiąc, że jej matka po prostu zniknęła, Giulia miałaby problem, by ją odzyskać. Będą sądzili, że ją porzuciła. – W ciągu ostatniej godziny myślałem o tym wiele razy. – *Allora*, jeśli powiedziałbym prawdę, informacja trafi do mediów. Zaczną jej szukać, nagłaśniać sprawę, a wtedy Giulia nie ma już żadnych szans. Tak samo jak my. Nie zrobimy już nic. Będą patrzyć nam na ręce.

– Wiem. Druga opcja w ogóle nie wchodzi w grę. – Fabio przeciera oczy dłońmi. Widzę, że jest tym wszystkim zmęczony. Jego zawsze starannie ułożone włosy teraz zdążyły oklapnąć. – *Un punto morto*. Sytuacja bez wyjścia – komentuje. Pochyla się w przód i opiera łokcie o swoje kolana. – Posłuchaj. Rozesłałem zdjęcie z dowodu Sicaria po naszych ludziach z wszystkich regionów. Szukają jej. Dom, w którym byliśmy, jest obserwowany. Cały czas działamy. Nie możesz mieć wyrzutów. – Przerzywa na moment. – Problem w tym, że nie wiemy, jakim autem się poruszają. Biagio mówi, że jedyny wóz, jaki był zarejestrowany na Sicario, znalazł nowego właściciela jakiś miesiąc temu. Ten dupek ma czystą kartę, a kamery nie zarejestrowały, do jakiego auta wpakował Giulie. Vittorio najwyraźniej nie jest tak tępy, jak przypuszczaliśmy.

Słyszałem, że przed chwilą rozmawiał przez telefon z Biagiem, ale założyłem, że nie dowiedział się niczego nowego.

No to pięknie. Jesteśmy w czarnej dupie.

– Skurwiel! – wybucham. Ale przecież moja frustracja niczego nie rozwiąże. – Dokąd ją zabrał? Cholera, dokąd? – Próbuję się skupić, ale nic sensownego nie przychodzi mi do głowy. – Mogą być wszędzie. *Cazzo!* Dosłownie wszędzie.

– Sicario raczej nie miał tutaj przyjaciół. Gdyby ludzie wiedzieli, kim był, z pewnością by go nam wydali. Wątpię więc, by siedział teraz u kogoś w domu. Mam wrażenie, że nie wynająłby też pokoju w hotelu. Nie ryzykowałby – mówi *don*, a jego spostrzeżenia, choć mało precyzyjne, w pewnym sensie zawężają krąg poszukiwań.

Mnie samego nie stać teraz na żadne lepsze hipotezy. Przez cały czas zastanawiam się tylko, co czuje Giulia. Tak bardzo się go bała. Martwiła się też o małą, więc jedyne pocieszenie w tym, że Elena nie trafiła w ręce tego psychola. Odtwarzam w pamięci nasze rozmowy. Pocałunek, w trakcie którego ten popapwany świat na chwilę się dla mnie zatrzymał. I wtedy przed oczami staje mi pewna scena. To marny trop, ale chyba nie powinniśmy go pominąć.

– Coś mi się przypomniało – oznajmiam.

Don podnosi na mnie wzrok znad komórki. Najwyraźniej właśnie do kogoś pisał.

– Giulia mówiła mi, że Sicario przeprowadzili się tutaj z Bari. Wcześniej mieszkali właśnie tam. – Marszczę czoło, próbując przypomnieć sobie więcej szczegółów. Ale zdaje się, że nie opowiadała mi w tym temacie nic poza tą małą wzmianką.

– Myślisz, że mają tam jeszcze dom? – Fabio nie wydaje się przekonany. – Minęło sporo czasu.

– Nie mam bladego pojęcia. – Wzdycham. Przez moment uznałem to za jakieś światło w tunelu. Teraz mam wrażenie, że to jednak raczej mało prawdopodobne. – Ale jeśli tak... – Zastawiam się przez chwilę. Sięgam do kieszeni i wydaję komórkę. Wybieram numer Biagia i od razu do niego dzwonię.

– *Salve*, Franco – odzywa się po drugiej stronie aparatu.

Targają mną emocje. Elena zaczyna się wiercić przy moim boku. Poruszam rytmicznie ręką, by ją uspokoić.

– Biagio, powiedz ludziom, żeby przegrzebali miejskie archiwum w Bari i sprawdzili, gdzie w ciągu ostatnich dwudziestu lat zamieszkiwała rodzina Sicario. – Od razu przechodzę do rzeczy.

– Stamtąd pochodzą? – pyta zdziwiony.

– *Si* – potwierdzam, choć przecież wyraźnie wydałem polecenie. – Ulica i dokładny numer, na już – kończę ostro, by wiedział, że sprawa jest poważna.

Odkładam komórkę na bok, a potem zerkam na *dona*. Jestem wdzięczny, że tak wiele dla mnie zrobił. Powinien jednak wracać do Sofii. Ona i dzieci na pewno go potrzebują.

– Fabio, wracaj na Sycylię. Masz swoje sprawy. Nie powinienem był cię tutaj ściągać.

– Zdążył ci już umknąć pewien istotny szczegół, Franco. – Wstaje, podchodzi do okna i zerka na zewnątrz. – Sam tutaj przyjechałem. A wiesz dlaczego? – Przechadza się wolno po pokoju.

Mierzymy się spojrzeniami. Chcę usłyszeć jego odpowiedź.

– Bo jesteś moim przyjacielem. *La famiglia* ma swoje zasady, a jedną z nich jest braterstwo. Kiedyś ty bardzo mi pomogłeś i teraz ja też jestem ci to winien. Znajdziemy ją razem, Franco.
– Zatrzymuje się obok mnie. – Choćbyśmy mieli przeszukać dno samego piekła.

Rozdział 22

GIULIA

Próbuję otworzyć oczy, ale mam sklezione rzęsy. Trę palcem po powiece, by sprawdzić, co się stało. Naciągam ją. W końcu z trudem się otwiera. Przez moment zastanawiam się, czy Vittorio nie wysmarował mi oczu jakimś klejem. Stać go przecież na wszystko. Ale to chyba tylko ropa. Chwilę później robię to samo z drugą stroną.

Rozglądam się po pomieszczeniu i widzę, że jestem sama. Ale to nie przynosi mi żadnej ulgi. Czekanie na wybuch bomby jest chyba nawet gorsze od momentu eksplozji – strach zjada człowieka żywcem. A ja tak się właśnie czuję. To jak powolna agonia.

Próbuję przykurczyć nogi, ale każdy ruch przysparza mi coraz więcej bólu. Jestem brudna. Moje ubrania zdążyły przesiąknąć potem i krwią. Mam odrętwiałe krocze, mimo to czuję, że za moment rozerwie mi pęcherz. Od dłuższego czasu nie miałam w ustach ani kropli wody, a jednak muszę się załatwić.

Moje ciało to jedna, wielka rana. Ale nie to jest najgorsze. Największe blizny noszę w swojej głowie. Te nie zagoją się nigdy. Zawsze będą krwawić, ilekroć tylko otworzę oczy. Świadomość, że już więcej nie zobaczę małej twarzyczki mojej Eleny, doprowadza mnie do szaleństwa. Człowiek nie jest przygotowany na takie cierpienie. Nie jest do tego zaprogramowany. Moje granice już dawno zostały przekroczone. Modłę się tylko o to, żeby moja córeczka długo nie cierpiała.

Słyszę otwierające się drzwi.

Zamykam oczy. Wiem, że pragnienie nieszczęścia innych ludzi to grzech. Mimo to życzę Vittoriovi, żeby zdychał w męczarniach. Nie zasługuje na to, by nazywać siebie człowiekiem. To bestia. Demon, który wzbudza strach chyba w samym diable.

– Jak się spało? – rechocze. Zakłada ręce i staje przede mną w rozkroku.

Udaję niewzruszoną, choć wewnątrz cała dygoczę. Milczę, bo bycie ignorowanym bywa czasem gorsze od jakichkolwiek słów. W słowa trzeba włożyć energię.

– Nie jesteś dziś rozmowna. – Przechadza się po pokoju. Słyszę stukot jego wielkich, ubłoconych buciorów. – Zresztą muszę przyznać, że kiedyś byłaś bardziej aktywna. – Podchodzi do mnie i łapie mnie za rękę. Szarpie mną, a potem puszcza. – Mam nadzieję, że nie będziesz taką nudziarą przez cały czas. Następnym razem bardziej się postaraj, bo takie kłody mnie nie rajcują – ciągnie.

Patrzę mu prosto w oczy. Przez moment widzę w jego spojrzeniu wyraz triumfu, że udało mu się mnie sprowokować.

– Jesteś nikim, wiesz? Zdechnij wreszcie – syczę, bo nic więcej mi nie zostało.

Kiedyś siedziałam cicho. Regularnie szantażowana i szaszczuwana, wierzyłam w to, że nie mam innego wyjścia. Teraz, kiedy już śmierć nie jest mi straszna i kiedy okazuje się ona jedy-

na ucieczką z tego miejsca, mogę chociaż tyle. Powiedzieć mu w twarz, kim dla mnie jest.

Znów szarpie mnie za rękę. Próbuje postawić mnie na nogi, ale na wpół zwiotczała opadam na ziemię, zderzając się z betonową posadzką.

– Cosa? Coś ty powiedziała? – Nie dowierza w to, co usłyszał. Moje nowe oblicze, wyzbyte lęku, który był dla niego motorem napędowym, najwyraźniej go dekoncentruje. – Odważna się zrobiłaś. Widzisz? A jednak umiesz zaskakiwać. – Porusza brwiami i przekrzywia głowę w bok. Świdruje mnie spojrzeniem. – Może być całkiem ciekawie. – Łapie mnie za włosy i znowu podnosi do góry.

Jęczę mimowolnie. Próbuję trzymać pion, ale dosłownie słaniam się na nogach.

– Następnym razem uważaj, żeby nie przesadzić. Bo już tak łatwo mi nie uciekniesz. Nieposłuszne suki powinny być trzymane na łańcuchach, więc jeden ci zafundowałem. Staraj się, żebym nie musiał kupować ci kagańca. – Przerzywa i zaczyna przechadzać się po pomieszczeniu. Podchodzi do sterty starych mebli. Podnosi jedno z krzesel i ciska nim o ziemię. Stołek ląduje tuż obok mnie, rozpadając się na parę części. Wiedzie za nim wzrokiem, a potem znowu do mnie podchodzi. – Zawiodłaś mnie. – Grymas na jego twarzy przypomina płacz. Ale to tylko pozory. Vittorio nie jest zdolny do odczuwania ludzkich emocji. To psychopata. – A myślałem, że mogę ci zaufać. – Jest nieobliczalny. Za moment znowu się na mnie wyżyje, byleby tylko dać upust swoim zranionym ambicjom.

– Muszę się załatwić – zmieniam temat, nim kolejny raz ciśnie jakimś przedmiotem. Albo zrobi coś jeszcze gorszego.

– Wszystko przygotowałem, Giulia. – Podnosi głowę, wyraźnie z siebie dumny. Cofa się aż do drzwi, zabiera niewielką miskę i podsuwa mi ją pod nos.

– Co to jest? – pytam.

– Twoja nowa toaleta. – Wzrusza ramionami. – Widzisz? I po co ci to było? – mówi z wyczuwalną pretensją. Jakbym sama zasłużyła sobie na los, jaki mi zgotował. – Nieładnie tak do obcych ludzi uciekać po pomoc. Nigdy nie wiesz, na kogo trafisz, prawda?

Nie wiem, co chce mi przez to powiedzieć.

Przed oczami staje mi twarz Franca. Jego wspomnienie wydaje się tak odległe, jakby było nieprawdziwe. Nie wiem, ile czasu minęło od mojej ucieczki. Dzień, dwa? Będąc tutaj, straciłam rachubę czasu. Wszystko mi się zlewa.

– Wszędzie byłoby mi lepiej niż przy twoim boku. Dlatego uciekłam. A wiesz dlaczego? – Widzę, że wyczekuje odpowiedzi, więc celowo z nią zwlekam. – Bo jesteś zaledwie namiastką mężczyzny – cedzę w końcu przez zęby, prowokując go kolejny raz. Z wycieńczenia moje słowa przypominają bełkot. Mam nadzieję, że mimo to mnie rozumie.

Czekam na cios, dzięki któremu w końcu przestanę czuć. Przestanę istnieć. Ponoć w obliczu śmierci człowiek robi wszystko, by się uratować. Instynkt przetrwania to fałsz. Mój jest zupełnie inny. Łaknie śmierci.

– *Bravo, bravo, Giulia!* – Klaszcze w ręce. – Jeśli sądzisz, że zrobisz mi przykrość, jesteś w błędzie. – Udaje niewzruszonego, choć widzę, że jest zupełnie inaczej. – Namiastką mężczyzny, powiadasz? A co, dawałaś dupy psu z apulijskiej mafii? Spodobało ci się?

Nie odpowiadam. Moja uwaga skupia się na jednym. Powiedział „psu z apulijskiej mafii”. Wiedział, u kogo byłam? Skąd?

– Dawałaś mu czy nie? – dopytuje. Jest coraz bardziej poważny i wściekły. Po jego łysej głowie ściekają krople potu. – Słyszysz?! – Łapie mnie za ramiona i potrząsa mną. Na jego czole widać grubą, napiętą, fioletową żyłę. – Kurwa! Pierdolona suko! Przecież wiesz, że jesteś tylko moja! – Uderza mnie w twarz, ale przytrzymuje mnie, nie pozwalając upaść.

Nie patrzę na niego. Moja głowa zwisa w innym kierunku.

– Skąd wiesz, u kogo byłam? Skąd znasz Franca? – dopytuje. Kręci mi się w głowie. Na zmianę tracę i odzyskuję przytomność.

– Franca? Franca Meli?

Mam wrażenie, że powtarza jego nazwisko. A może tylko mi się wydaje? Odpływam, ale po chwili znów przytomnieję.

Nagle zaczyna się śmiać.

– Tyle razy powtarzałem ci, idiotko, że nie powinnaś ufać nikomu poza mną. – Szczerzy zęby, kiedy przelotnie na niego spoglądam. – A co, jeśli to on cię wydał? – Znowu zaczyna mną trząść. Jego uścisk słabnie.

Czuję, że odpływam na dobre.

Z rozmazaniem wizerunkiem Franca przed oczami...

Nie wiem już nic...

Poza tym, że jeśli właśnie umieram, to wcale tego nie żałuję.

Rozdział 23

FRANCO

– Wstawaj, do licha. Franco! Naćpałeś się, czy co? – Zniecierpliwiony głos *dona* powoli wdziera się do mojej świadomości.

Budzę się.

– Uważaj! – ostrzega.

Zastygam w miejscu. Nie wiem, o co mu chodzi. Zerkam na niego kompletnie oszołomiony. Już chyba rano. Głowa boli mnie, jakbym był na porządnym kacu.

– Prawie zgmiotłeś małą.

– Nie zgmiotłem. – Podnoszę się i patrzę na śpiące dziecko, które nic nie robi sobie z naszych rozmów.

Elena drzemie w najlepsze. Na moim łóżku. W mojej sypialni. Po tym, jak budziła mnie co dwie godziny tylko po to, by łyknąć trochę mleka z butelki.

– Marnie przez nią spałem – mamroczę pod nosem, wciąż ledwo kontaktując.

– Widać. Wyglądasz jak kupka nieszczęścia – komentuje. – Niańczenie ci nie służy.

Już mam ochotę mu odpowiedzieć, ale nie daje mi dojść do głosu.

– Tymczasem zbieraj dupę, twoi ludzie już na ciebie czekają. Jedziemy do Bari.

Zatrzymuję na nim wzrok, bo to może oznaczać tylko jedno. Zmęczenie mija w ciągu jednej sekundy, jak ręką odjął. Ale ból głowy nie.

– Znaleźli adres?

Potakuje.

– Znaleźli i do ciebie dzwoniли. Ale jesteś poza zasięgiem – tłumaczy Fabio.

Grzebię ręką pod jedną z poduszek i wyciągam telefon.

– Padł – oznajmiam. Nawet nie miałem siły, by podłączyć go do ładowarki. Wzdycham i wyskakuję z łóżka. – Zerkniesz na nią? – Wskazuję na leżącą w mojej pościeli Elenę. Chyba przydałoby się jej coś w rodzaju własnej kołyski. Wszystkim byłoby zdecydowanie wygodniej. – Skoczę tylko do łazienki i poproszę *nonnę*, żeby została z dzieckiem.

– *Nonna* już czeka, więc ten etap możesz pominąć. – *Don* siada na skraju materaca. – Leć. Zostawiam ich samych.

Niespełna dwadzieścia minut później zmierzamy w kierunku mojego auta. Światła porsche zapalają się, kiedy naciskam przycisk na pilocie. Będziemy musieli zahaczyć o stację paliw. Po mojej ostatniej, mało ekonomicznej jeździe w baku z pewnością jest już rezerwa. Na pewno nie wystarczy nam benzyny na przeszło dwugodzinną jazdę.

– Fabio, muszę jeszcze zatankować.

– *Certo*. Ale jeśli nie masz nic przeciwko, daj się karnąć twoją furą – proponuje. – Jeszcze nigdy nie miałem okazji prowadzić porszaka.

Uśmiecham się, bo wiem, że w jego garażu stoją auta, których wartość znacznie przewyższa cenę mojego wozu. Szczerze powiedziaławszy, jestem mu nawet wdzięczny. Wyciągam rękę w jego stronę i przekazuję mu kluczyki. Wiem, że chodzi mu o mój kiepski stan. Obawia się, że moglibyśmy nie dotrzeć do celu w całości. Choć w jego przypadku słowo „obawia” to kiepskie określenie. Jego jedynym lękiem jest chyba tylko utrata Sofii i dwójki ich dzieci. Cała reszta to dla niego po prostu kolejne wyzwania.

Zmierzam w stronę drzwi pasażera. Zerkam na nisko położone słońce, które razi mnie w oczy. Zdejmuję kurtkę, którą założyłem na siebie, wychodząc z domu. W samej koszuli będzie mi wystarczająco ciepło. Mamy styczeń, a w powietrzu czuć już nadchodzącą wiosnę. A może faktycznie coś jest ze mną nie tak?

Kiwam ręką ochronie, że za moment ruszamy. Pakują się do wozu, który stoi nieopodal nas.

– Jedziemy. Cholerne Bari czeka – oznajmiam, z każdą sekundą coraz bardziej świadomy tego, w jakim celu się tam kierujemy.

Siadam i opieram się o zagłówek. Zamykam oczy, próbując jakoś poukładać sobie to wszystko w myślach. Ale trudno o spokój, kiedy moje życie przypomina ostatnio pieprzony rollercoaster.

Wpatruję się w szybę po mojej stronie. Jeśli *don* sądził, że nie byłbym zdolny do prowadzenia, tkwił w wielkim błędzie. Już dawno nie czułem się tak pobudzony. A że nie mogę dać energii ujścia, rozsadza mnie od środka. Nawet nie chce mi się gadać. Zerkam na nawigację, ale do celu wciąż pozostało całe piętnaście minut. Czekanie mnie dobija. I ta pierdolona nieświadomość. Nie mamy przecież pojęcia, czy jadąc tutaj, nie marnujemy zwyczajnie czasu.

– Dlatego nie lubię miast. – *Don* zdejmuje ręce z kierownicy i opiera głowę o fotel. Głośno wzdycha, kiedy kolejny raz stoimy w długim korku. – Gdybym tutaj mieszkał, miałbym wrażenie, że marnuję połowę swojego życia.

– Jeździłbyś koleją – odpowiadam. Zerkam w lusterko, bo właśnie próbuje precyzyjnie się obok nas jakaś kobieta na hulajnodze elektrycznej. Prawie zarysowuje mi lakier, kiedy usiłuje zmieścić się pomiędzy dwoma rzędami wolno sunących do przodu aut. – Ale ja też nie umiałbym tutaj mieszkać – wzdycham.

Pamiętam, jak kiedyś odwiedzałem te rejony z *nonną*. Kilkanaście lat temu jeździła do Bari do swojej koleżanki pomagać jej w wyrabianiu makaronu *orecchiette*. Siedziała wtedy na ulicy i lepiła małe uszka w ilościach przyprawiających o zawrót głowy. Dorabiała, gdziekolwiek mogła, byle zyskać jakiś grosz. Po tym, jak moja matka zmarła przy porodzie, a mój stary zwiął z jakąś zdziwą, zostaliśmy sami i finansowo się nam nie przelewało. Do czasu. Rodzina Trovato i Fabio okazali się naszą nową szansą i początkiem wielkich zmian.

Zerkam na pobliskie budynki starego miasta. Teraz, jako pasażer, mam okazję przyjrzeć się im dokładnie – tak jak spoglądałem na nie dawno temu. Siedziałem wtedy nieopodal bab-

ci, obserwując spacerujących turystów. Przed bazyliką San Nicola ustawiały się kolejki pielgrzymów. Wszyscy chcieli dostać ampułki z mianą wydobywającą się z kości Świętego Mikołaja. *Nonny* już dawno tutaj nie było. Zdziwiłaby się, gdyby zobaczyła, jak wiele się zmieniło. Muszę namówić ją na wycieczkę. Ucieszy się.

– Chyba jakaś stłuczka – komentuje Fabio, próbując wychylić się przez okno. – Pięknie.

– *Cazzo!* Jeszcze tego nam było trzeba. – Jestem coraz bardziej rozdrażniony. Czas dojazdu na miejsce wydłuża się o jakieś dziesięć minut.

Don włącza radio, z którego wydobywa się właśnie jakaś wybitnie stara piosenka. Próbuje się uspokoić, bo przecież nerwy i zniecierpliwienie i tak niczego nie zmieniają.

Pół godziny później wjeżdżamy na obrzeża Bari. Drogą dziurawą jak szwajcarski ser docieramy do szeregu zrujnowanych zabudowań, które wyglądają tak, jakby za moment miały się zawalić.

– To chyba tam. – Zerkam na nawigację, która pokazuje, że za minutę będziemy na miejscu. Moją całą nadzieję trafia szlag, bo budynki z pewnością od lat nie są już zamieszkałe. Zarośnięte ogrody, powybijane szyby, brak jakichkolwiek warunków do zasiedlenia tych murów.

– Słyszałeś kiedyś o Prypeci? – sugeruje *don*.

Może nie byłem wybitnym uczniem, ale pamiętam lekcje o wybuchach reaktorów jądrowych w Ukrainie. Wiem, co ma na myśli. Krajobraz, który teraz widzimy, też przypomina opuszczone miasto.

– Gdyby tak trochę w to zainwestować, mielibyśmy nowe miejsce do przetrzymywania naszych jeńców. Robi wrażenie – żartuje sobie, choć to kiepski moment na to, by w ogóle się śmiać.

– Nie ujmuj naszym podziemiom. Chyba już dawno nie byłeś w Peschici – mamrocę. Nie jestem w nastroju do głupich komentarzy. Wszystko wskazuje na to, że jechaliśmy tutaj nadaremno. I w grę nie wchodzi tylko zwykła strata czasu, ale fakt, że to był mój ostatni pomysł dotyczący miejsca pobytu Giulii.

Zwalniamy, przyglądając się mijanym budynkom. Na fasadach nie ma żadnych numerów, choć nawigacja usilnie upiera się przy tym, że 46 to ostatnia posiadłość.

– Franco – mówi *don*, wpatrując się w jeden punkt. Nie podnosząc rąk z kierownicy, wskazuje mi coś palcem. – Patrz, widzisz to auto? – Mruży oczy.

Prostuję się, przenosząc wzrok na przednią szybę. Jakies pięćset metrów od nas, nieopodal zarośli, stoi czerwony, stary mercedes. I choć nie grzeszy świeżością, nie wygląda tak, jakby ktoś go tam porzucił. Podjeżdżamy bliżej w kompletnym skupieniu i ciszy.

– Jak myślisz, co ten wóz może tutaj robić? – Zerkam na *dona*, bo w mojej głowie pojawia się tylko jedna możliwa opcja. Auto ma zagraniczną rejestrację, więc albo należy do kogoś spoza Włoch, albo nie zostało jeszcze przepisane na nowego właściciela. – Parkujemy tutaj – ob-

wieszczam. – Rozdzielimy się z ochroną, żeby zaoszczędzić czas. Niech przeszukują okolicę. My pójdziemy do wskazanego przez GPS budynku.

Fabio nie protestuje.

Wysiadamy z samochodu. Wysoka, sucha trawa zahacza o moje spodnie. Chyba od wieków nikt tutaj nie kosił. Dodatkowo o tej porze roku wszystko wygląda jak martwe. Wyzbyte życia. Jakby sam Bóg zapomniał o tym zakątku. Może to dobra metafora, by odzwierciedlić mój własny stan umysłu.

Pilotem otwieram bagażnik, a kiedy klapa się podnosi, dźwigam koc, pod którym leżą dwie nieźle nafaszerowane bronią walizki. Jedną podaję *donowi*. Sięgam po swoją, wydjmuję wypolerowanego gnata i montuję na nim tłumik. Upewniam się, czy magazynek jest pełny. Potem udaję się do swoich ludzi, którzy czekają na polecenia, i tłumaczę im, co powinni zrobić. Kiedy wszystko jest już dopracowane, kiwam Fabiowi, że jestem gotów. Nie potrzebuje zachęty. Rusza razem ze mną, u mojego boku, bliski mi jak rodzony brat, którego nigdy nie miałem.

I choć wiem, że powinienem czuć strach – w końcu ponoć nie mają go w sobie tylko głupcy – w moich żyłach płynie teraz tylko jedno. Pragnienie zemsty.

Mijam ostatni fragment zapadniętego, brukowanego chodnika. Staję przed drzwiami i łapię za metalową klamkę. Cała się rusza. Napieram na nią, ale ustępuje zaskakująco łatwo. W drzwiach nie ma ani klucza, ani zamontowanego zamka. Kiwam Fabiowi, by poszedł za mną. *Don* jest maksymalnie skupiony. W końcu nie jesteśmy na swoim terenie. Wnętrze nie wygląda zbyt przyjaźnie. Wszędzie unosi się zapach kurzu. Rozglądam się na boki z pistoletem wycelowanym przed siebie.

W budynku nie ma żadnych drzwi. Pozostały tylko zamontowane w futrynach zawiasy. Zapewne posiadłość padła łupem złodziei. Zastanawiam się, czy faktycznie mieszkali tutaj kiedyś Sicario. Bazujemy przecież tylko na wiadomościach pozyskanych z archiwum miasta.

Staję w pobliżu drewnianych schodów i zauważam element, który nie pasuje do całego wystroju.

Do diabła! Momentalnie robi mi się gorąco.

To otwarta walizka. Z wymiętymi, męskimi ciuchami, których nie pokrywa żaden kurz.

Patrzę na nią jak zahipnotyzowany, bo przez moment zastanawiam się, czy przypadkiem sobie czegoś nie wmawiam. Odwracam się do Fabia, by mu to pokazać, ale widzę, że zdążył się już zorientować.

Schyłam się i wyciągam czarną bluzkę. Równie dobrze może być granatowa albo brązowa, bo przez okna wpada niewiele światła, co nieco zaburza rzeczywistość. Nie wiem, czy jest tutaj jeszcze elektryczność, ale i tak na pewno nie moglibyśmy jej użyć. Od razu dalibyśmy o sobie znać, a to mogłoby się źle skończyć. Dla Giulii. O ile jeszcze w ogóle żyje.

Cazzo! Czuję, że serce napierdala mi jak oszalałe. Nasłuchujemy, ale dookoła nas panuje tylko pieprzona cisza. Pełna napięcia, które ja sam generuję w takiej ilości, że mógłbym oświetlić całe, pieprzone Bari.

Fabio marszczy czoło. Odwraca głowę w bok. Nie wiem, czy coś usłyszał, ale ja nie chwyciłem zupełnie niczego. Podnosi rękę i wskazuje palcem w dół. Jakby chciał mi dać do zrozumienia, że powinniśmy kierować się w stronę piwnicy. Nie ma czasu do stracenia.

Tuż obok schodów prowadzących na piętro znajdują się te, które schodzą niżej. Widać tylko dwa pierwsze stopnie. Resztę pochłania mrok. Sięgam po telefon i włączam latarkę. Świecę w znajdującą się przed nami przepaść i widok od raz staje się bardziej klarowny. Z siedem, może osiem schodów prowadzi prosto do jakichś drzwi. Są domknięte, ale metalowa zasuwka znajdująca się tuż nad klamką nie została zaryglowana.

Przytrzymując się ściany, zaczynam schodzić.

Wtedy słyszę jakiś trzask. Zatrzymuję się i staję jak wryty.

Wciążam powietrze i zerkam na Fabia. Na moment przestaję oddychać.

Don jest tuż za mną. Kiwa głową, dając mi tym samym znać, że też to usłyszał.

A więc teraz już wiem, że na sto procent ktoś znajduje się w środku. Może to jakiś bezdomny. Cholera, może nawet jakiś szczur. Wyobraźnia zaczyna mi pracować, a przecież w swoim stosunkowo krótkim życiu widziałem już dostatecznie wiele. Staję przed drzwiami i przykładam do nich ucho. Są masywne. Stare. Ale oprócz kolejnych stuków nie słyszę nic więcej. Gdyby była tam Giulia, pewnie coś by mówiła. Chyba że...

Próbuję otrząsnąć się z podejrzeń, które na pewno w niczym mi teraz nie pomagają. Wokół nas panuje utrudniająca wszystko ciemność. I tylko światło wydobywające się z mojej komórki pomaga nam się jakoś odnaleźć. Czekam, aż Fabio znajdzie się tuż obok mnie, i delikatnie popycham drzwi. Nie ustępują. Używam większej siły, ale efekt jest podobny. Wygląda na to, że ktoś zamknął się od środka.

Zastanawiam się, co powinniśmy zrobić. Jeśli damy o siebie znać, tylko pogorszymy sytuację. Jeśli faktycznie mamy do czynienia z Sicariem, może spanikować. Nie wiemy przecież, czy z tego pomieszczenia nie ma jakiegoś innego wyjścia.

– Czekamy – szepcze Fabio, utwierdzając mnie tym samym w przekonaniu, że to jedyna opcja, jaka nam pozostała.

Pośpiech nie zawsze okazuje się skuteczną bronią.

Siadam na jednym ze stopni, nie przestając wpatrywać się w drzwi. Jedno jest pewne. Ktoś, kto w końcu się zza nich wyłoni, będzie mieć cholernie zaskakującą niespodziankę.

Mija piętnaście długich minut. Poruszam nogami, bo zaczynają mi drętwieć. Kolejny raz zerkam na komórkę, bo włączona latarka skutecznie pożera mi baterię. Zostało już tylko dwadzieścia procent. Odpisuję na wiadomość Carla, mojego ochroniarza, który właśnie informuje

mnie, że niczego nie znaleźli. Chcę mu dać cynk, że czekamy na schodach, kiedy nagle rozlega się dźwięk przesuwanego rygla.

Momentalnie wstaję. Po ciele przebiega mi jeżący włosy na głowie dreszcz. Dziwnie się czuję. Bo jak nazwać ekscytację pomieszaną z obawą? Podnoszę spluwę, celując na wysokość głowy przeciętnego człowieka. Próbuję opanować drżenie rąk. Tuż obok moich dłoni widzę wycelowaną lufę Fabia. I robi mi się raźniej.

Drzwi się otwierają.

Prawie staje mi serce.

– Ja pierdołę! – Z oświetlonego pomieszczenia na moment wyłania się kawałek łysej głowy. – *Merde!* – krzyczy mężczyzna. Próbuje zamknąć drzwi, ale jednym kopnięciem pozabawiam go tej możliwości.

Don wraca do środka pierwszy, ja zaraz za nim. Fabio celuje prosto w skroń *Sicario*, trzymając lufę kilka centymetrów od jego głowy. To bez wątplenia on. Łysy, tłusty, pierdolony skurwysyn ze zdjęcia. Podnosi ręce, pokazując nam, że nic w nich nie trzyma. W rogu pokoju leży *Giulia*. Wygląda na nieprzytomną.

Kurwa! Zaczynam się trząść.

– Co jej zrobiłeś?! – wołam. – Co jej zrobiłeś, ty patologiczny sukinsynu?

Chcę wziąć ją na ręce, ale najpierw musimy rozprawić się z nim. Wielokrotnie marzyłem o tym, by w końcu go dopaść. By napawać swoje oczy widokiem jego powolnie wykrwawiającego się ciała. Ciąłbym go na kawałki albo moczył w kwasie. Ale nie ma na to czasu.

– *Franco Meli*. – Uśmiecha się sztucznie, bo tylko tyle mu zostało. Chce nam udowodnić, że nasza wizyta nie robi na nim wrażenia. Mimo to wyczuwam jego strach. Wie, że to koniec. – I wielki *Fabio Trovato*. Zaczyna delegacja, czuję się zaszczycony.

– Powinieneś być zdechnąć dawno temu, kupo gówna – syczy *Fabio* przez zaciśnięte zęby.

Dopiero teraz widzę, jak wiele kotłowało się w nim emocji.

– Oj, szkoda by było. Obserwowanie upadku twojej rodziny, *Trovato*, było całkiem przyjemne. Ale nie nudziłem się, kiedy już wróciłeś. Miałem ją. – Obraca się w stronę leżącej *Giulii*. – Zwykłą, zapchlona sukę. Jest bardzo zużyta, nie polecam.

Nie wytrzymuję. Biorę zamach i uderzam go pięścią prosto w twarz. Upada, uderzając wielkim cielskiem o betonową posadzkę. Zerka na mnie z przerażeniem. Tego się nie spodziewał. Łapie się za usta, a potem zaczyna pluć krwią. Kiedy kończy, z jego gardła wydobywa się przeciągły śmiech. Co za idiota.

Fabio na mnie zerka.

– Już czas – mówi, bo widzi, jak wiele nerwów mnie to kosztuje.

Ostatni raz patrzę *Sicariowi* prosto w oczy. Tak, by umierając, zapamiętał moją twarz.

– Nikt nie będzie za tobą płakał, *coglione*.

Pociągam za spust i patrzę, jak jego wielki łeb rozpryskuje się na kawałki.

Zapada cisza.

– Giulia! – Zrywam się z miejsca.

Leży na boku, zwinięta w kłębek, w tych samych ubraniach, w których wybiegła z domu. Z jedną różnicą – są pokryte krwią. Ma sklezione włosy i posiniaczoną twarz. Wygląda jak nie ona. Obracam ją na plecy, a kiedy się przewraca, tuż przy jej boku rozlega się dźwięk łańcucha. Dopiero teraz widzę, że ten skurwiol przykuł ją do ściany. Przykładam ucho do jej ust. Chcę sprawdzić, czy oddycha. Jej bezwład mnie przeraża. Jakby właśnie zmarła, a jej ciało nie zdążyło jeszcze ostygnąć.

Fabio jest w szoku. Przykłada palce do jej szyi, żeby sprawdzić puls.

– Żyje – mówi. – Musimy jak najszybciej ją stąd zabrać.

Zerkam na jej poranioną twarz, ale tylko przelotnie. Nie jestem w stanie znieść tego widoku. Mam wrażenie, że ktoś właśnie zaciska mi na szyi wielki, skórzany pas. Nie wyobrażam sobie, jak wiele musiała wycierpieć.

Wtedy Giulia otwiera powieki. Tylko częściowo. Jej tęczęwki błędzą.

– Umarłam? Czy to już? – bredzi. Jej głowa opada w bok. Potem znowu otwiera oczy. Patrzy na mnie, ale nie jestem pewien, czy jest tego świadoma.

– Giulia, już wszystko będzie dobrze – zapewniam. Głaszczę ją po policzku. Jest bardzo rozpalona. Z pewnością ma gorączkę.

– Franco – szepcze. – To nie możesz być ty. – Znowu zamyka powieki. – Przecież... Dlaczego mi to zrobiłeś?

Nie wiem, o czym mówi. Może myśli, że wciąż jest w jego rękach. Pewnie mnie nie rozpoznaje.

– Trzeba zabrać ją do szpitala. – Patrzę na *dona*, który klęczy obok mnie. – Nie wiem tylko, czy placówki w Bari to dobry pomysł. – Jestem w pełni świadom tego, że nie ma czasu na podobne rozważania, ale staram się myśleć do przodu. – Cholera, nie mam tutaj nikogo zaufanego. Jeśli sprawa stanie się medialna, nie dadzą jej żyć.

– Dzwonź po Carla i Lorenza, ktoś musi ją rozkuć. A ja zadzwonię po helikopter. Przewieziemy ją na Sycylię, do kliniki mojego znajomego. – Nie czeka na to, co powiem. Bierze telefon i zaczyna dzwonić. – Szlag by to trafił, kiepsko tutaj z siecią – przeklina pod nosem i kieruje się w stronę drzwi. Przystaje na moment, widząc, że biję się z myślami. – Kiedy oprzytomnieje, przewieziemy ją do mojego domu, Franco. Sofia pomoże jej z małą. Daj *nonnie* i sobie odpocząć. Jeszcze chwila i sam się przekręcisz – dodaje i wychodzi.

Klęcząc przy Giulii, odgarniam włosy z jej twarzy. Jej usta nieznacznie się poruszają. Zaciśkam oczy, bo wciąż nie mogę uwierzyć w to, co ten skurwiel jej zrobił.

– Wrócisz do małej. Elena na ciebie czeka – zapewniam ją, choć nie mam bladego pojęcia, czy w ogóle mnie słyszy. Potem pochylam się i pewnie ostatni raz całuję ją w czoło.

Borę do ręki telefon i wychodzę. Fabio ma rację. Jeśli na Sycylii zapewnią jej najlepszą opiekę, powinna tam trafić.

Rozdział 24

GIULIA

17 lat wcześniej

Różowy, ozdobny papier szeleści, kiedy rozrywam go na kawałeczki. *Papà* starannie zapakował prezent, żeby nie można było tak łatwo go otworzyć. Wyczuwam pod palcami jakiś karton.

– *Ma dai!* Dajcie spokój. Chyba nigdy nie dostanę się do środka. – Zerkam na kolejną warstwę papieru pozaklejanego taśmą. Nie mogę się doczekać, żeby odkryć zawartość paczki.

Papà i *mamma* zanoszą się od śmiechu, widząc moją zniecierpliwioną minę.

– Powoli, *gattina*. To ci nie ucieknie – mówi do mnie *papà*.

Łatwo mu powiedzieć. Jestem tylko dzieckiem.

– Wyczekiwanie wzmacnia apetyt – dodaje.

Nie wiem, co ma na myśli. Może kupił mi coś do jedzenia. Szczerze powiedziawszy, liczyłam na jakąś zabawkę. Teraz zaczynam się trochę obawiać, ale nie przestaję się uśmiechać. Nie chcę sprawić im przykrości.

Ciągnę za taśmę. Moim oczom ukazuje się kolorowe, sztywne opakowanie.

O ja cię! Wiem, co to!

Piszczę, nie mogąc opanować radości. Ale niespodzianka.

– Nie wierzę! – wołam. – *Mamma, papà!* – Biegnę w ich stronę z kartonem w rękach. – Zobaczcie, to najnowsza Barbie! – Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Prezentuję im swoją nową lalkę, a przecież *papà* doskonale wiedział, co znajduje się w środku. To on mi ją kupił. – Ma ręce i nogi, które można zginać. I prawdziwe rzęsy! – Nie potrafię się powstrzymać i dotykam palcami jej oczu. Tyle razy widziałam ją w reklamie, a teraz mam ją w domu. Jutro obowiązkowo muszę ją zabrać do szkoły. – Dziękuję wam! – Ściskam rodziców najmocniej, jak tylko potrafię. Tak bardzo ich kocham. – A z jakiej to okazji? – dopytuję. Przecież nie mam urodzin. Dzień Dziecka był w czerwcu, święta są w grudniu, a mamy dopiero sierpień.

Mamma uśmiecha się i zerka na *papę*. Głaszcze go po ramieniu. Zawstydzam się. To oznaka miłości, a miłość to temat, o którym jeszcze nie lubię mówić. Jeszcze. Bo kiedy dorosnę, znajdę sobie chłopaka. W klasie jest jeden taki, który mi się podoba, ale to moja tajemnica. Póki co nie zdradziłam jej nawet koleżankom. Kiedy Gaia przyznała się dziewczynom, że lubi Stefano, za chwilę wiedziała o tym cała klasa. Do dziś chłopaki jej dokuczają, a Stefano unika jej jak ognia.

– Nie trzeba okazji, żeby kogoś uszczęśliwić. *Papà* chyba lubi o nas dbać. – *Mamma* przygląda się bransoletce, którą ma na nadgarstku. Ona też dostała prezent. – Pamiętaj, żeby

w przyszłości znaleźć sobie takiego męża, Giulia, żeby troszczył się o ciebie nie tylko od święta – radzi.

Papà przyciąga ją do siebie i znowu się śmieje.

– *Magari!* Oby. Choć nasza mała *gattina* ma jeszcze dość czasu, by nie musieć się tym teraz martwić – komentuje *papà*. – A skoro jesteś już taka ciekawa – dodaje, patrząc na mnie – to dostałem premię, więc musiałem nagrodzić moje cudowne księżniczki.

– A co to jest premia? – pytam, bo nie mam bladego pojęcia, cóż to może oznaczać. Ale chyba coś fajnego, skoro dostałyśmy z *mammą* prezenty.

– Premia to takie dodatkowe pieniądze do wypłaty, wiesz, kochanie? – *Papà* zerka na *mamę*, jakby chciał się upewnić, czy na pewno dobrze mi to wyjaśnił. – Wiesz, co to jest wypłata, prawda? – dopytuje.

Jest cierpliwy i zawsze odpowiada na moje pytania. A ponoć zadają ich wiele. Co mogę poradzić na to, że jestem taka ciekawa świata.

– Wiem – przytakuję dumnie. – A gdzie ty pracujesz, *papà*? – Patrzę na niego, bo to dobra okazja, by znowu poruszyć ten temat.

Odwraca wzrok i patrzy na *mamę*. Ale ona nagle zaczyna się przyglądać swojej bransoletce. Poprzednim razem, kiedy zadałam jej to pytanie, również mi nie odpowiedziała. Ostatnio rozmawialiśmy w szkole o różnych pracach i wszyscy byli w stanie powiedzieć, kim z zawodu są ich rodzice. Cała klasa dziwiła się, że tylko ja nie wiem takich rzeczy.

– Kochanie, ja pracuję w takiej firmie. – Widzę, że *papà* jest niezręcznie.

Rozumiem. Czyli jest firmowcem. Czy to naprawdę było dla nich takie trudne do wytłumaczenia? Na pewno zapamiętam to określenie.

– *Papà* jest przedsiębiorcą – odzywa się w końcu *mamma*.

To słowo wydaje się nawet ładniejsze. Brzmi tak fachowo. Szybko jednak ulatnia mi się z pamięci. Próbuję powtórzyć je w myślach, ale mam wrażenie, że zdążyłam już coś poprzekręcać. Jestem kiepska z zapamiętywania.

Spoglądam na nową lalkę, która wciąż jeszcze leży w kartonowym opakowaniu. Ma brązowe, kręcone włosy, duży, różowy kapelusz i równie różową, elegancką sukienkę. W zestawie znajdują się nawet szczotka i małe lusterko.

Zrywam się z miejsca. Muszę przynieść nożyczki, przeciąć parę gumek i ją uwolnić. Kiedy wybiegam z pokoju, jeszcze na moment zatrzymuję się w progu.

– *Vi amo*. Kocham was – mówię, uśmiechając się do moich rodziców.

Są bardzo ładni. Oboje. *Mamma* ma wielkie, niebieskie oczy, które ponoć po niej odziedziczyłam. Maluje je czarną kredką. Też chciałabym to robić, ale za każdym razem słyszę, że jestem jeszcze za mała. Jak dorosnę, chciałabym być taka jak oni. Szczęśliwa i ładna.

– A my ciebie, *topolina*. – *Papà* nazywa mnie myszką.

Kiedys też nie będę się wstydzić miłości. I będę mieć ślub z przystojnym firmowcem. Na sto procent. Tak wyobrażam sobie przyszłość. Ale póki co, idę się pobawić.

Rozdział 25

GIULIA

– Gdzie jest Elena? Nie ma jej. Zabrałeś mi ją! – wołam, trzymając się za głowę. Zamiast włosów mam na niej jakiś dziwny materiał. To jego wina. Vittorio znowu musiał mi coś zrobić. Czyżby mnie ogolił? Co on mi zrobił?!

Słyszę równomierny, coraz głośniejszy dźwięk. Rozglądam się dookoła. Nie wiem, skąd dochodzi. Odwracam się w stronę Vittoria, ale jego tu nie ma.

– Ciii... budzi się. Ciśnienie w normie – odzywa się jakiś nieznany mi głos.

Otwieram oczy i to, co dotychczas mnie otaczało, zupełnie się zmienia. Ciemna cela się rozjaśnia. Mrużę oczy.

Podnoszę rękę i dotykam swojej twarzy. Włosów. Jednak są na swoim miejscu.

– Co to jest? – pytam sama siebie, znów natrafiając palcami na jakiś materiał. – Czapka? Po co mi ona? Co ja tutaj robię? – Nie pamiętam, jak się tutaj znalazłam. Nad moją głową wisi podłużna, jasna lampa.

– *Buongiorno*. To bandaż. Przebywa pani w szpitalu. Bardzo się cieszymy, że wreszcie wróciła pani do świata żywych – odpowiada mężczyzna ubrany w biały kitel. Stoi tuż obok mojego łóżka. – Obudziła się – przekazuje wieści komuś innemu. Rozentuzjasmowany robi z tego jakąś sensację.

– Obudziłam się – powtarzam jego słowa. – Co w tym niezwykłego? – dopytuję. W moim umyśle wciąż panuje jedna, wielka pustka.

– Ano jednak coś. Spała pani przez trzy dni.

– *Salve*. Pani Giulia Strollo, *si?* – Do szpitalnej sali, która wyglądem przypomina raczej luksusowy pokój w hotelu, wchodzi jakaś zupełnie nowa pielęgniarka, młoda dziewczyna.

Minął jeden dzień, odkąd się obudziłam. Jeden dzień mojego pobytu w szpitalu, z którego okna rozciąga się zapierający dech w piersiach widok na Etnę. Kiedy wczoraj dowiedziałam się, że przebywam na włoskiej wyspie, byłam przekonana, że to kolejna zasadzka przygotowana przez Vittoria. Ale on nie żyje. To jedna z niewielu wiadomości, jakie zostały mi przekazane.

Wczoraj wieczorem odwiedził mnie Fabio, znajomy Franca, i powiedział, że dzisiaj zabierze mnie do swojego domu. I że będę pod stałą obserwacją lekarzy. Ponoć obiecał to swojemu przyjacielowi.

Nie wiem, czy to dobra opcja. Ale póki co nie mam żadnej innej.

Psycholog, który ze mną wczoraj rozmawiał, uprzedził mnie, że czeka mnie trudna przeprawa przez wspomnienia, ale będę musiała je zaakceptować. Przepracować. Jeśli będę spychała je w głąb siebie i nie zdecyduję się o nich rozmawiać, przegram tę walkę. A ja chcę wal-

czyć, bo już wkrótce mam się zobaczyć z Eleną. Moja córka żyje, choć wciąż nie potrafię w to uwierzyć.

Jestem zaniepokojona. Nie dali mi jej, choć powinna być już ze mną. Mam wrażenie, że wszyscy dookoła tylko coś knują, szepczą, oszukują mnie. Nie mam pojęcia, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Nie wiem nic poza tym, że jakimś cudem wciąż pozostałam na tym świecie.

– *Buon pomeriggio* – odpowiadam w końcu pielęgniarce. – Tak, Giulia – potwierdzam.

– Przyjechała pani Sofia. Pomoże się pani spakować i zabierze panią do swojego domu – zapowiada. – *Il dottore* rozmawiał już z panem Fabiem i przekazał mu wszystkie niezbędne informacje. Zresztą wciąż będzie pani pod stałą obserwacją lekarzy, chociaż już nie w szpitalu.

Do pokoju wchodzi ciemnowłosa, szczupła kobieta. Rozgląda się po pomieszczeniu, a kiedy mnie widzi, uśmiecha się nieśmiało. Ma na sobie cienką kurtkę w kwiaty i czarne spodnie. To musi być ona, żona Fabia. Kobieta, o której wczoraj mi mówił.

– *Ciao* – wita się, podchodząc. – Jak się czujesz? – pyta z troską wymalowaną na twarzy, choć przecież wcale mnie nie zna. – Jestem Sofia, mój mąż już ci o mnie ponoć wspominał.

– Tak. – Kiwam głową. – Był tutaj wczoraj. Powiedział, że wkrótce zobaczę się ze swoją córką. – To jest dla mnie najważniejsze.

– *Si* – uśmiecha się. – Franco jutro ją do nas przywiezie. Tak bardzo mi przykro, że cię to wszystko spotkało – mówi.

Nie powinna się tak czuć. Nie jestem dla niej nikim ważnym.

– Masz dzieci? – dopytuję. Jeśli nie ma, z pewnością nie może sobie nawet wyobrazić, jak to jest, kiedy nagle człowiek przekonuje się, że już nigdy ich nie zobaczy.

Ale ona potakuje. Promienieje, kiedy ją o to pytam. Siada na skraju mojego łóżka. Bardzo blisko. Jej obecność, w przeciwieństwie do obecności jej męża, nie napawa mnie lękiem.

– Dziewczynkę i chłopca. – W jej oczach wzbierają łzy, ale mimo to wciąż się uśmiecha. – Kiedyś opowiem ci swoją historię – dodaje głosem pełnym emocji, jakby jej przeszłość również nie była usłana różami. – Bardzo ich kocham i chcę, żebyś wiedziała, że doskonale cię rozumiem.

Na moment zapada cisza. Nie wiem, co mam jej powiedzieć. Ostatnimi dniami mojego życia mogłabym obdzielić całe miasto. Każdy dźwigałby jedno z moich doświadczeń i poczułby jego ciężar. Tymczasem targam to wszystko sama. I nie jest łatwo.

– Dlaczego to robicie? – Patrzę na nią, bo wciąż nie rozumiem, dlaczego ona i jej mąż tak bardzo się angażują.

– Ale co? – dopytuje, marszcząc brwi.

– Dlaczego mi pomagacie?

Rysy jej twarzy łagodnieją. Łapie mnie za rękę. Ma delikatne dłonie.

– Bo jesteśmy to winni Francowi. – Znowu o nim wspomina, podobnie jak jej mąż. – On o ciebie walczył, przez cały czas. Uparcie chciał cię szukać, bo miał wyrzuty sumienia, że po-

zwolił ci uciec – kończy, a ja zastanawiam się, co sobie o mnie myśli.

Swoim brakiem rozsądku uruchomiłam lawinę zdarzeń. Zaangażowałam w swoje prywatne sprawy ludzi, którzy mieli poukładane życie.

– Przepraszam – szepczę, bo ogarnia mnie potworny żal.

– Nie mnie powinnaś przepraszać – mówi.

Wiem, kogo ma na myśli. Popełniłam błąd, którego nie da się już naprawić. Mimo to Sofia wciąż tu jest i oferuje mi wsparcie.

– Kiedy powiedział mi, kim jest, postawiłam go na równi z człowiekiem, który zabrał mi tyle lat życia... – Łamię mi się głos.

– Nie potraktowałaś go sprawiedliwie. Ale nikt z nas nie jest idealny. Robimy głupie rzeczy po to, by potem móc je naprawiać. – Ściska mnie za dłoń, próbując dodać mi otuchy.

– Jesteś bardzo silną kobietą. – Patrzą na nią niemalże z podziwem. Przyszła do mnie i mówi mi to, co myśli. A ja chcę jej słuchać.

– Jestem – przyznaje. – Ale kiedyś było inaczej. Wiesz, co sprawiło, że dziś jestem w tym miejscu, w którym jestem? Moje doświadczenia. Moja miłość. I mój mąż, Fabio. – Widać, że bardzo go kocha. – W życiu – dodaje, choć nie spodziewałam się, że będzie kontynuować – nie zawsze warto kierować się pozorami. Kiedyś ktoś bardzo dobitnie mi to uświadomił. Ci, którzy na siłę będą mydląc ci oczy swoją dobrocią, często okazują się tymi, którzy pierwsi wpa-
kują ci w plecy nóż. Ludzie będą ci współczuć, a godzinę później pójdą do sąsiada i powiedzą mu, jaką jesteś niedorajdą. – Wstaje, zdejmuje torebkę z ramienia i wiesz ją na szafce znajdującej się obok mojego łóżka. – Pomogę ci się spakować – zmienia temat, przesuując stojak z krowłówką podpiętą do mojego wenflonu.

– Jesteś żoną gangstera, prawda?

Zatrzymuje się i patrzy mi prosto w oczy. Przez moment zaczynam żałować, że poruszyłam tę kwestię. Ale Sofia nie wygląda na nieszczęśliwą. Wręcz przeciwnie.

– Tak. – Zamyśla się na moment. – Jestem żoną gangstera – mówi to z podniesioną głową. Nie ucieka spojrzeniem. Nie ma zamiaru tego kryć. – Ale też żoną człowieka, który był i wciąż jest moim wielkim przyjacielem. Człowieka, który mnie uratował i który mnie pokochał, razem z całą moją przeszłością. A uwierz, podobnie jak twoja, moja też wcale nie była łatwa. Czy to, czym się zajmuje, powinno stanąć ponad tym, kim dla mnie jest? I co dla mnie zrobił?

Zapada cisza. Opuszczam głowę i zamykam oczy.

– Nie powinnam była o to pytać. – Nie chcę, żeby była na mnie zła.

– Powinnaś. – Uśmiecha się. – Każde pytanie to krok w przyszłość. Odpowiedzi na nie wzbogacają naszą wiedzę. Pytaj, *mia cara*, i obserwuj. Świat jeszcze nie raz może cię zaskoczyć.

Rozdział 26

FRANCO

Parkuję wóz przed sycylijską posiadłością rodziny Trovato. Odwracam się, by zerknąć na tył auta, a konkretnie na nosidełko, w którym leży mała Elena. Nie mogę uwierzyć w to, że udało nam się dotrzeć do celu. Po drodze musiałem się zatrzymać sześć razy. Sześć! Dobrze, że zabrałem ze sobą zapas mleka, które *nonna* przygotowała w specjalnym termosie. Czuję, jak schodzą ze mnie emocje. I, do licha, jakoś cholernie mi ciężko. Lepiej za dużo nie myśleć.

Odpinam pasy i wysiadam. Wyciągam nowe nosidełko, które sprawiłem małej w prezencie. Sięgam po torbę z ubrankami i pieluchami. Nie byłem najlepszym opiekunem, choć Bóg mi świadkiem, że naprawdę się starałem. Dzieci nie są takie koszarne, jak przypuszczałem. O ile akurat nie płaczą.

Uffa... Łapię się na tym, że bezsensownie stoję w miejscu. Przeciagam, a przecież mam do wykonania ważne zadanie. Na Elenę czeka jej mama. Giulia. Wczoraj trafiła pod dach Sofii i Fabia, u których już zawsze będę miał gigantyczny dług wdzięczności.

Po chwili wreszcie staję przed drzwiami willi, ale kiedy chcę nacisnąć dzwonek, słyszę, że ktoś otwiera.

– *Salve* – wita się ze mną ochroniarz *dona* – proszę wejść. – Nie każe mi czekać, przecież doskonale mnie zna.

– *Zio Franco* – rozlega euforyczny głos małej Ewy. – Pokaż nam dziadziusia.

Zaraz za dziewczynką biegnie jej mały brat.

– *Ciii*. – Przykładam palec do ust. – Bo ją przestraszycie. – Przykucam obok nich, pokazując im Elenę.

– Ale ona słodka. Jaka mała! – komentuje Eva.

– Ja jus jestem duży. O taaaaki! – Pręży się Filippo z podniesioną ręką. Wygląda zabawnie.

– Gdzie *papà*? – pytam.

– Tutaj. – Fabio wyłania się zza rogu. Kończy właśnie jeść, wkładając do ust kęs czegoś w rodzaju rogalika. – Idźcie umyć ręce – zwraca się do swoich dzieci. Ale musi powtórzyć, bo Elena tak skutecznie absorbuje ich uwagę, że zdają się go nie słyszeć.

Zostajemy sami.

– Wchodź dalej. – *Don* kiwa głową, bym ruszył za nim.

Przemierzam długi, wyłożony marmurem hol, aż w końcu docieram do salonu.

– Jak podróż? – Odwraca się w moją stronę.

– Trochę męcząca, biorąc pod uwagę fakt, że kiepska ze mnie niania. – Nachylam się nad małą i zdejmuję jej czapkę, żeby się nie zgrzała. W domu jest ciepło.

– Całkiem nieźle sobie radzisz – komentuje.

– Ty tak serio? – Patrzę na niego pełnym powątpiewania wzrokiem. – Fatalnie.
– Chciałem być uprzejmy. – Szczerzy zęby. Sięga po filiżankę z kawą. Potem zapija całość wodą. – Kawy, Franco?
– Przyda się. Ale najpierw muszę coś załatwić. Gdzie jest Giulia?
– Na górze. – Wskazuje palcem sufit. – Z Sofią. Spędzają ze sobą sporo czasu. Chyba się polubiły.

Jestem zaskoczony, choć to chyba dobra informacja. W końcu można się było tego spodziewać. Sofia, podobnie jak Giulia, sporo przeszła. I jest kobietą.

– Jak się czuje? – dopytuję. Słyszę, jak zaczyna walić mi serce. Myśl, że za moment ją zobaczę, wydaje się niepokojąca. Jakbym zaczął się obawiać swoich własnych emocji.

– Już znacznie lepiej. *Il dottore* powiedział, że to cud, że przy takich obrażeniach nie doznała pęknięcia czaszki. Ale musi być pod stałą opieką medyków. Pielęgniarka przychodzi do niej dwa razy w ciągu dnia, by podać jej kroplówki.

– Czyli w tym całym nieszczęściu miała farta – stwierdzam. Ale chcę mu powiedzieć coś jeszcze. Coś, o czym wspominałem mu już przez telefon naprawdę wiele razy. – Fabio... – Wbijam wzrok w swoje buty, bo wzruszam się jak szczeniak. – Naprawdę wam dziękuję. Wiem, ile nerwów kosztował cię ten pieprzony powrót do przeszłości.

– Trudno, Franco. – Klepie mnie po ramieniu. – Przynajmniej teraz mam pewność, że zamknęliśmy ten rozdział raz na zawsze. Obu nam było tego trzeba.

Mała zaczyna się wiercić. Kołyszę nosidełkiem, żeby ją uspokoić.

– Powinienem już do niej iść. Pewnie nie może się doczekać, aż zobaczy Elenę.

Don potakuje, a potem prowadzi mnie do jednego z wielu pokoi ulokowanych na piętrze jego wielkiej rezydencji.

Stoję niedaleko schodów, jedną ręką wciąż trzymając się poręczy. Kładę nosidełko na podłodze i pukam w drzwi, zerkając na zdobioną, mosiężną klamkę. Porusza się, a moim oczom ukazuje się Sofia. W sportowym dresie i ze związanymi włosami, a mimo to wciąż emanująca urodą.

– *Buongiorno*, Franco. – Wyciąga ręce, żeby mnie przywitać. Tuli mnie, jakby mój widok sprawił jej podwójną radość.

– Dość tych czułości – odzywa się za moimi plecami niezadowolony Fabio, ale wiem, że żartuje.

Sofia gromi go wzrokiem.

– Mała, cudowna Elena. – Kobieta przygląda się dziecku. – Wchodźcie.

Jej pozytywna energia nieco łagodzi stres, który nie wiadomo czemu mi towarzyszy. W głębi pokoju dostrzegam kawałek kobiecych stóp, a kiedy przekraczam próg, widzą ją całą. Giulia leży w łóżku i patrzy w naszym kierunku. Nasze spojrzenia krzyżują się tylko na krótką chwilę.

– *Salve* – mówi cicho, przenosząc wzrok na nosidełko.

– *Ciao*. – Jestem zmieszany. Zerkam na Sofię, po czym zmierzam w kierunku łóżka. – Przywiozłem ją, bardzo za tobą tęskniła... – Milknę, bo łamie mi się głos.

Giulia zaczyna płakać. Jej twarz wciąż jest napuchnięta, ma zszyty łuk brwiowy, ale i tak wygląda o niebo lepiej niż ostatnim razem, kiedy ją widziałem.

– *Mia bambina*. – Wyciąga rękę w kierunku dziecka. Odsuwa koc, którym jest przykryta. – Myślałam, że nie żyjesz. – Łka tak, że ledwo można ją zrozumieć.

Wyjmuję małą z nosidełka. Elena otwiera oczy i zaczyna krzywić buzię. Płacze.

– Już tutaj jestem – szepcze Giulia, biorąc ją na rękę. Tuli małą do piersi, a ta się uspokaja.

– Rozpoznała głos swojej mamy – komentuje stojąca tuż obok mnie Sofia. Jest wzruszona całą sceną, choć nie sądzę, by którakolwiek ze znajdujących się w tym pokoju osób czuła w tym momencie obojętność.

– Zostawmy Giulie i Franca samych – odzywa się *don*. – Chyba mają ze sobą do porozmawiania.

Wiem, że ten moment musiał nastąpić, ale wydaje się znacznie trudniejszy, niż przypuszczałem. Bardziej niezręczny. Jeszcze niedawno Giulia przede mną uciekała, nie chcąc mnie nawet znać. Teraz została zmuszona do tego, by przebywać ze mną w jednym pokoju. Nie mam pojęcia, co siedzi w jej głowie. Być może wciąż tak samo mnie nienawidzi.

Kiedy zamykają za sobą drzwi, zapada zupełna cisza. Zerkam na łóżko, ale cała uwaga Giulii skupia się na małej Elenie. Jestem tutaj zbędny. Niepotrzebny jak dziura w worku.

Być może powinienem wyjść. Ale nawet nie pożegnałem się z dzieckiem. Zdażyłem się do niego przyzwyczaić, choć przecież nie jest moje.

– Przywiozłem wszystkie ubrania dla małej, ale zostały na dole. W bagażniku mam też zapas pieluch – zaczynam, bo ktoś musi, ale spotykam się z brakiem jakiegokolwiek reakcji. Jakbym gadał sam do siebie. To wszystko nie ma sensu. – Pójdę już. – Podchodzę do klamki i na nią naciskam.

– Franco – odzywa się wreszcie Giulia.

Zerkam w jej kierunku, choć mam ochotę powiedzieć jej, że jeśli nie chce, wcale nie musimy ze sobą rozmawiać. Patrzy na mnie ze łzami w oczach.

– Chciałam podziękować ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. I... – Milknie na chwilę. – I chciałam cię przeprosić.

– Niepotrzebnie. – Staram się nie okazywać emocji, spycham je w głąb siebie. Nabieram powietrza w płuca i przez moment w ogóle nie oddycham. Udawanie, że to wszystko nie robi na mnie wrażenia, kiepsko mi wychodzi.

– Osądziłam cię. – Widać po niej, że tego żałuje. Jej usta drżą. – Osądziłam cię, wiedząc o tobie tak niewiele.

– Powiedziałas to, co leżało ci na sercu. – Marszczę brwi i odwracam się w bok. Rozmowa z Giulią twarzą w twarz zaczyna mnie przerastać, a przecież to dopiero początek. – Nie mam

ci tego za złe. – Dlaczego tak mi to ciąży? Czuję pieczenie w gardle i wiem, że tym razem nie jest ono oznaką przeziębienia.

Giulia kręci głową, jakby wcale się z tym nie zgadzała.

– Powinieneś wiedzieć, że ja tak o tobie nie myślę – dodaje niemal szeptem. – To był impuls. To te wszystkie wspomnienia, jakie zbierałam, do tego doprowadziły. Sparzyłam się na życiu, Franco. Widzisz, kim jestem. – Zaciska oczy. – Wrakiem człowieka.

– Nie płacz. To już nie jest czas na łzy. – Podchodzę bliżej niej. Siadam na krześle stojącym obok łóżka. Opuszczam głowę, bo nie chcę, żeby widziała, jak potwornie mi trudno.

Tak bardzo chciałbym ją przytulić. Ale nawet nie mam pojęcia, czy tak naprawdę mi ufa. Po piekle, które przeszła, nie będzie szukała tego, co mógłbym jej dać. I ta myśl boli mnie najbardziej.

Powiniennem się wycofać. Pozwolić jej żyć własnym życiem. Zrobiłem już wszystko, co było można dla niej zrobić. Ocaliłem ją i jej córeczkę. Właśnie tego ode mnie chciała. Z taką prośbą zjawiała się na progu moich drzwi. Poniekąd dotrzymałem słowa. A teraz moja rola zwyczajnie się kończy.

Ale gdyby powiedziała choć jedno słowo...

Na przekór rozumowi nie tak łatwo mi się wycofać. *Ahi!*

Wyciągam w jej stronę otwartą dłoń. Giulia na nią patrzy, po czym przenosi wzrok prosto na moje oczy. Ostrożnie podnosi rękę, jakby wahała się, czy powinna to zrobić. A potem mnie dotyka. Zamykam jej dłoń w delikatnym uścisku. Próbuję się do niej uśmiechnąć, ale jej oczy wciąż wyglądają na smutne. Wciąż pełne są łez.

– Wybacz mi. Przynoszę tylko problemy – kontynuuje, nie dając mi dojść do słowa, choć chciałbym zaprzeczyć. – Nigdy nie będę zwyczajną kobietą. To wszystko pozostawiło we mnie zbyt wielki ślad, bym mogła oczekiwać normalności. Nie ma na to szans.

Czuję się tak, jakby dawała mi do zrozumienia, że to, co zdarzyło się pomiędzy nami, było nieistotnym już teraz uczuciem. Błędem. Że to wszystko nie ma już najmniejszego znaczenia.

– Nie potrafię... – Nie kończy. Cofa swoją dłoń i wyciera nią mokre policzki.

Prostuję się i zerkam na drzwi. *Cazzo!* Tak bardzo mi źle.

– Na mnie już czas. – Wstaję. Ostatni raz patrzę na Elenę. Pochylam się nad nią i całuję ją w czoło. Mam wrażenie, że dom bez niej będzie dziwnie cichy i pusty. – *Ciao, bambina* – szepczę tuż nad jej główką.

Mała nie śpi. Patrzy na mnie, choć nie mam pojęcia, czy mnie rozpoznaje. *Nonna* wspominała, że ponoć tak małe dzieci widzą jak przez gęstą mgłę.

Jeszcze moment i stracę nad sobą kontrolę. A przecież nie mogę tu, kurwa, płakać. Nie jestem frajerem.

– *Ciao* – rzucam w kierunku Giulii, nie czekając już, aż zechce na mnie spojrzeć. Odwracam się i zmiierzam w kierunku wyjścia.

– *Arrivederci* – mówi, kiedy jestem już w progu. Nie próbuje mnie zatrzymać.

Cicho zamykam za sobą drzwi.

Stoję w miejscu, przy schodach prowadzących na dół, z przymkniętymi powiekami. Próbuję odzyskać równowagę. Ale moje myśli przypominają wojskowy poligon. Wielkie pobojo-wisko, na którym nie widać rychłych szans na regenerację. Mija chwila, nim ruszam przed siebie.

Muszę czym prędzej wrócić do Vieste i do mojego pieprzonego, zwyczajnego życia. Tego, które kiedyś przecież tak bardzo mnie cieszyło. Muszę odnaleźć dawny spokój i czymś się zająć. To nie powinno być aż tak skomplikowane.

Już dawno powinienem uświadomić sobie, że wszystko się kiedyś kończy. Nie wiem tylko, czemu w tym wypadku uwierzyłem, że może być inaczej.

– Franco – odzywa się niespodziewanie stojący na dole schodów *don*, czym wyrывa mnie z zamyślenia. Od razu widać, że to nie przypadek. Nietrudno się domyślić, że specjalnie tam na mnie czeka. – Musimy o czymś pogadać. – Wkłada ręce w kieszenie i jednym ruchem głowy wskazuje kierunek, w którym obaj powinniśmy się udać. Jego gabinet.

Idę za nim, a kiedy zamyka drzwi, opieram się o blat masywnego biurka i krzyżuję ręce na klatce piersiowej. Domyślam się, że sprawa, jaką mamy do omówienia, musi być poważna. Inaczej rozsiedlibyśmy się w salonie.

– Coś nie tak? – pytam, nie bardzo wiedząc, jaki temat chce poruszyć. Nic konkretnego nie przychodzi mi do głowy. Ostatnie dni wypruły mnie emocjonalnie do cna.

– *No, no*. Nie – zaprzecza. – Teraz mogę w końcu powiedzieć, że już wszystko gra.

Podchodzi do biurka i wyjmuję z szuflady zdjęcia. Odwracam się, by na nie spojrzeć, choć od razu domyślam się, co na nich jest. To fotografie przedstawiające związanego zakładnika. Jedna zrobiona z daleka, druga z bliska. Pomimo jego poobijanej twarzy jestem w stanie go zidentyfikować. Widzę, że Fabio zdążył się nim zająć. Pytanie tylko, dlaczego.

Marszczę czoło i przenoszę wzrok na *dona*.

– To przecież Mario. Jeden z typów od miejskiego monitoringu. – Stwierdzam, stukając palcem w zdjęcie. Czekam na dalsze wyjaśnienia, ale Fabio najwyraźniej postanawia grać na zwłokę. Jakbym miał sam dodać dwa do dwóch i domyślić się, dlaczego nagle ten człowiek trafił na nasz celownik. – Co zrobił? Przecież facet nieraz nam pomagał.

– Właśnie, Franco. *Vide cui fidas*. Patrz, komu ufasz. Sądzisz, że Sicario kręcił się niedaleko twojego domu, bo sam dotarł w te okolice?

Nie musi mówić nic więcej. Opuszczam głowę. Dramatyczne chwile z ostatnich dni znowu do mnie wracają. Jestem już tym wszystkim zmęczony. Wyczerpany. Nie daję sobie rady. Głośno i powoli wypuszczam powietrze z płuc.

– Vittorio ponoć nie miał dokładnych zamiarów na twój dom, ale wiedział, że Giulia musi przebywać gdzieś w jego pobliżu. Tyle wylała z nagrań. Mario przysięgał, że kiedy godził się na współpracę z Sicariem, nie miał pojęcia o tym, kim on tak naprawdę jest i że Giulia ma z tobą coś wspólnego. Wziął kasę w zamian za informacje. A kiedy dotarło do niego, w jakim

gównie ugrzązł, wolał siedzieć cicho i modlić się, by jego udział nie wypłynął na wierzch. Sica-rio kręcił się po okolicy, a kiedy Giulia wpadła w jego łapy, wykorzystał moment. Tylko na to czekał – tłumaczy Fabio i wzdycha. Nie ma zamiaru się nad nikim litować. – To jednak go nie usprawiedliwia. Chciałem cię spytać, co mamy z nim zrobić? W końcu ta sprawa dotyczy bardziej ciebie niż mnie.

Milczę. Nie wiem, co mam mu powiedzieć. To ja powinienem szukać zdrajcy. Tymczasem kiedy użalałem się nad sobą, Fabio zdążył już wszcząć śledztwo. Straciłem czujność.

– Nie wiem, *don*. Ja już nic nie wiem.

Fabio od dawna nie widział mnie w takim stanie. Do diabła, chyba jeszcze nie było takiego okresu w moim życiu, bym czuł się tak, jakby ktoś przeżuł mnie i wypluł. Dosłownie. Jestem pieprzoną papką.

Podchodzi do mnie i kładzie rękę na moim ramieniu. Kiwa głową, jakby mnie rozumiał.

– Odpocznij, *mio fratello*, bracie. – Klepie w mój bark otwartą dłonią, jakby chciał dodać mi otuchy.

Kiedy patrzę mu prosto w oczy, czuję jego wsparcie.

Ma rację. Chyba powinienem odpocząć.

Rozdział 27

GIULIA

Wpatruję się w miejsce, w którym niespełna dwie godziny temu stał Franco. Jest boleśnie puste. Tak bardzo żałuję, że pozwoliłam mu odejść, nie mówiąc tego wszystkiego, co chciałam mu powiedzieć. Ale czułam, że nie mam prawa dłużej wciągać go w swoje życie. Już wystarczająco się nacierpiał. Nie taka przyszłość jest mu pisana. A cóż ja mogę mu dać? Nie wniosłabym w jego codzienność nic oprócz swojego ciężkiego bagażu, który musiałby dźwigać razem ze mną. Nie zasługuje na taki los. Tak jak ja nie zasługuję na niego.

Tulę do siebie mojego małego aniołka. Jest jak światło pośród tego mroku, z którego udało nam się wyłonić. Całuję czołko córeczki. Przysuwam nos do jej ciemnych włosów. Pachnie. Ma na sobie zapach Franca. Zamykam oczy i czuję, jak powoli pęka mi serce.

Kiedy złapał mnie za rękę, na chwilę uwierzyłam w to, że mogę być jeszcze coś warta. Ale szybko przypomniałam sobie, że nie mogę być aż tak samolubna.

Słyszę pukanie do drzwi, które zaraz się otwierają. Do pokoju wchodzi Sofia razem ze swoimi dziećmi. Siadają obok mnie i przyglądają się Elenie.

– Jaka ona malutka – powtarza Eva.

Sofia co rusz upomina syna, by uważał. Mam wrażenie, że oboje zaraz skoczą mi na głowę. Ale są tacy kochani. Zastanawiam się, jak będzie wyglądała Elena, kiedy osiągnie ich wiek. Do kogo będzie podobna?

Eva to cała mama. Ma ciemne, długie włosy, pełne usta i okrągłe oczy. Filippo z kolei, bardzo ciekawy świata, przypomina raczej Fabia. Choć czasami mam wrażenie, że robi dokładnie takie same miny jak Sofia. Tworzą rodzinę, której chyba zawsze będę im zazdrościć. Wystarczy zobaczyć, jak Fabio patrzy na swoją żonę, a już widać, że zrobiłby dla niej wszystko. Bije od nich miłość, a mają jej w sobie tyle, że stać ich jeszcze na pomoc innym ludziom. Takim jak ja.

– Eva, weź brata i idźcie zagrać w domino. Za chwilę do was dołączę – mówi Sofia.

Dopiero teraz widzę, że trzyma w ręce torbę i paczkę pieluch. To o tym mówił Franco.

Sofia w milczeniu przypatruje się, jak dzieci niechętnie opuszczają pomieszczenie, a potem siada na krześle tuż obok mnie.

– Jak się czujesz? – pyta. – Jak to było znowu ją zobaczyć? – Nachyla się nad Eleną. – Miałam wrażenie, że Filippo to malec, ale przy tej kruszynie wydaje się już naprawdę sporym kawalerem. – Uśmiechając się, mruży oczy.

– Kiedy ją ujrzałam, to było, jakby urodziła się na nowo – odpowiadam. – Ja naprawdę myślałam, że ona trafiła w ręce ludzi, którzy wyrządzą jej wielką krzywdę. Vittorio zawsze powtarzał, że jeśli zdecyduję się ją urodzić, będzie ją czekać los znacznie gorszy niż śmierć... – Łamię mi się głos. – To straszne, ale momentami modliłam się, żeby szybko umarła. By nie mu-

siała cierpieć zbyt długo. Jaka ze mnie matka, skoro życzyłam tego swojemu dziecku? – wydu-
szam z siebie, z trudem powstrzymując się od płaczu.

Sofia łapie mnie za rękę.

– Rozumiem cię, Giulia. Naprawdę cię rozumiem. – Wygląda tak, jakby mi współczuła. Na
jej twarzy widać czystą troskę. – Chciałaś dla niej jak najlepiej. Ale teraz możesz już być spo-
kojna. To, co złe, jest za wami – kończy i sięga po torbę. Podnosi ją, kładzie na swoich kola-
nach i rozsuwa zamek. – Posłuchaj – zmienia temat, skupiając się na zawartości pakunku –
Franco przywiózł tutaj ubrania dla małej. I część twoich. – Wyciąga wszystko po kolei i kła-
dzie na stoliku. – Są też pieluszki. Jest tego więcej, ale część została na dole. Potem doniosę.

– Już pojechał? – dopytuję.

– Si – potwierdza. – Ale dopiero przed chwilą. – Przez moment uważnie mi się przygląda.
– Szybko stąd wyszedł – dodaje, niby mimochodem, a potem przechodzi do dalszego rozpa-
kowywania.

– Nie chciałam zawracać mu głowy... – Milknę i przetykam ślinę, próbując nawilżyć zupe-
łnie suche gardło. Tak bardzo mi ciężko. – Poza tym, on chyba nigdy nie będzie w stanie wyba-
czyć mi tego, jak go potraktowałam. Moich słów nie da się już wymazać.

– Jestem pewna, że Franco już ci wybaczył. – Odkłada pustą torbę na ziemię i wsuwa ją
pod łóżko. – To naprawdę dobry człowiek. – Zamyśla się na chwilę. – Giulia, posłuchaj mnie
uważnie, chciałam ci coś powiedzieć, choć nie powinnam tego robić.

Prostuję się, bo widzę, że chce przekazać mi coś bardzo ważnego.

– Franco nie chciał, żebyś o tym wiedziała. Stwierdził, że nieświadomość bywa czasem
wygodniejszą opcją, a przeszłości nie da się już zmienić. Ale... Ale ja uważam, że w tej całej sy-
tuacji ta prawda ci się należy.

– O czym ty mówisz? – pytam. Zaczyna łomotać mi serce. – Jaka prawda? Czy znowu coś
się stało?

Sofia powoli wypuszcza powietrze z płuc. Zaciska usta, jakby nagle się rozmyśliła.

– Proszę, kontynuuj – nalegam.

– Powiedz mi, czy pamiętasz swoich prawdziwych rodziców? Swoje dzieciństwo sprzed
adopcji?

Nie wiem, czemu porusza ten temat. Cóż ma to mieć wspólnego z obecną sytuacją?
Marszczę czoło, próbując skupić się na znaczeniu jej słów, ale nic sensownego nie przychodzi
mi na myśl.

– Tak, pamiętam – potakuję.

– Kim byli twoi rodzice? – brnie w to dalej. – Oni zginęli w wypadku, prawda?

Zginęli. Wtedy po raz pierwszy zawałił się mój świat. Przemijające lata zdążyły zatrzeć
wiele wspomnień. Pozostały tylko nieliczne obrazy: wspólne posiłki, twarz uśmiechniętej
mammy, prezenty, jakie przynosił mi *papà*. Kim byli? O to pyta mnie Sofia? Firmowiec. To sło-
wo mocno zakorzeniło mi się w pamięci.

– Ojciec był przedsiębiorcą. Tworzyliśmy szczęśliwą rodzinę, taką jak twoja. Dopóki nie zginęli. – Przyglądam się jej zupełnie zdezorientowana, ale ona wciąż nic nie mówi. Milknę, oczekując tego, że w końcu wytłumaczy mi, po co to wszystko.

– Widzisz... – Urywa.

– Powiedz, Sofia. Powiedz to, co chciałaś mi przekazać – zachęcam ją, bo boję się, że nie poznam prawdy, jaką jeszcze przed momentem chciała wyznać.

– Możliwe, że twoi rodzice nie zginęli przypadkiem.

Nastaje dziwna cisza.

– Jak to? – pytam.

Podnosi na mnie wzrok, który do tej pory uparcie wbijała w podłogę.

– Ludzie Franca dotarli do informacji na temat twojej rodziny. I wiele wskazuje na to, że Sicario, którzy potem przyjechali razem z tobą do Vieste, po prostu ich wyeliminowali. Ty też miałaś zginąć razem z nimi, ale nie było cię wtedy w samochodzie.

– Ale dlaczego? Przecież byli znajomymi. Spotykali się. Miałam wrażenie, że się przyjaźnią.

Santo Cielo. Boże.

Miałam zginąć razem z nimi? Co to w ogóle za podejrzenia? Brednie. Jej słowa huczą mi w głowie. Tworzą jeden, wielki chaos.

– W interesach relacje nie zawsze okazują się takie, jakimi się wydają. Czas wiele weryfikuje.

– W jakich interesach? – Nic z tego nie rozumiem.

Przecież rodzina Sicario trudniła się nielegalną działalnością. To byli gangsterzy, którzy, jak się potem okazało, bez mrugnięcia okiem zamordowali wielu swoich konkurentów.

Powoli dociera do mnie to, co Sofia chce mi przekazać. Ale to nie jest możliwe.

– Chyba już wiesz, co mam na myśli, prawda? – próbuje mnie wybadać.

Jestem w tak wielkim szoku, że trudno mi się odezwać. Chcę zaprzeczyć, ale wszystkie elementy tej dziwnej układanki po prostu do siebie pasują. Drogie prezenty, dziwna mina *mammy*, kiedy pytałam, czym zajmuje się *papà*, i fakt, że nigdy nie zabrał mnie ze sobą do pracy, choć wiele razy go o to prosiłam.

Ale to niemożliwe. Sofia nie powinna ich oczerniać. Nie ma prawa mówić mi takich rzeczy. Mój ojciec był uczciwym człowiekiem. Dbał o nas, jak tylko mógł, tulił *mammę* i mnie. Był z nami blisko.

– Moi rodzice... – Głos więźnie mi w gardle. – To była mafia – wyrzucam z siebie zdanie, którego tak bardzo się boję. – To chciałaś mi powiedzieć?

Patrzy na mnie jeszcze przez chwilę. Milczy i tylko nieznacznie potakuje.

Kręci mi się w głowie, więc opieram ją na poduszce.

– Wszystko w porządku? – Sofia zaczyna się o mnie martwić. – Przykro mi, że dowiedziała się tego dopiero teraz.

– *Boh...* Tak – szepczę, choć w tym momencie chyba nic nie jest w porządku.

Kim więc jestem? Człowiek pozbawiony przeszłości nie jest chyba nikim. Nie znam swoich korzeni. Nigdy nie miałam okazji poznać swoich dziadków. Jak się okazuje, nawet moi rodzice mieli przede mną tajemnice.

– Dorastałam karmiona kłamstwami...

– A mimo to ich kochałaś – kończy za mnie.

Widziałam w nich ludzi, których chciałam widzieć. Kochałam rodziców nie za to, kim byli, ale za to, jacy byli. Bezwarunkowo. Reszta nie miała dla mnie znaczenia.

Wiem już, co chce mi przez to przekazać.

– Byłam taka głupia. – Zaciskam usta.

– Nie byłaś. Nigdy tak o sobie nie mów, a wiesz dlaczego? – Zawiesza na chwilę głos. – Bo słowa mają dziwną moc i wcale nie mam tutaj na myśli magii. – Głaszcząc mnie po włosach. – Wiesz co, Giulia? Zrobię nam coś do picia. Myślę, że to już czas, żebyś opowiedziała ci swoją własną historię.

Rozdział 28

FRANCO

Wnętrze klubu rozbrzmiewa brzękiem szklanych kieliszków wypełnionych drogim szampanem. Didżej właśnie zapodaje kolejną, cholernie smętną piosenkę. Dorotea patrzy na mnie tak, jakby chciała zatańczyć. Dzisiaj są jej dwudzieste piąte urodziny. Obiecałem, że się zjawię, choć impreza to ostatnie, czego teraz mi trzeba. Za godzinę lub dwie zwyczajnie się zmyję i wrócę do domu. Żeby spędzić tam kolejną, bezsenną, popapraną noc. Łudziłem się, że towarzystwo innych ludzi pozwoli mi się trochę rozerwać.

Nic z tego.

– Idź – mówię jej, wskazując na parkiet.

– *Certo*. No pewnie. Będę bujać się do takiej nuty sama – burczy niezadowolona.

Sięgam po szklankę z whisky i wypijam ją jednym haustem. Dorotea na moment się rozchmurza.

– Dawno nie widziałam, żebyś tyle pił. Odreagowujesz, co? Mamuśka dała ci popalić. – Szczerzy białe zęby, choć nie ma bladego pojęcia, co tak naprawdę wydarzyło się w moim życiu.

A wydarzyło się, kurwa, naprawdę dużo. I nie potrafię się pozbierać.

– Będziesz łatwiejszy. – Sugestywnie porusza brwiami i sięga po butelkę z brązowym płynem. Odkręca ją, chcąc nalać mi kolejną porcję.

Wkurza mnie. Łapię za butelkę i wyjmuję ją z jej dłoni. Odkładam ją z powrotem na stół.

– Chodź. – Biorę ją za rękę i prowadzę na parkiet.

Muszę odreagować. Muszę przestać myśleć bez przerwy o tym, co było. To przeszłość. Pieprzone dramaty, pośród których po prostu zacząłem się gubić. Nie chcę do tego wracać.

Czuję, jak procenty zaczynają docierać do mojego mózgu. Szumi mi w głowie. Wmawiam sobie, że będzie lepiej.

Dorotea uwiesza się na mojej szyi, przypominając mi o swojej obecności. Pachnie tequilą, której dzisiejszego wieczoru wyraźnie nadużywa. Wodzi palcami po moich plecach. To całkiem przyjemne. Zerkam na nią z góry. Patrzy na mnie, a jej oczy są ledwo widoczne z za ekstremalnie długich rzęs.

– Chciałabym się tutaj przytulić. – Wskazuje moją klatkę piersiową i rozpiną guzik mojej czarnej koszuli. – Ale boję się, że pobrudzę cię pudrem. Nie byłbyś zadowolony. – Przygląda się mojej reakcji.

– W takim razie lepiej tego nie rób – odpowiadam – jeśli chcesz, żebym jeszcze trochę został. – Próbuję się uśmiechnąć, i robię to. Po wypiciu odpowiedniej dawki alkoholu niektóre rzeczy naprawdę stają się łatwiejsze.

– Masz smutne oczy. – Sunie kciukiem po mojej brwi. – Mogę ci pomóc, Franco.

– Nie potrzebuję niczyjej pomocy – parskam z ironią. – Nawet twojej.
– Moglibyśmy pójść do łazienki – sugeruje, nachylając się w stronę mojego ucha.
– Może potem – odburkuję, bo chcę, żeby wreszcie dała mi spokój.
– Tak? – rzuca mi wyzwanie. – Stęskniłam się za tym, wiesz? – Staje na palcach i całuje mnie w usta. Zaledwie przez moment.

Doskonale wiem, co ma na myśli. Próbuję sobie przypomnieć, kiedy pieprzyliśmy się ostatni raz, ale mój umysł wypiera z pamięci podobne sceny. Ostatnie dni są tylko zlepkiem obrazów przedstawiających coś zupełnie innego. Giulię i jej dziecko.

Cazzo!

– Ja też – odpowiadam.

Stęskniłem się za normalnością. Za przeszłością, w której wszystko było łatwiejsze. Przyciągam ją do siebie. Chcę poczuć pożądanie, jakie zawsze we mnie budziła. W tym całym bałaganie tylko ona wydaje się czymś swojskim. Ułamkiem dawnego mnie. Czymś, co nie uległo zmianie. Może być kluczem do mojego powrotu do normalności.

Ale nie czuję nic.

Kiedy kończymy tańczyć, wypijam kolejną szklanekę whisky. Jej smak łagodnieje wraz z każdą kolejną porcją. Tym razem nie oponuję, kiedy Dorotea nalewa mi więcej.

A potem lądujemy w łazience. W jednej z ciasnych i niewygodnych kabin, przed którymi zawsze się wzbraniałem. Dorotea zamyka drzwi na rygiel. Patrzą na nią, kiedy zdejmuje ramiączka sukienki. Nie zamierza tracić czasu. Jej nagie piersi prężą się w moją stronę. Łapię ją za tyłek i podnoszę. Oplata mnie nogami, eksponując długą szyję, na której wisi złoty łańcuszek z koniczyną. Ten sam, który podarowałem jej dzisiaj na urodziny. A więc zdążyła rozpakować prezent. Zatapiam się w jej skórze, sunąc językiem w kierunku sterczących sutków.

Jest mi trochę niedobrze. Przesadziłem z piciem. Robię się zmęczony. Dorotea staje na nogach i schyla się, by rozpocząć zmagania z moim paskiem.

– Posłuchaj – mruczę, ale ona nie reaguje. – Dorotea – dodaję.

Zerka na mnie w górę. Jej oczy płoną pożądaniem. Znam ten wzrok. Ale, kurwa, po prostu nie mogę.

– Nie dam rady – odpowiadam.

– Co ty pieprzysz? – złości się. Przez chwilę myśli, że chcę jej tylko dokuczyć. Sprowokować ją. Nie przestaje i odpina guzik moich spodni.

Przytrzymuję jej nadgarstki.

– *Perdonami*. Przepraszam, ale ostatnio zbyt wiele się wydarzyło – dukam.

– Super! – krzyczy. – Brawo, Franco. – Jeszcze przez chwilę patrzy mi prosto w oczy. Nerwowo naciąga na ramiona błyszczącą sukienkę, w której wygląda naprawdę pięknie. – Nie wszystko wróciło do normy, tak? A co, jeszcze udawanie tatusia ci w głowie? Mało masz niączenia tego... dzieciucha? – Zdaje się, że z trudem powstrzymuje się od użycia gorszego określenia. Jest sfrustrowana. Ma do tego prawo.

– Nie bądź wredna. – Nie czuję złości. Jedynie ten cholerny, męczący żal.

Pieprzony żal, którego wszędzie dookoła pełno.

– Nie jestem. – Unosi głowę, ale widzę, że uraziłem jej dumę. – Tylko nie wiem, na ile jeszcze wystarczy mi cierpliwości, żeby na ciebie czekać – syczy przez zaciśnięte zęby. Łapie za zasuwkę drzwi.

– Nie trzymam cię, Dorotea. I nie chcę, żebyś na mnie czekała. – Staram się być opanowany.

Otwiera usta.

Milczę. Mija sekunda. Potem kolejna.

– Nienawidzę cię, Franco! Traktujesz mnie jak szmatę. – Zaciska pięści. – Spotykasz się ze mną tylko w jednym celu. Zawsze to samo. A kiedy chciałabym czegoś więcej...

– Czy kiedykolwiek obiecałem ci coś więcej? – pytam. – Powiedz, Dorotea. Odpowiedz na moje pytanie. – Patrzę na nią wyczekująco, ale z jej ust nie pada ani jedno słowo. – Może to dobry czas, by dać sobie z tym wszystkim spokój. – Cholernie mi przykro, że mówię to właśnie w dzień jej urodzin. Nie tak miało być, ale nie spodziewałem się, że nasza rozmowa potoczy się w podobnym kierunku.

Ona też się tego nie spodziewała. Ściąga brwi, próbując zrozumieć sens moich słów. Przykrywa usta dłonią i wybiega, zostawiając mnie samego.

Staję przed lustrem i opłukuję twarz zimną wodą. Zerkam w szklaną taflę i widzę swoje przekrwione oczy.

Słyszę szcęk otwieranego rygla. Odwracam się zaskoczony, kiedy z sąsiedniej kabiny wychodzi jakiś typ. Nie miałem pojęcia, że oprócz nas ktoś tutaj był.

Zresztą, teraz mam to wszystko gdzieś.

Staje obok mnie, jakby chciał mi coś powiedzieć. Ma przydługawe włosy, które z jednej strony prawie zachodzą mu na oczy, i tępy wyraz twarzy, który od razu mi podpada.

– Stary, jesteś chyba ślepy – odzywa się. – Dorotea to niezła szmata. Pamiętam, jak obciagała mi w aucie. Gdyby mi to dzisiaj zaproponowała, to bym się nie wahał.

Mam wrażenie, że wcześniej celowo się nie ujawniał. Zwyczajnie nas podsłuchiwał.

Dębieję. Uważnie przyglądam się jego odbiciu w lustrze.

– Co ty powiedziałeś? – Odwracam się w jego stronę.

– Szmata, *la puttana*, kurwa – wylicza. – A co? – Wzrusza ramionami, jak gdyby nigdy nic. – Mam powiedzieć *santa*, świętoszka? – Śmieje się głośno.

Puszczają mi nerwy. Widzę, jak jego oczy rosną, kiedy uświadamia sobie, że jest już za późno. Zaciskam pięść i trzaskam go prosto w tę głupio roześmianą mordę. Uderza plecami o ścianę i osuwa się na ziemię.

Już nie jest mu do śmiechu.

– Pojebało cię? – pyta, próbując zatamować cieknącą pomiędzy palcami dłoni krew z nosa. W okamgnieniu przestaje być rozmowny.

Ciekawe, co by zrobił, gdybym wyciągnął teraz spluwę. Pewnie ze strachu zesrałby się w gacie. To taki typ.

Olać go.

– Następnym razem uważaj na dobór słów, kiedy już będziesz komuś opowiadać o swoich erotycznych podbojach.

Potem wychodzę na zewnątrz, po drodze odbierając z szatni swój czarny płaszcz, dzwonię po czekającego na mnie Biagia i wracam do domu.

Rozdział 29

FRANCO

Głośne basy piosenki, przy której tłum ludzi dosłownie szaleje, dudnią mi w głowie. Opieram się o skórzaną tapicerkę boksu i zerkam na wyuzdaną tancerkę prężącą się przed nami na rurze. Domenico, który siedzi obok mnie, aż ślini się na jej widok. Zapewne już wyobraża sobie, co będzie z nią robił po zakończeniu imprezy. W końcu to właściciel tego klubu. Starszy typ z raczej mało atrakcyjną facjatą. Choć osobiście nic do niego nie mam.

– Jeszcze szklaneczka Glenlivet? – Domenico próbuje przekrzyczeć muzykę.

Szczerze powiedziawszy, chętnie zamieniłbym lożę VIP na jego prywatne biuro. Znacznie łatwiej byłoby załatwiać interesy.

– Dzięki. – Kiwam głową, że nie, bo naprawdę mam już dość. W ciągu ostatniego tygodnia wypilem chyba więcej whisky niż w ciągu całego życia. Najwyższy czas z tym skończyć.

Stojąca obok mnie, skąpo ubrana kelnerka odchodzi.

– Nie jesteś dzisiaj w humorze, co? – pyta Domenico. Nawet on to zauważa.

Co jest ze mną nie tak? Próbuję żyć normalnie i mam wrażenie, że całkiem nieźle mi idzie. O co, kurwa, wszystkim dookoła chodzi?

Nabieram powietrza w płuca.

– Bywa i tak – odpowiadam. – Będę się zmywał. – Zerkam na złotego portugiesera znajdującego się na moim nadgarstku. Dochodzi dopiero dziewiąta. W zasadzie wpadłem tutaj tylko po hajs. Dobiliśmy targu, więc spadam.

– Franco – zatrzymuje mnie – jeszcze jedno.

Kiwam mu, żeby gadał.

– W następnej dostawie chciałbym podwoić ilość zamówionego towaru. Popyt przerasta moje możliwości. – Zaciąga się fajką i wypuszcza dym gdzieś w bok.

– Czy to nie ty powiedziałeś mi rok temu, że kolumbijska koka nie urywa dupy? – parskam śmiechem.

Zaciska szczękę. I patrzy na mnie tak, jakby rzucił mi jakieś wyzwanie. W końcu mięknie.

– Umiem się przyznać do błędu – mówi. – Myliłem się.

Szanuję taką postawę. Nie odrywam od niego wzroku. Milczę jeszcze przez krótką chwilę.

– Zobaczymy, co da się zrobić – odpowiadam dość oszczędnie w słowach. Gdybym spełniał wszystkie zachcianki, ludzie za chwilę weszliby mi na głowę, a na brak forszy przecież nie narzekam. Monopol na danym obszarze daje mi cholernie wielkie możliwości.

Zabieram torbę z pieniędzmi i daję znak mojemu ochroniarzowi, że na nas już czas. Próbuję się przedrzeć przez kolejkę ludzi stojących przy barze, wdychając okropny zapach potu, jaki roznosi się dookoła. Przydałoby się przewietrzyć to miejsce, bo w środku jest piekielnie duszno.

– *Ciao*, przystojniaku. – Ni stąd, ni zowąd wyrasta przede mną jakaś dziewczyna. Klei się do mojej klaty i patrzy na mnie zalotnie. – Może chciałbyś się zabawić? – pyta, przerzucając przez ramię swoje długie, spięte w kucyk włosy.

– *Non oggi*. Nie dziś – zbywam ją i chcę ruszyć dalej. Pierwszy raz widzę ją na oczy. Ale mimo moich słów wciąż kurczowo trzyma mnie za koszulę. Co jest?

– Nie wiesz, co tracisz.

Robi się męcząca.

– Nieszczęśliwie nad tym ubolewam. – Jeszcze chwila i zrobię się naprawdę nieuprzejmy.

Puszcza mnie dosłownie w ostatnim momencie. Zmierzam w kierunku wyjścia, a gdy opuszczam lokal, delektuję się wdechem naprawdę świeżego powietrza.

Podchodzę do czarnego vana i łapię za drzwi od strony pasażera. Ochroniarz siada za kierownicą i uruchamia silnik. Wyjmuję z kieszeni telefon i widzę, że Sofia próbowała połączyć się ze mną aż trzy razy. Coś musiało się stać. W interesach zawsze kontaktuję się z *donem*. Z nią łączy mnie tylko jeden temat.

– Zaczekaj chwilę – mówię do ochroniarza. Rzucam torbę na wycieraczkę pod siedzeniem i odchodzę parę metrów dalej.

Wybieram numer Sofii. Opieram się o betonowy murek, mając przed sobą oświetlone wejście do klubu.

Odbiera po kilku sygnałach.

– *Salve* – zaczynam. – Mam nadzieję, że cię nie obudziłem, ale widzę, że dzwoniłaś. Stało się coś? – Nie pozwałam jej dojść do słowa, ale naprawdę się niepokoję.

– Nie obudziłeś, spokojnie, Franco. Przerwałeś mi tylko romantyczny wieczór z moim mężem – śmieje się.

– *Don* w odwecie pozbawi mnie palca. Albo mnie wybebeszy. Postaram się przeżyć – komentuję, ale wciąż zastanawiam się, po co dzwoniła.

– Spróbuję go przekonać, żeby tego nie robił.

W tle słyszę niewyraźny głos Fabia, ale nie rozumiem, co mówi.

– Rozpraszasz mnie – karci go Sofia, najwyraźniej odsuwając słuchawkę od ust. – Przepraszam – wypowiada wyraźniej, więc domyślam się, że te słowa kieruje już do mnie. – Franco, dzwoniłam, żeby ci powiedzieć, że Giulia wyjechała. – W słuchawce zapada cisza.

– Ale jak to wyjechała? – Mam wrażenie, że czegoś nie zrozumiałem.

– Po południu spakowała rzeczy i poprosiła, by pomóc jej dostać się do klasztoru w Turynie. Tam, gdzie docelowo miała trafić, by stanąć na nogi.

Wbijam wzrok w ziemię. Wzdycham. Tak cholernie mi ciężko. Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale w moi umyśle nagle zapanowała przerażająca pustka.

– Jesteś tam? – upewnia się.

– Jestem.

– Giulia powiedziała, że nie chce być dla nas ciężarem. Że powinna nauczyć się samodzielności i że im dłużej będzie z tym zwlekać, tym potem będzie jej trudniej – kontynuuje Sofia. – Przysięgam, Franco, że robiliśmy wszystko, żeby było jej u nas dobrze – dodaje przejęta.

– Przestań. – To absurd. Wiem, ile dla niej zrobili. – To był jej wybór. Skoro tego chciała... – Nie kończę, bo nie wiem jak. Sądziłem, że po tym wszystkim, przez co razem przeszliśmy, będzie chciała się chociaż pożegnać.

– Dzwoniłam do ciebie, ale nie odbierałeś. Zresztą i tak nie zdążyłbyś tutaj przyjechać. Powiedziała nam o tym tak nagle.

Czuję się tak, jakby ktoś położył mi na klatce piersiowej co najmniej stukilowy kamień. Oddychanie staje się męczące.

– *Certo*. Jasne. – Próbuję zachować optymistyczny ton. Sofia nie potrzebuje słyszeć mojego przygnębienia. Zresztą, muszę być kretynem, skoro znowu tak się przejąłem. – Dzięki za wieści. *Buona notte. Ciao* – żegnam się z nią i wyłączam komórkę.

Jeszcze przez chwilę stoję w bezruchu, wgapiając się tylko w jeden punkt. Na zewnątrz wyglądam jak oaza spokoju, choć w środku wszystko we mnie chodzi.

– Kurwa! – Odwracam się i uderzam zaciśniętą pięścią w betonowy mur. Jeden cios skutecznie zdiera mi skórę z knykci. Nie potrafię zapanować nad własnymi emocjami.

Pochodzę do auta, pociągam za klamkę i siadam na fotelu pasażera.

Ochroniarz widzi, że coś się stało. Przygląda mi się, a mimo to nie pyta. Wie, że to nie byłoby najmądrzejsze posunięcie.

– Jedź – mówię mu. Podnoszę z wycieraczki czarną torbę z hajsem i kładę ją sobie na kolanach.

Kasa, która jeszcze przed godziną cieszyła moje oczy, teraz nie ma już dla mnie żadnego znaczenia.

Rozdział 30

GIULIA

Robię znak krzyża i siadam na krześle. W pomieszczeniu rozlega się dźwięk przesuwanych, drewnianych mebli. Modlitwa poprzedza tutaj każdy posiłek. Przebywając od dwóch dni w domu dla samotnych matek prowadzonym przez siostry klaryski zdążyłam się do tego przyzwyczaić. Przy długim, solidnym stole siedzi kilkanaście kobiet. Są dla mnie zupełnie obce, choć łączy nas jedno. Dzieci. Prawie wszystkie je mamy, z wyjątkiem trzech dziewczyn, które jednak są już w mocno zaawansowanej ciąży.

Nie szukam tutaj przyjaźni. Patrzą na mnie jak na dziwoląga, ale wciąż milczę. Nie zamieniłam słowa prawie z nikim. Może oprócz Orsoli, która właśnie siedzi obok mnie i której dosłownie nie zamyka się buzia. Przyszła do mnie już wczoraj i opowiedziała mi swoją historię.

Allora. Wiem, że siostry przygarnęły ją do siebie tuż po tym, jak zaszła w ciążę z żonatym mężczyzną. Nie poczuwał się do wychowywania dziecka i nie zamierzał porzucić własnej rodziny, o której nagle sobie przypomniał i która z dnia na dzień stała się dla niego ekstremalnie ważna. Rodzice Orsoli wyrzucili ją na bruk, bo nie wpisywała się w idealny obraz ich nienagannie prowadzonego domu. To przykre, ale takich scenariuszy z pewnością jej tutaj wiele. Szczęśliwi ludzie z poukładanym życiem nie trafiają do takich miejsc. Zostają we własnych, pięknych domach.

Orsola kładzie rękę na dużym brzuchu. Drugą właśnie opróżnia talerz zupy. Wygląda na odważną dziewczynę. Ma tatuaże i kolczyk w brwi. Początkowo sprawiała wrażenie mało przyjaznej, ale pozory znowu okazały się bardzo mylące. Po naszej wczorajszej rozmowie wiem, że pod grubą skorupą kryje się naprawdę wrażliwe serce.

Zerkam na Elenę, która śpi w przygotowanym tutaj dla niej, wysłużonym wózku. Nie przeszkadza jej panujący dookoła gwar.

Dziwnie się tu czuję. Rozglądam się dookoła. Wszystko jest dla mnie nowe. Nie potrafię przywyknąć, ale to chyba normalne. Czas wiele zmieni, a i tak nie planuję przecież zostać tutaj na zawsze.

Marzę o samodzielności i będę do niej dążyć. Pójdę do pracy, kiedy tylko będzie to możliwe. Nie ma zajęć, których bym się nie podjęła. Mogę sprzątać, pracować, gotować, pracować w rzeźni czy zbierać śmieci na ulicach. W końcu za każdą z tych prac dostaje się pieniądze, dzięki którym można żyć.

Biorę do ust pierwszą łyżkę zupy minestrone. Smakuje dobrze, choć nie umywa się do tej, którą robiła *nonna*. Nie powinnam teraz przywoływać takich wspomnień. Wczoraj moja poduszka była cała mokra od łez. Wierzyłam w to, że dziś będzie mi lżej.

– Ty, *bimbeta*, dziecinko – mówi Orsola.

Wiem, że zwraca się do mnie, bo już wczoraj tak mnie nazywała.

– Darłaś się przez całą noc. Wszystko w porządku? – pyta zmartwiona.
– Obudziłam cię? – Zaczynam się denerwować. Nie miałam pojęcia, że krzyczałam. Choć mogłam się tego domyślić. Znowu miałam koszmar. Ciężko kontrolować sny, a te powracają. Nie odpuszczają, choć wystarczająco wiele już przeszłam.

– Si – potakuje – ale nie przejmuj się. To nie twoja wina. – Nie jest na mnie zła. – Ściany są tutaj zrobione chyba z papieru. Nawet bąka puścić nie można, bo słychać na drugim końcu korytarza – śmieje się głośno.

Emanuje pozytywną energią. Lubię ją.

– Nie chciałam, uwierz mi – tłumaczę się. – Nie potrafię sobie z tym poradzić. – Opuszczam głowę. – To nie jest pierwszy raz. I na pewno będą kolejne.

– Wiele przeszłaś, co? – dopytuje.

Wie o tym, że mam blizny. Widziałam, jak przyglądała mi się pod prysznicem. W przeciwieństwie do niej, nie opowiedziałam jej swojej historii. Nie lubię się nią dzielić. Ponoć każdy z nas inaczej odreagowuje swoją przeszłość. Łatwiej tym, którzy potrafią ją z siebie wyrzucić. Ja duszę ją w środku, a ona mnie zżera.

– To widać. – Jest szczerą, ale nie złośliwą. – Zresztą tutaj chyba wszyscy nosimy swój bagaż – akcentuje ostatnie słowo, wypowiadając je niemal z pogardą.

Ściska mnie w gardle. Patrzę na Elenę. To ona pomaga mi zachować spokój. W tym miejscu tylko dziecko jest prawdziwie moje.

– Przywykniesz – pociesza mnie Orsola, bo widzi, że jest mi ciężko. – Wszyscy przywykli. Ja jestem tutaj już czwarty miesiąc. Uwierz, że na początku chciałam uciec. *Uffa!* I gdybym miała wyjście, na pewno bym to zrobiła. Ale po prostu nie miałam dokąd.

– Masz jakiś kontakt z ojcem twojego dziecka? – pytam.

– No co ty. – Przewraca oczami. – Zwyczajnie się nas wyparł. A ja nie mam zamiaru błagać go o miłość. Nie jestem taka. – Opuszcza głowę. – Byłam na niego wściekła, ale już trochę mi przeszło. Jak miał potrzebę, to wiedział, do kogo iść. Rzekomo jego małżeństwo od dawna się sypało – parska. – Nagle mu się odwidziało. Wiesz, nagle sobie przypomniał, że jednak kocha żonę – powtarza to, co opowiedziała mi już wczoraj. Wbrew temu, co mówi, nosi w sobie wiele żalu.

Kładę jej rękę na ramieniu.

– A ty? Dlaczego stary twojej córki pozwolił, żebyś tutaj trafiła? – dopytuje, przyglądając się leżącej w wózek Elenie.

– Nie żyje – odpowiadam zgodnie z prawdą. Zaczynam szybciej oddychać. Nie czuję się komfortowo, kiedy o tym mówię.

– *Ahi...* Przykro mi – mówi ze współczuciem.

– Niepotrzebnie. – Przetykam ślinę i chrząkam. – To nie był dobry człowiek – kończę, bo tutaj pojawia się moja granica, której nie chcę przekraczać.

– Tracę wiarę w facetów, serio. Myślę, że gdyby świat składał się tylko z kobiet, byłoby nam łatwiej. Cholerni egoiści – mamrocze cicho pod nosem, kiedy przechodzi obok nas jedna z sióstr.

Wbrew jej słowom w moim życiu pojawił się jednak ktoś, kto okazał się wyjątkiem. Ktoś, w kogo nie uwierzyłam, popełniając tym samym błąd, którego nigdy nie będę w stanie naprawić. Mężczyzna, o którym myślałam wczorajszego wieczoru z policzkami mokrymi od łez. I o którym nie zapomnę do końca swoich dni.

Zastanawiam się, czy jeszcze kiedyś go zobaczę. Być może w przyszłości nasze drogi się zejdą. Będzie spacerował po plaży ze swoją rodziną, z kobietą, która będzie na niego zasługiwać. A ja będę patrzeć na niego z daleka i może wtedy powiem Elenie, że to jest człowiek, który nas ocalił.

A może lepiej, żeby to się nigdy nie wydarzyło? Rozdzierane rany bolą bardziej i jeszcze gorzej się goją.

Zaciskam powieki, próbując uporać się z kryzysem, którego tak bardzo chciałam uniknąć.

– Czas leczy rany – podsumowuje Orsola, widząc, że nie mogę sobie z tym wszystkim poradzić.

Nie ma pojęcia, jak bardzo chciałabym, żeby jej słowa okazały się prawdziwe. I jak mocno chciałabym ten proces przyspieszyć.

Rozdział 31

FRANCO

Przyglądam się siedzącemu na krześle typowi, który z trudem łapie powietrze. Jest mokry, a obok niego stoi wielka misa z wodą, w której moi żołnierze przed momentem topili jego głowę. Ten zwykle niezawodny element przesłuchania teraz też okazał się skuteczny. Facet właśnie przypomniał sobie, co stało się z pieniędzmi, których miesiąc temu zapomniał nam zapłacić. W dupie mam fakt, że jest uzależniony od hazardu. Mógł zaproponować swoim ziomkom w zastaw dom, auto albo nawet swoją żonę. Nie mam zamiaru go dłużej więzić. Mam nadzieję, że zapamięta ten wieczór na długi czas i wyciągnie słuszne wnioski.

– Błagam, oddam wam wszystko z procentem – kaja się, a jego głos niesie się po największej celi podziemi Peschici.

Wiele razy słyszałem podobne zapewnienia.

– Wypuście mnie, już nigdy nie popełnię takiego błędu. – Mówiąc to, nie jest w stanie na mnie spojrzeć. A przecież jestem całkiem blisko. – Nie róbcie mi krzywdy. Ani mnie, ani mojej rodzinie. Oddam co do centa, przysięgam.

– Nie mam zamiaru krzywdzić twojej rodziny, palancie. – Kucam obok niego. – Nie ona zawiniła. Ale jeśli do miesiąca nie odzyskam hajsu, będą musieli po tobie zapłakać. – Wstaję, łapię go za mordę i skłaniam go do tego, by spojrzął mi prosto w oczy. – *Capisci cosa intendo?* Zrozumiałeś? – pytam.

Jego przerażony wzrok jest dla mnie wystarczająco klarowną odpowiedzią. Potakuje, że wszystko jest dla niego jasne.

– Co robimy? – pyta Biagio.

Milczę. Podchodzę do stolika, czując na sobie wzrok wszystkich tutaj zebranych. Sięgam po jutowy worek i wracam. Naciągam go jeńcowi na głowę. Wyrywa się, błagając mnie o litość. Nie przypuszczałem, że okaże się aż takim lamusem.

– Odepnijcie go od krzesła i zawieźcie do domu – mówię od niechcienia.

Sięgam po paczkę fajek, którą trzymam w kieszeni, i zostawiam wszystkich w tyle. Kieruję się w stronę wyjścia, gdzie czeka na mnie *don* Fabio. Wyszedł wcześniej, bo nie przepada za tym miejscem. Zresztą, trzeba by być nieźle pokręconym, żeby je lubić.

Mrużę oczy, bo rażą mnie promienie słońca, które tego dnia świeci ekstremalnie mocno. Zdejmuję kurtkę i podciągam rękawy koszuli aż po same łokcie.

– Chcesz? – pytam Fabia, podsuwając mu paczkę z fajkami pod nos.

– *No. Grazie.* – Kręci głową, że nie, ale wyciąga z kurtki zapalniczkę i podaje mi ogień.

Nie palę na co dzień, podobnie zresztą jak on, ale bywają sytuacje, kiedy trzeba odreagować. To trochę pomaga.

Chwilę później z podziemi wyłaniają się moi żołnierze. Prowadzą jeńca prosto do auta. Jest posłuszny, bo wie, że ma kolejną szansę, a niekontrolowane ruchy nie są w tym momencie wskazane. Mógłby tylko pogorszyć swoją sytuację.

Biagio kiwa nam ręką na pożegnanie, po czym wsiada za kierownicę i wóz rusza.

– To co, skoczmy na *il tiramisù al vincotto* do Katusci? Czuję, że potrzebuję kawy i cukru. Choć Eva powiedziała mi ostatnio, że przesadzam ze słodyczami i za chwilę będę gruby. – Fabio śmieje się pod nosem.

Oj tak, wierzę, że mogła to powiedzieć. Niezły z niej obserwator. Choć jej ojciec wciąż może się pochwalić nienaganną sylwetką.

– W porządku – mówię. Rzucam niedopałek na podłogę i dogaszam go czubkiem buta. – Sam nie jestem szczególnie głodny, ale espresso też mi się przyda. – Wkładam rękę do kieszeni spodni i wyjmuję kluczyki. – Chodźmy. – Ruszam w stronę swojego samochodu, który stoi jakieś dziesięć metrów od nas.

– Cholera, Franco – odzywa się za moimi plecami wyraźnie podenerwowany *don*.

Nie wiem, co go tak oburzyło. Zatrzymuję się i odwracam w jego stronę.

– Nie jesteś głodny? Kiedy ostatnio jadłeś?! – Nawet nie pozwala mi odpowiedzieć. – Wyglądasz jak kupa nieszczęścia! Kurwa, nie dosypiasz, schudłeś, ostatnio parę dni z rzędu byłeś zalany w trupa. Zaczynaj jeszcze regularnie ćpać. Do diabła z tym wszystkim! – mówi poważnie poirytowany. – Nie mogę na ciebie patrzeć!

Zerkam w stronę pilnujących wejścia do podziemi ochroniarzy, którzy udają, że nie słyszą tej rozmowy.

– W takim razie nie musisz mnie oglądać. Nikt ci nie każe. – Jestem zły. Dość mam swoich zmartwień, by jeszcze wysłuchiwać jego kazań. Odwracam się i idę w stronę auta.

Podchodzi do mnie i szarpie mnie za ramię. Prawie tracę równowagę. Adrenalina buzuje mi w żyłach.

– *Cazzo!* Porąbało cię, stary? Czego ode mnie chcesz? – Gromię go spojrzeniem. Mam wrażenie, że za moment skoczmy sobie do gardeł. Nie wierzę, że to się dzieje. Takie sytuacje nigdy się nam nie zdarzały.

– W tym problem, że muszę cię oglądać. Zanedbuję Sofię i swoje dzieci, żeby przylatywać tutaj i oglądać twoją męczącą dupę! – Trzyma mnie za koszulę. – Bo mi na tobie zależy, idioto. I nie pozwolę ci dłużej tak funkcjonować! – drze mordę.

– Si? – parskam ironicznie. – W takim razie wyjmij gnata i strzel. Będziesz miał problem z głową. – Odrywam jego dłoń od swojego ubrania.

– Nie prowokuj mnie, Franco. – Marszczy brwi. – Bo tak się mnie nie pozbędziesz. Myślisz, że nie widzę, co się z tobą dzieje?

– Brawo. – Kręcę głową. – Brawo, kaznodziejo. Skoro taka z ciebie dobra wróżka, może daj mi receptę na lepszą przyszłość, co? Pierdolisz głupoty, jakbyś sądził, że coś tym zmienisz – syczę.

– Jesteś naprawdę głupi. – Odwraca wzrok.

– Dzięki. – Milknę, ale zaraz dodaję: – Zawsze zależało mi na twoim zdaniu. Dobrze wiedzieć, co o mnie myślisz. – Nie przejmuję się już tym, że ta rozmowa przybiera taki obrót. Nerwy za moment rozpieprzą mi głowę. Czuję pulsowanie rozchodzące się po moim czole aż po same skronie. Wkładam ręce w kieszenie i odwracam się w bok.

Zapada niezręczna, gówniana cisza.

– Jedź do niej – odzywa się wreszcie Fabio, już zdecydowanie spokojniejszym tonem.

Zerkam w jego kierunku. Czuję, jak zaczyna walić mi serce.

– *Cosa?* Co? – pytam krótko, zastanawiając się, co chce mi przez to powiedzieć.

– Jedź do niej, Franco. – Podchodzi bliżej mnie. – Weź auto i jedź do tego cholernego Turynu! Powiedz jej, żeby wróciła. Skończ tchórzyc, bo możesz próbować oszukać mnie, Sofię i wszystkich dookoła, ale siebie nie oszukasz. Zależy ci na niej.

Jestem w szoku, że o tym mówi. To przecież wcale nie tak. Zresztą, to nie ma żadnego znaczenia.

– *Ma dai!* Daj spokój – wypieram się, po czym milknę. Nie potrafię spojrzeć mu prosto w oczy. W końcu to robię, ale kiedy widzę, jak się we mnie wpatruje, ponownie się odwracam. Bo wiem, że ma pieprzoną rację. – I co miałbym jej powiedzieć? – odzywam się w końcu. – Że jestem dobry? Mam ją zmusić do tego, żeby mi zaufała? – parskam. – Gdyby coś do mnie czuła, powiedziała by mi to wtedy, kiedy do niej przyjechałem. Do diabła, chciałyby się przynajmniej pożegnać. Myślisz...

– Nie myślę – przerywa mi. – Nie bazuję na domysłach jak ty, Franco. – Celuje we mnie palcem i nachyla się w moją stronę. – Wiesz, co Giulia powiedziała Sofii? Że żałuje swoich słów i że nie chce być dla ciebie problemem. Miała łzy w oczach, bo, do kurwy nędzy, coś do ciebie czuje. Skoro nie potrafiła tego wyznać, może powinieneś pokazać, że chociaż jedno z was potrafi. – Przerywa i głośno wzdycha. Spuszcza z tonu. – Wczoraj rozmawiała z Sofią przez telefon i wiesz co? – pyta retorycznie. – Nie jest tam wybitnie szczęśliwa. I ty tutaj, bez niej, też nie jesteś. Ale udajesz, że wszystko jest w porządku i że zajebicie sobie radzisz.

W jego scenariuszu przyszłość wydaje się taka prosta i oczywista. Ale są sprawy, których nie da się rozwiązać. Trzeba pozwolić im przeminąć. To jedna z nich.

– Jeszcze niedawno sam sugerowałeś, żebym dał sobie z nią spokój. Nagle zmieniłeś zdanie?

– A posłuchałeś wtedy mojej rady? – kontruje, doskonale znając odpowiedź.

Przecieram twarz dłońmi. Bałagan w mojej głowie nie pozwala mi się pozbierać. Nie wiem, po co w ogóle zaczęliśmy ten temat. To moja sprawa.

– Giulia to nie jest pierwsza lepsza dziewczyna. To kobieta z przeszłością. Z kurewsko trudnymi doświadczeniami. – Próbuję szukać wytłumaczenia, bo przecież nie chodzi tylko o to, że obawiam się konfrontacji i szczerzej rozmowy. – Ma dziecko – dodaję. Szukam argu-

mentów, które miałyby przekonać nie tylko jego. Mam wrażenie, że tłumaczę się sam przed sobą. – Nie wiem, czy byłbym gotów przebudować swoje życie.

– Jasne – komentuje oburzony. – Ale jesteś gotów, by je rozpieprzyć. Powodzenia, Franco.
– Nie dodaje ani słowa więcej. Zmierza w stronę mojego auta. Otwieram je pilotem, a wtedy łapie za klamkę i wchodzi do środka.

Czekam jeszcze przez chwilę z opuszczoną głową.

Nie powinien mnie tak oceniać. Dam sobie radę. Wiele razy stałem przyparty do muru i zawsze, do cholery, byłem w stanie się ogarnąć. Teraz nie będzie inaczej.

Wsiadam za kierownicę i zmierzam w stronę wybranej restauracji. W aucie panuje cisza, jak makiem zasiał. Słyszeć tylko warkot silnika. Zdaje się, że ani Fabio, ani ja nie mamy już sobie w tym temacie nic więcej do powiedzenia.

Rozdział 32

GIULIA

Dwa dni później...

Nad Turynem świeci piękne słońce. Pierwszy raz, od kiedy tutaj jestem, nie potrzeba kurtki, by wyjść na zewnątrz. Termometr wskazuje prawie dwadzieścia stopni i nie wieje wiatr. W powietrzu czuć powiew lata, choć przecież tak bardzo do niego daleko. Patrząc na obumarłe drzewa, na których już wkrótce zaczną pojawiać się załążki liści. Siostry klasztorne mają tutaj całkiem spory sad i ponoć w sezonie prowadzą warzywniak, w którym będę mogła pomagać. Ta wizja naprawdę mnie cieszy – zawsze marzyłam o ogrodzie, w którym będę mogła napać się zapachami natury.

Popycham wózek, w którym leży zawinięta w kocyk Elena. Ma na sobie cienki kombinezon, który otrzymałam wczoraj w paczce z funkcjonującej w mieście fundacji dla sierot i samotnych matek. Cisza, jaka wokół nas panuje, sprawia, że wręcz piszczy mi w uszach. Po śniadaniu spożytym w gwarnym towarzystwie mam czas, by prawdziwie się uspokoić. Skręcam w kamienistą alejkę i mijam drewnianą, podniszczoną już ławkę, nie zastanawiając się nawet nad tym, czy na niej usiąść. Tak przyjemnie po prostu iść, nie czując lęku, że ktoś może mnie obserwować.

Dziś w nocy znowu miałam koszmar. Zły sen, który sprawił, że obudziłam się złana potem. Ale tym razem bardzo szybko zrozumiałam, że to, co najgorsze, już minęło. I że tylko ode mnie zależy, jak zbuduję swoją przyszłość. Jedna z sióstr po porannej modlitwie usiadła obok mnie i spytała, czy chciałabym z nią porozmawiać, ale stwierdziłam, że nie jestem na to gotowa.

Zerkam w górę. Nad moją głową przelatuje jakiś czarny ptak. Zastanawiam się, co to za gatunek, ale nie mam bladego pojęcia. Jako dziecko często je widywałam, kiedy spoglądałam przez okno, wypatrując Fata Morgany. *Papà* opowiedział mi kiedyś baśń o wróżce, która zwiódła barbarzyńców chcących podbić Sycylię. Fata Morgana za pomocą mirażu zwróciła ich uwagę na inną wyspę, której zdobycie wydawało się banalnie proste. Kiedy barbarzyńcy ruszyli na jej podbój, utonęli pochłonięci przez morskie fale. Byłam tak oczarowana tą opowieścią, że chciałam posiadać podobne moce co ta wróżka. *Papà* nie chciał studzić moich nadziei i powiedział, że tylko Fata Morgana może mi je przekazać, jednak wpierw muszę ją spotkać. Byłam wytrwała w swoich poszukiwaniach, ale nigdy się na nią nie natknęłam. Były tylko ptaki. Takie, jak ten dzisiaj.

– *Aspetta!* Czekaaj, Giulia! – To Orsola.

Odwracam się i widzę, że próbuje biec w moją stronę. Jej wielki brzuch podskakuje z każdym kolejnym krokiem, a ona chyba właśnie w tym momencie przypomina sobie, że ów

brzuch w ogóle ma. Łapie się za niego i zwalnia.

– Spokojnie, zaczekam – wołam, obserwując, jak uśmiechnięta człapie w moją stronę.

– Nie będę ci przeszkadzać? – reflektuje się. – Bo jeśli chcesz pobyć sama, zrozumiem. – Wydaje się zmieszana, ale ja przecież wcale nie chcę, by sobie poszła.

– Lubię cię, Orsola. – Chcę, żeby to wiedziała. – Jednak dobrze jest mieć się tutaj do kogo odezwać – stwierdzam.

Połączyła nas więź porozumienia, której nie chcę zepsuć. I choć nie jesteśmy jeszcze przyjaciółkami, może z czasem osiągniemy ten etap. Nigdy nie miałam żadnej dobrej koleżanki, takiej od serca, której mogłabym w pełni zaufać. Bo kiedy nadszedł czas zawiązywania prawdziwych przyjaźni, stałam się klasowym odludkiem. Nie mogłam jeździć na wycieczki czy chodzić na szkolne imprezy – adopcyjni rodzice skutecznie izolowali mnie od rówieśników. Wychowawczyni na początku jeszcze próbowała w to ingerować, przekonywać ich, że tego potrzebuję. Ale potem odpuściła, bo tak było wygodniej. A ja z dnia na dzień stawałam się coraz bardziej samotna.

– Miałaś kiedyś koleżankę od serca? Taką, z którą mogłabyś pogadać o wszystkim? – pytam, kiedy w końcu ruszamy przed siebie.

– Miałam, ale poróżnił nas chłopak. – Orsola wzrusza ramionami. – Obie byłyśmy zakochane w tym samym, a on wybrał mnie. – Wcale nie wydaje się z tego tytułu zadowolona.

– Jak zareagowała? Była wściekła? – dopytuję.

– *Certo*. Tak. – Przewraca oczami. – Przestała się do mnie odzywać. – Macha ręką. – Z Teo nie byłam długo, niecałe dwa miesiące. Widzisz, szlag trafił cały ten związek i przy okazji przyjaźń. Ale przynajmniej czas zweryfikował, ile była warta. – Zamyśla się na chwilę. – Chyba muszę być bardzo do bani, skoro wszyscy ode mnie uciekają. Aż strach myśleć, co się stanie, jak mój dzieciak nauczy się chodzić. Też zwieje – chichocze, choć widzę, że wbrew pozorom wcale nie jest jej do śmiechu.

– To ludzie są do bani. – Uśmiecham się do niej pokrzepiająco. Teraz to ona potrzebuje czyjś wsparcia. – Ci źli boją się dobroci, a ty jesteś dobra. Mogłabyś zabić w nich ten jad. Dlatego uciekają. Na pewno natrafisz jeszcze na kogoś, kto na ciebie zasługuje. – Głos więźni mi w gardle, bo uzmysławiam sobie, jak łatwo pocieszać kogoś, choć tak trudno przekonać do tego samego siebie.

– Tak myślisz? – Patrzy na mnie, jakby chciała sprawdzić, czy naprawdę w to wierzę.

Na moment wbijam wzrok w ziemię, po czym patrzę jej prosto w oczy.

– *Si*, Orsola. Wierzę, że pewnego dnia ty, ja i nasze dzieci będziemy mieli prawdziwy dom. A my będziemy wspominać trudną przeszłość zza gęstej mgły, która przysłoni te wszystkie paskudne doświadczenia.

Nadchodzi wieczór. Wychodzę z łazienki z Eleną na rękach. Byłam się zorientować, na jakim etapie ustalonego grafiku jesteśmy. Jeszcze trójka dzieci i będzie nasza kolej na kąpiel.

Zastanawiam się, czy nie umyć dzisiaj małej czystą wodą. Po wczorajszym użyciu nowego mydła na jej plecach i brzuszku pojawiły się czerwone kropki. To wysypka, więc najwyraźniej ma na coś uczulenie. Przestraszyłam się, ale siostra powiedziała, że to normalne i że trzeba wykluczyć składnik, który Elenie nie odpowiada.

Wchodzę do naszego pokoju, siadam na łóżku i zaczynam nucić *Batti Batti le Manine* – kołysankę o czekaniu na ojca, który w naszym przypadku nigdy się nie zjawi. Nie znam innej, ale mała i tak nie rozumie jeszcze słów. W tym całym bagnie jedno nam się udało. Elena nie będzie świadoma piekła, przez jakie przeszliśmy. A ja w przyszłości oszczędzę jej szczegółów.

Zamykam oczy, czując, jak powoli opadam z sił. Nieprzespane noce dają mi się we znaki. Mam nadzieję, że dzisiaj szybko zasnę i że Elena będzie dla mnie łaskawa.

Ktoś puka do drzwi.

– Proszę wejść – wołam, przekonana, że to Orsola przyszła życzyć mi dobrej nocy. Tak jak poprzedniego wieczoru, kiedy przy okazji trochę się tu zasiedziała. – Proszę – mówię drugi raz, nieco głośniej, bo nikt nie otwiera.

Patrzę wyczekująco na klamkę, która za moment powinna się poruszyć, ale to nie następuje. Podnoszę się, przypuszczając, że ktoś zwyczajnie się pomylił i odszedł. Wtedy jednak w progu staje jedna z sióstr zakonnych. Nie spodziewałam się jej tutaj o podobnej porze. Patrzy na mnie z nietęgą miną, jakbym co najmniej pogwałciła którąś z panujących tu zasad. Przechodzi mnie dziwny dreszcz.

– Co się stało? – pytam, przyciskając małą do piersi. Próbuję wyczytać coś z twarzy zakonnicy, jednocześnie odtwarzając w pamięci parę ostatnich godzin. Ale przecież nic się nie wydarzyło.

– Giulia, prawda? – upewnia się.

Potakuję, choć nic nie mówię.

– Spodziewała się pani dzisiaj kogoś? – pyta.

– Nie – odpowiadam kompletnie zaskoczona. – Ewentualnie Orsoli, która była u mnie też wczoraj wieczorem. Siedziałyśmy zbyt długo? Zachowywałyśmy się zbyt głośno? – dopytuję, bo doprawdy nie mam pojęcia, o co jej chodzi.

– Mówię o kimś z zewnątrz. – Zaciska usta w wąską kreskę. – Masz gościa – obwieszcza.

Patrzę na nią jeszcze przez moment.

– Gościa? – Mrużę oczy.

– Proszę za mną. – Chyba nie zamierza nic więcej tłumaczyć.

Ruszam z miejsca, nie zamknąwszy nawet drzwi. Idę przez korytarz, próbując dotrzymać siostrze tempa, choć z trudem mi się to udaje. Zerkam na Elenę, która zaczyna kwilić, jakby wyczuwała mój stres. Bujam ją delikatnie, nim zdąży się rozpląkać na dobre. Na szczęście milknie, zamykając oczka. Oprócz szurania naszych butów nie słychać prawie nic. Na korytarzu panuje cisza, bo o tej porze raczej wszyscy siedzą już zamknięci w przydzielonych pokojach.

– Tylko proszę wiedzieć, że spotkania o tej porze nie są tutaj mile widziane – karcie mnie zakonnica, jakbym to wszystko zaplanowała, a ja wciąż mam wrażenie, że musiała mnie z kimś pomylić. Nagle zatrzymuje się, otwierając drzwi stołówki. – Proszę. – Wskazuje ręką pomieszczenie. – Tylko nie na długo – dodaje, a potem odchodzi, zostawiając nas same.

Jeszcze przez moment patrzę, jak się oddala. Serce wali mi, jakby zwariowało. Robię krok w przód, a gdy przekraczam próg stołówki, staję jak wryta. Jakby dosłownie w jednej sekundzie ktoś zatrzymał wskazówki zegara.

Nie wierzę własnym oczom.

Przede mną, nieopodal jednego ze stołów, stoi Franco Meli. Ubrany w białą koszulę i ciemne spodnie opiera się o jedno z krzeseł i patrzy prosto na mnie.

– *Buonasera* – wita się niskim, wyrazistym głosem, a ja czuję, jak uginają się pode mną nogi.

Przez parę sekund zastanawiam się, czy to nie wybryk Fata Morgany, ale mężczyzna stojący tak blisko nie może być wymysłem mojej wyobraźni. Jest zbyt realny i zbyt piękny, bym mogła stworzyć go wyłącznie w swoim umyśle.

– *Salve* – odpowiadam. – Franco, co ty tutaj robisz? – pytam, choć nie jest to najbardziej odpowiedni sposób na powitanie.

Milcząc, zbliża się o krok z rękami włożonymi w kieszenie eleganckich spodni. Po chwili wyciąga z nich dłonie.

– Nie pożegnałaś się – tłumaczy. – Wyjechałaś, a ja nawet nie zdążyłem oddać ci wszystkich rzeczy. – Wskazuje na pakunek leżący na krześle.

Przelykam ślinę, bo kompletnie zasycha mi w gardle. Jego widok na nowo przywraca wszystkie emocje. Te pozytywne, które będą trwały tylko przez chwilę, a potem szybko zgasną.

– Nie musiałeś tego robić – dukam. – Przyjechałeś tutaj specjalnie po to, żeby mi to dać? – To pytanie retoryczne, bo przecież już dał mi na nie odpowiedź. Zarzucił mi brak pożegnania, a ja nie wiem, jak się bronić. – Franco, widzisz... to nie było w porządku, że się nie pożegnałam, ale... – Przerywam, by zaczerpnąć powietrza. – Ale bałam się, że będzie mi trudno. – Czuję, jak robi mi się duszno.

Kiwa głową, że wie. Przez chwilę na mnie nie patrzy.

– Sofia zadręczała się, że nie było ci u niej dobrze, skoro tak szybko czmychnęłaś – mówi.

O mój Boże.

– To nie tak – odpowiadam szybko. Tak wiele dla mnie zrobiła. Chcę mu to wytłumaczyć, ale mnie uprzedza.

– A ja zadręczałem się, że nie było mi dane szczerze z tobą porozmawiać – dodaje.

– Usiądź. – Wskazuje ręką stojące za nim krzesło. – Poproszę o kawę albo może przyniosę ci herbaty. – Jestem zmieszana. Chciałabym go czymś ugościć, bo przebył długą drogę i pewnie jest zmęczony, ale nie mam tutaj prawie nic, co należałoby do mnie.

– Dość już siedziałem beczynnie, Giulia. – Podłapuje moje spojrzenie, a mi robi się gorąco.

– *Allora* – bełkoczę pod nosem – zatem porozmawiajmy. – Nie potrafię oderwać od niego wzroku.

Poprawia mankiet koszuli, po czym staje tuż obok mnie. Wyciąga przed siebie rękę i kiedy jestem niemalże pewna, że za moment mnie dotknie, on głaszcze policzek małej Eleny. Ściska mnie w sercu, bo widzę, z jaką czułością to robi. Jakby zdążył się za nią prawdziwie stęsknić. Czuję jego zapach. Mieszanka jego perfum unosi się w całym pomieszczeniu, mocno zaznaczając jego obecność. Nawet gdybym weszła tutaj z zamkniętymi oczami, wiedziałabym, że stoi przede mną.

– Kiedy zniknąłś z mojego domu, stał się on bardzo pusty. – Patrzy prosto na mnie. – Cichy, niby taki jak wcześniej, jak przed twoim pojawieniem się, a jednak to nie było już to samo. – Wzdycha. – I wiesz, co sobie uświadomiłem? Że już nie czuję się w nim tak komfortowo jak kiedyś. I że z samym sobą też nie jest mi już tak dobrze. – Opuszcza wzrok.

W moich oczach zaczynają wzbierać łzy. Franco wygląda, jakby był zagubiony. Tak bardzo chciałabym go dotknąć, ale przecież nie mogę tego zrobić. Nie jest mój. Nie mam do niego żadnych praw. Nie wiem tylko, po co mi to wszystko mówi. Konsekwentnie więc milczę.

– I wtedy dotarło do mnie, że tutaj nie chodzi o mnie, Giulia. Tutaj chodzi o ciebie, wyłącznie o ciebie – dodaje i zerka mi prosto w oczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Mój oddech staje się szybszy. Nie poznaję własnego głosu.

Widzę, że nie jest mu łatwo. Nabiera powietrza w płuca.

– Pozwól mi pokazać, udowodnić ci, że nie jestem złym człowiekiem. Że nie jestem taki jak on. – Jego wzrok przepełniony jest smutkiem. Mówi o Vittoriu, do którego go przyrównałam.

– Franco... – Nie potrafię wydusić z siebie ani słowa więcej. Chcę mu powiedzieć, że wcale tak nie uważam. Nie jest nim i nie jest taki jak on, doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

– Pozwól mi zabrać cię do mojego świata, patrzeć, jak Elena dorasta, pozwól mi widzieć, jak twoja przeszłość znika i jak otwiera się przed nami zupełnie nowy rozdział. Wiem, że proszę o wiele, ale w końcu zrozumiałem, że muszę to zrobić. Muszę spróbować. – Milknie.

Zaczynam rozumieć, że przychodzi czas na mnie.

Kładę rękę na jego policzku i czuję pod palcami przyjemne klucie jego zarostu. W tym dziwnym miejscu, w którym jesteśmy, Franco wydaje się bezpieczeństwem, za którym tak bardzo tęskniłam.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pytam. – Nie mam nic, Franco. Nic, co mogłabym ci dać, oprócz siebie. A to chyba nie jest najlepsza opcja.

– Nie chcę innej – odpowiada. – Więc jeśli nie żałujesz tego, że pewnego wieczoru pozwoliłaś mi się pocałować, pozwoliłaś mi się dotknąć, pozwoliłaś mi poczuć, jak to jest, kiedy sto-

isz obok mnie, to... wróć ze mną do domu.

Czeka na moją odpowiedź. Czuję na sobie jego wzrok. Zaciskam oczy. Nie wierzę, że to wszystko dzieje się naprawdę.

– Tylko przy tobie poczułam normalność, której nigdy nie miałam. – Po raz pierwszy jestem w stanie powiedzieć mu o tym, co działo się w moim wnętrzu. Moja własna odwaga mnie zaskakuje. To nie takie trudne. – Miałam wrażenie, że mogę być jeszcze coś warta. Bałam się tego, że ta wiara może mnie zwieść – mówię mu całą prawdę. – A teraz przychodzisz tutaj i mówisz mi te wszystkie rzeczy.

– Powiedz tylko słowo, a odjadę i już nigdy mnie nie zobaczysz – przerywa mi.

– Nie. – Kręcę głową. – Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła.

Robię krok w przód i opieram czoło na jego barku. Ręką oplatom jego szyję, jakbym zamierzała już nigdy go nie wypuścić. On robi to samo, przyciąga mnie do siebie.

– Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę – szepczę przez ściśnięte gardło, a on składa mi na czole pocałunek.

Jego ciepło przenika do każdej komórki mojego ciała. Już zapomniałam, jak to jest, kiedy nagle znika z serca wielki ciężar. Jakby człowiek stawał się o kilkanaście kilogramów lżejszy w ciągu zaledwie kilku sekund.

– *Signore e signori!* Proszę państwa! – rozlega się głos gdzieś za moimi plecami.

Odwracam się i widzę stojącą w progu siostrę. Dokładnie tę samą, która mnie tutaj przyprowadziła.

– Nie przesadzajmy. To nie jest miejsce na takie gesty – karci nas. – Proszę wybaczyć, pani Giulio, ale chyba czas wracać do siebie.

Patrzę na Franca i mam wrażenie, że nagle tracę grunt pod nogami. Jakby ktoś chciał mi brutalnie zabrać coś, co właśnie odzyskałam.

– Chyba na nas już czas – mówi.

Na nas. Uśmiecham się na tę myśl. Kolejny raz odwracam się w stronę siostry, która czeka na moją reakcję.

– Siostro – zaczynam. – *Grazie di tutto.* Dziękuję za wszystko. Ale to chyba jest moment, w którym powinnam wrócić do domu.

Patrzy na mnie zaskoczona, ale na jej twarzy pojawia się nikły uśmiech.

– Jesteś tego pewna? – dopytuje.

A ja mam wrażenie, że chyba nigdy w życiu nie byłam niczego pewniejsza.

– *Si* – odpowiadam stanowczo. A kiedy wychodzi, łapię Franca za rękę. – Już nigdy nie pozwól mi odejść – zwracam się do niego błagalnym tonem. Uścisk jego dłoni i spojrzenie są dla mnie wystarczającym potwierdzeniem, że nie pozwoli mi tego zrobić.

Epilog

FRANCO

Prawie rok później

*La Befana vien di notte
Con le scarpe tutte rotte
Col vestito alla romana:
Viva viva la Befana⁴⁾*

⁴⁾ *Befana* przychodzi w nocy. / W butach zniszczonych. / Ubrana po rzymsku. / Niech żyje, niech żyje Befana!
(tekst włoskiej rymowanki, zaczerpnięty ze strony: <https://magicblitzen.com/la-befana-vien-notte-tutte-le-versioni> dostęp: 15.06.2023, tłum. aut.).

Zamykam drzwi, kiedy *don* wraz ze swoją rodziną znikają za rogiem naszego domu. Na moment robi się zupełnie cicho. *Nonna* poszła już spać, a ja cieszę się, że wreszcie będę mógł odpocząć. Dzisiejszy dzień, choć mało pracowity, do reszty wypompuwał mnie z sił.

Snuję się po schodach w stronę naszego salonu. Od samego dołu aż po piętro na poręczy wiszą różowo-białe balony. W końcu to roczek Eleny. Gdybyśmy mieli większą rodzinę, z pewnością wyprawilibyśmy przyjęcie w restauracji, tymczasem oprócz *nonny*, nas, Sofii, Fabia i ich dzieci, nasza córeczka nie ma nikogo. Dlatego zdecydowaliśmy się na kameralną uroczystość w naszym domu. Otwieram drzwi salonu i widzę wielki bałagan.

– *Pa pa, pa pa, pa pa* – gaworzy donośnie Elena. Siedzi teraz w swoim nowym, czerwonym pojeździe na akumulator i wyraźnie ożywia się na mój widok.

– Będzie problem z położeniem jej spać. Nie chce wsiąść. Tak bardzo się jej podoba – stwierdza Giulia, mówiąc o prezencie, jaki miała otrzymała od swoich chrzestnych, Fabia i Sofii.

– To w końcu jej dzień. – Wzruszam ramionami, przyglądając się kobiecie, której oświadczyłem się nie dalej jak pół miesiąca temu.

Wygląda cholernie pociągająco. Brak dekoltu, wbrew pozorom, tylko podsycy mój apetyt, bo wiem, że to, co najlepsze, chowa tylko dla mnie. Kucam przy Elenie.

– Niezła bryka, maluchu, ale chyba powinnaś już iść do łóżeczka. Mleczko i przytulanka? – proponuję jej, bo zawsze na to reaguje.

Ale nie tym razem. Patrzy na mnie lekceważąco i kręci kierownicą, wydając przy tym naprawdę dziwne dźwięki.

– La Befana chyba cię dzisiaj nie odwiedzi – dodaję, nie potrafiąc przestać się uśmiechać.
– Może być ciężko – zwracam się do Giulii zrezygnowany.

– Z takim groźbami to za rok albo lepiej za dwa – odpowiada. – Wtedy na pewno będzie miała większe parcie na Befanę. – Wstaje i zaczyna zbierać ze stołu puste talerze.

– Czekaj, pomogę ci. – Podchodzę do niej i pomagam jej uprzątnąć cały ten bałagan. Po-tem zbieram chusteczką resztki mięsa z podłogi.

Mały Filippo to niezły rozrabiaka. Mam wrażenie, że *don* za parę lat będzie miał twardy orzech do zgryzienia w kwestii jego wychowania. Choć, jak to mówią, niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Obydwoje zerkamy na Elenę, która niestrudzenie imituje jazdę autem, od czasu do czasu wałąc rączkami w ozdobiony niezliczoną ilością kolorowych guzików kokpit.

Kiedy salon powoli zaczyna przypominać cywilizowane miejsce nadające się do zamiesz-kania, uświadamiam sobie, że zrobiło się jakoś dziwnie cicho.

– *Guarda*. Patrz. – Giulia wskazuje palcem na autko.

Odwracam się, by zerknąć, coś takiego ją zaskoczyło. Kiedy zauważam nieruchomo sie-dzącą na kanapie kierowcy Elenę, z głową przekrzywioną na bok, podchodzę bliżej, by uwa-żnie się jej przyjrzeć.

– Zasnęła – chichocze nade mną Giulia.

– Biedna. Musiała być naprawdę zmęczona. – Mięknę na ten widok.

– I zdeterminowana, by mimo wszystko tutaj wytrwać – dodaje.

– Zaniosę ją do łóżeczka – sugeruję. – Może nie rozbudzajmy jej do kąpieli. Miała dość wrażeń.

Giulia potakuje, a ja oddycham z ulgą. Szczerze powiedziawszy, sam już marzę o tym, by znaleźć się na miękkim materacu. Jutro z samego rana muszę udać się do magazynów, żeby sprawdzić zgodność przytransportowanego towaru.

Jest taka lekka. Jej mała główka opada na moje ramię. Kiedy docieramy do jej pokoju, kładę ją do łóżeczka i głaszczę jej policzek, choć w tym momencie wcale tego nie potrzebuje. Śpi jak miś, układając usta w zabawny dzióbek, że aż miałoby się ochotę ją cmoknąć. Nie miałem po-jęcia, że aż tak oszaleję na jej punkcie. Przez wiele lat powtarzałem, że nigdy nie będę nadawał się na ojca, ale to przyszło samo. I moje wyobrażenia na niewiele się tutaj zdały.

Wracam do Giulii, ale wkłada właśnie naczynia do zmywarki, więc zabieram ręcznik i wło-kę się do łazienki. Gorący prysznic prawie parzy moją skórę, ale to tak cholernie odprężające, że dobrowolnie urządzam sobie tutaj saunę. Para, pomimo wentylacji, unosi się w całym po-mieszczeniu.

Wycieram się i wychodzę do salonu. Widzę, że Giulia też już przygotowuje się do kąpieli. Trzyma w ręku szlafrok i prosi mnie, żebym na nią zaczekał. Siadam więc na kanapie i włączam telewizor. Przez moment bawię się pilotem, przesuwając kolejne propozycje sug-e-rowane przez Netflix, ale czuję, jak zaczyna mnie ogarniać senność. Nic specjalnego nie zwraca mojej uwagi, więc wyłączam urządzenie i krzątam się po pokoju.

Podchodzę do okna i przesuwam zasłonę, żeby zerknąć na morze, kiedy moje palce zanurzają się w czymś, co zdecydowanie nie powinno znajdować się w tym miejscu. Patrę na swoją dłoń i widzę, że właśnie wylądowała w resztkach kremowego ciasta przyklejonego do bordowego materiału. Wzdycham, bo to też zapewne sprawka dzieciaków. Otwieram szufladę, wydaję chusteczki i zaczynam się wycierać. Słyszę, że otwierają się drzwi łazienki, więc odwracam się w stronę Giulii, żeby powiedzieć jej o nowym felernym odkryciu. I wtedy dosłownie, cholera, zastygam.

Jestem, do diabła, w wielkim szoku.

– Giulia, *tesoro*. – Wstrzymuję powietrze.

Stoi przede mną i choć wciąż jest tą samą kobietą, którą poznałem rok temu, prawie jej nie poznaję. Nie ma szlafroka, a ubraniami, które założyła, zdecydowanie daleko do piżamy, jaką zwykle zakłada, idąc spać. Przęłykam ślinę. Cholera. Z wrażenia zaschło mi w gardle.

Ma na sobie koronkowy, prześwitujący stanik i czarne, skąpe majtki. Jej smukłe nogi opinają czarne, wysokie pończochy. Taksuję ją spojrzeniem od stóp po sam czubek głowy – nie mam najmniejszego zamiaru pozbawiania się przyjemności namolnego wgapienia się w jej ciało. I chyba o to jej chodziło. Ledwo nad sobą panuję i nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi. Ale jestem świadom jednego. Wygląda jak muza. I nie zasłania się, jak dotąd miała to w zwyczaju.

– Podoba ci się? – pyta nieśmiało.

Jej niepewny głos nie pasuje do tego wizerunku. Ale przypomina mi o tym, że to wciąż Giulia. Moja Giulia, z którą przez rok wspólnie pokonywaliśmy kolejne bariery.

Tego się nie spodziewałem.

Podchodzę do niej i przyciągam ją do siebie. Łapię jej twarz, składając na jej ustach pocałunek.

– Pytasz, czy mi się podoba? Jeszcze minutę temu zasypiałem na stojąco. Teraz... – Nie wiem, co mam jej powiedzieć.

– Chciałam, żeby Befana przyszła i do ciebie. A że masz wszystko, czego potrzebujesz, chciałam ci zrobić inny prezent. – Rumieni się.

– *Santo Cielo* – wzywam Boga, choć w tym momencie mam u swojego boku boginię.

Odsuwam ręką włosy zasłaniające jej szyję. Mój wzrok ucieka jednak niżej. Pod materiałem widzę sztywniejący sutek. Drażnię go palcem, muskając jednocześnie jej gołe ramię. Dreszcz ekscytacji przechodzi mi po plecach, a moje myśli zalewa tylko jedno. Czyste pożądanie. Chcę ją mieć. Całą. I poczuć każdy skrawek jej ciała.

– Masz pojęcie, co teraz czuję? Chciałbym podziwiać cię w tym wydaniu, a zarazem jak najszybciej to z ciebie zedrzyć. – Biorę ją na ręce, nim ma szansę mi odpowiedzieć. Niosę ją prosto do naszej sypialni, nie przejmując się tym, jak mocno wali mi serce.

Kładę ją na czarnej pościeli, a jej włosy rozsypują się po poduszce. Giulia patrzy na mnie, a w blasku jasnego światła jej oczy są niemalże błękitne. Sunie ręką po moim nagim torsie.

– Może zgaśmy światło i włączmy tę mniejszą lampkę – proponuje.

– Zdecydowanie nie. – Kręcę głową, choć może jej się to nie spodobać. – Dziś chcę podziwiać każdy fragment twojego ciała, Giulia. Chcę widzieć, jak wijesz się pode mną z rozkoszy. Chcę patrzeć na twoje usta, kiedy jęczysz. – Pochyliam się nad nią. Łapię jej dłonie i przesuwam je wyżej, tuż nad jej głowę.

Nasze palce splatają się, kiedy zaczynam ją całować. Pieszczę językiem jej usta i skubię zębami jej dolną wargę. Przesuwam się niżej, muskając ustami jej blizny. Każdą z nich znam na pamięć i każdą pokochałem. Bo to one ją tworzą.

Oddycha szybciej, kiedy jednym ruchem dłoni odginam materiał stanika, uwalniając z materiału jej obie piersi. Widzę, jak bardzo jest na mnie gotowa. Liżę jej sutek, jednocześnie wsuwając kciuk w jej usta. Ssie go i dyszy na przemian. Odrywam się od niej, by przez moment na nią popatrzeć. Jest rozpalona. Mruży oczy, które wręcz błagają, bym nie przestawał.

Schodzę niżej. Łapię jej uda i je rozchylam. Odsuwam czarny materiał majtek i wsuwam w nią palec. Moje ruchy są coraz szybsze. Spina się i jest tak cholernie mokra. Kiedy mam wrażenie, że za moment pode mną dojdzie, schylam się, by zastąpić dłoń językiem. Jej palce zanurzają się w moich włosach. Zaciskam rękę na jej nodze, mocno podekscytowany tym, co może mi dać. Rozgrzany do granic możliwości, czekam na najlepsze.

– Franco – jęczy. – Ja... zaraz...

– Ciii – uciszam ją. – Obudzisz małą, a wtedy nie skończę. – Uśmiecham się, wiedząc, że to ostatnie, czego by sobie teraz życzyła.

Potakuje. A potem odchyła głowę i otwiera usta, wydając z siebie serię krótkich oddechów. To najpiękniejszy widok, jaki mogłem zobaczyć.

Nie czekam na jej zachętę. Zrzucam z siebie bokserki i wchodzę w nią delikatnie.

– Pozwól, że odbiorę swój prezent – mówię i pochylam się, by ją pocałować. Patrzę w jej oczy, kiedy zaczyna się uśmiechać.

A potem poruszam się coraz szybciej, obserwując, jak kolejny raz zaciska palce na materiale koldry. Kiedy jej ciało wygina się w łuk, kończę razem z nią, a potem opadam na posłanie. Jestem szczęśliwy, jak chyba nigdy przedtem.

Zdaje się, że czujna, złośliwa czarownica przyniosła mi wyjątkowy prezent. Najwspanialszy, jaki mogłem sobie wyobrazić, bo taki, którego nie da się kupić za żaden pieprzony hajs. Umiem go docenić, bo teraz już wiem, że niektóre rzeczy nie dzieją się przypadkiem. Tak jak nie spotkałem przypadkiem Giulii, dokładnie rok temu, na starym przystanku w Peschici, choć wtedy uważałem to za przekleństwo. Nie dostrzegałem szansy, jaką wtedy dostałem. Ale niektóre niespodzianki losu wymagają głębszego poznania. Wymagają czasu i umiejętnego spojrzenia na wartości, które często pomijamy. Być może gdyby nie Giulia, gdyby nie mała Elena i gdyby nie Fabio, teraz tkwiłbym tutaj sam, w wygodnym łóżku, z pieniędzmi w portfelu, z kumplami, którzy mogą zjawić się o dowolnej porze, i z żołnierzami czekającymi na mój

rozkaz. Ale bez życiowego celu, który przynosi prawdziwe szczęście. Szczęście, którego smak docenia się dopiero wtedy, kiedy przychodzi nam go doświadczyć na własnej skórze.

Nie da się ubrać tego w słowa. To trzeba po prostu poczuć. Tego, co mam, nie zamieniłbym na żadne skarby świata.

„*Grazie, la Befana*” – powtarzam w myślach. A potem zamykam oczy i zasypiam, tuląc do swojego boku kobietę, która pozwoliła mi uwierzyć w coś, co dotąd było dla mnie tylko wymysłem pieprzonych romantyków. W miłość.

KONIEC

Podziękowania

Kochani,

Znów pojawia się okazja, by podziękować całej armii osób, które stoją za mną murem. To trudny moment, bo zawsze obawiam się, że kogoś pomnę – jeśli tak się stanie, wybaczcie. Wiedźcie, że jestem wdzięczna każdemu z Was, bo jeśli czytacie podziękowania, to sięgnęliście po moją książkę, a to dla mnie ogromny wyraz wsparcia.

Niezmiennie dziękuję mojemu Mężowi za wiarę w moje możliwości i wszelaką pomoc. Moim kochanym Dzieciom i całej mojej Rodzinie – bliższej i dalszej. Dziękuję, że przy mnie jesteście!

Kieruję wyrazy podziękowania dla całego zespołu wydawnictwa Pascal, z którym ponownie wspaniale się współpracowało. Dziękuję Pani Redaktor Klaudii Opoździe za rzetelną pracę nad tekstem i wszystkie komentarze, dzięki którym śmiałam się i miałam poczucie, że i ten etap pracy może być dla autora naprawdę przyjemny. Dziękuję Natalii Ostapkowicz za opiekę sprawowaną nad tym tytułem, za odpowiedzi na moje pytania, bardzo miły kontakt, dobre nowiny i domknięcie wszystkiego tak, by było doskonałe. Dziękuję Patrycji Gawędzie za promowanie mojej twórczości i świetne pomysły. Pani Agnieszce Góreckiej za to, że dała mi szansę oraz wszystkim pozostałym, z którymi nie mam okazji współpracować bezpośrednio. Mam świadomość, że projekt, jakim jest książka, wymaga zaangażowania naprawdę wielu osób.

Dziękuję wszystkim Bloggerom i Recenzentom mojej powieści, Osobom promującym moje książki i dzielącym się swoimi opiniami. Za Wasz czas, zapisane czy wypowiedziane słowa, nie-raz piękne zdjęcia czy filmiki. To dzięki Wam moja powieść idzie dalej w świat. Dziękuję wszystkim Bibliotekarkom i Bibliotekarzom, a także Osobom pracującym w księgarniach, które polecają moje książki innym. To, co robicie, jest wspaniałe.

Z ogromną wdzięcznością zwracam się także do moich rewelacyjnych Czytelniczek, które zawsze są ze mną. Jak cudownie jest mieć takie osoby przy swoim boku! Aga Daniel, Beata Barczyk, Kasia Dziegielewska – dziękuję za Wasze wiadomości, ogromne wsparcie, za cudowne przesyłki, za wszystko, co dla mnie robicie. To niesamowite! Nie może tutaj zabraknąć także Ewci Warcholińskiej, Lidii Ostojskiej i Anny Papierz, które za pomocą szydełek tworzą naprawdę niesamowite rzeczy. Dziewczyny: Kasiu Chabło – pełna ciepła Bibliotekarko, Madziu Cała – cudowna Kobieto, Marlenko Konsek, która udostępnia moje posty – dziękuję! Dziękuję Monicze Bujek, Kasi Jabłońskiej, Ewelinie Góreckiej, Marcie Zinkel, przemilej Ewelinie Kwiatkowskiej-Tabaczyńskiej i wszystkim pozostałym. Mogłabym wymieniać bez końca. Całym sercem dziękuję Kasi Sęk, Administratorce mojej fanowskiej grupy „Kopalnia Książek – Weronika Tomala i Czytelnicy” i zarazem właścicielce bloga Książkopasja. Kasia tworzy rewelacyjne grafiki, a jej czujność i poświęcenie to coś, za to należą się naprawdę głośne brawa. Dziękuję!

Dziękuję Tobie, Czytelniku, za to, że zdecydowałaś się przeczytać tę książkę. To dla mnie wielka rzecz, bo przecież dzięki temu, że czytasz, moje pisanie ma sens. Jeśli znajdziesz chwilę, napisz na jej temat kilka zdań w sieci, podziel się wieścią o książce z innymi. Będę dozgonnie wdzięczna.

Jeśli jesteście ciekawi moich dalszych autorskich poczynąń, zapraszam na:

www.facebook.com/WeronikaTomalaAutor

www.instagram.com/kto_czyta_zyje_podwojnie

Love Book

KSIAZKI, KTÓRE ROZPALAJĄ ZMYSŁY!

